

ŚLADY



ZBRODNI

Krystyna Kuhn

Praga, Frankfurt,
tajemny rękopis
Kafki



Podpis mordercy

Wydawnictwo Dolnośląskie

Podpis mordercy

Krystyna Kuhn

Wydawnictwo Dolnośląskie (2013)

Kolejna sprawa prokurator Miriam Singer, znanej czytelnikom z książki "Zimowy morderca".

Frankfurt. Prokurator Miriam Singer i komisarz Henri Liebler muszą zmierzyć się z tajemniczą sprawą dwóch makabrycznych zabójstw. Pochodząca z Pragi tancerka Helena Baarová została zachłostana na śmierć. Student Justin Brandenburg umarł z głodu zamknięty w klatce we własnym mieszkaniu. Ofiar nie łączy nic poza rzeźbionym krzyżem na szyi i znajomością z profesorem Milanem Husem, znawcą twórczości Kafki. Asystent profesora nagle znika, a sam Hus zostaje aresztowany, ale pani prokurator nie wierzy w jego winę. Czyżby rozwiązanie zagadki kryło się w nieznanym rękopisie Kafki?

Tytuł oryginału
Die Signatur des Mörders

Projekt okładki
Magdalena Zawadzka

Ilustracja na okładce
Sarunyu_foto/Shutterstock.com

Zdjęcie autora na skrzydle
Hartmut Schröder

Redakcja
Iwona Baturó

Korekta
Urszula Włodarska

Redakcja techniczna
Adam Kolenda

Copyright © 2008 by Wilhelm Goldmann Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House, GmbH, München, Germany

Polish edition © Publicat S.A. MMXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

ISBN 978-83-271-5066-0

Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
Oddział Publicat S.A. w Poznaniu
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl
www.wydawnictwodolnoslaskie.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

PROLOG

FRANKFURT NAD MENEM PIĄTEK, 27 KWIETNIA

FRANKFURT NAD MENEM SOBOTA, 28 KWIETNIA

PRAGA, ULICA BENEDIKTSKÀ SOBOTA, 28 KWIETNIA

FRANKFURT NAD MENEM PONIEDZIAŁEK, 30 KWIETNIA

PRAGA, INSTYTUT GOETHEGO PONIEDZIAŁEK, 30 KWIETNIA

FRANKFURT NAD MENEM ŚRODA, 2 MAJA

PRAGA, ULICA BENEDIKTSKÀ PIĄTEK, 4 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM SOBOTA, 5 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM WTOREK, 15 MAJA

PRAGA, ULICA HUSOVA ŚRODA, 16 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM CZWARTEK, 17 MAJA

WNIEBOWSTĄPIENIE

FRANKFURT NAD MENEM PIĄTEK, 18 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM SOBOTA, 19 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM NIEDZIELNA NOC, 20 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM PONIEDZIAŁEK, 21 MAJA

FRANKFURT NAD MENEM ŚRODA, 23 MAJA

PRAGA, ULICA BENEDIKTSKÀ ŚRODA, 30 MAJA

Wspomnienie Pragi

Dla Lothara

Książka musi być siekierą dla zamrożonego morza wewnątrz nas.

Franz Kafka

PROLOG

Kontrolę przejęła inna, poniekąd druga, wewnętrzna natura. Owa przemożna siła zmusza mnie do działania i do robienia rzeczy bez zastanowienia, bez poczucia jakiegokolwiek skruchy.

Zupełnie jakby ta istota pewnej nocy stanęła mi na drodze, uchyliła kapelusza i spokojnie poprosiła, by pójść za nią. O ile początkowo pytałem jeszcze, dokąd zamierza mnie prowadzić, o tyle później podążałem za nią bez namysłu. Zawiodła mnie w mrok, w którym nie napotkałem nikogo poza sobą samym.

To JA sam poprosiłem siebie, by pójść ze mną.

To JA byłem tym obcym.

Od tamtej chwili obie osoby żyją w moim ciele, a ono wydaje się tylko powłoką, maską, którą posługują się dwie różne osobowości. To uczucie jest tak intensywne, tak porażające, że czuję się jak beczka prochu, która czeka na zapalnię.

Tak, sam jestem tą zapalnią.

Niebezpieczeństwo, na które się wystawiam, dodaje mi chwały, bo narażam siebie, by przywrócić światu równowagę.

Zabijanie przychodzi łatwo, ale to tylko część wyroku.

Trud sprawia jego orzeczenie, a sędzia jest wybrańcem, który ten wyrok wykonuje.

FRANKFURT NAD MENEM

PIĄTEK, 27 KWIETNIA

1

I'm singing in the rain...

Zatańczyła trzy kroki do przodu.

Helena prawie nie zauważała gorączkowego ruchu panującego jak zwykle w piątkowy wieczór na Kaiserstraße. Nuciała pod nosem filmową piosenkę Gene'a Kelly'ego. Po prostu szczęśliwa - bez krzyżowania palców, bez potrójnego plucia przez ramię, bez uporczywej myśli o nieustannym pechu. Ta beztroska była czymś niezwykłym i na chwilę wzbudziła w niej nieufność. Ale czy wraz z *babičką* nie umarła gadanina o karze, wyrokach boskich i dziele szatana? O nie, Helena nie tęskniła za napominającymi listami babki.

Przed nią, co chwila się zatrzymując, szli zawzięcie dyskutujący Japończycy. Przypuszczalnie biznesmeni poszukujący taniej rozrywki. Helena dostrzegala to w wyrazie żądz na ich pozornie obojętnych twarzach. Ugrzęźnięcie w ławicy egzotycznych ryb wzbudziło w niej niepokój, przyspieszyła więc kroku, by ich wyprzedzić.

Z drugiej strony ulicy pomachała do niej Jess. Czarne skórzane kozaki jej koleżanki przypuszczalnie sięgały wysoko aż po brzegi stringów. prostytutka mocno przyciskała do siebie czarną błyszczącą torebkę, żyła w ciągłej obawie przed napadami rabunkowymi.

- A przecież nie powinnam bać się o nic innego, tylko o samą siebie - oznajmiła niedawno Helenie. - Szlajam się po ulicy w tę i z powrotem w każdą pogodę i myślę sobie: ale z ciebie zrypana wywłoka. No i powiedz sama, czy nią nie jestem?

Helena chciała zaprzeczyć, ale Jess powstrzymała ją ruchem ręki.

- Gdy oddajesz auto na złom, dostajesz jakąś kasę. Ale kto wzięłby mnie? Nie nadaję się już nawet na części zamienne - mówiąc to, roześmiała się, nie radośnie, lecz z rezygnacją.

Jej niski głos przypominał Helenie Marlenę Dietrich. Podobnie jak tamta, Jess tapirowała tlenione blond włosy tak wysoko, że wyglądały jak fantazyjna porcja lodów włoskich. W jej śmiechu Helena wyczuwała samotność. Zastanawiała się właśnie, czy nie przejść na drugą stronę, kiedy usłyszała za plecami ochryply głos:

- Helena.

Odwróciła się.

Alex, który dzień w dzień czaił się pod jej domem, jakby chciał ją kontrolować. Który nigdy nie patrzył jej w twarz, tylko gapił się na jej piersi. Który wspinał się na balkon, by czekać na nią w ciemności. Jak on mógł myśleć, że ona nie widzi, że ją obserwuje pod osłoną nocy?

- Potrzebuję kasy - wybełkotał skruszony. Jego opuszczone powieki drgały nerwowo. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Gdy pod niegdyś białą koszulą zauważyła wystające żebra, górę wzięło współczucie, jedna z jej największych słabości. Nigdy nie umiała powiedzieć „nie”, „stop” albo „koniec”.

Wyjęła z torebki portfel i wcisnęła mu w dłoń ostatnie pięć euro.

- Ale tym razem kup sobie coś do jedzenia - rzuciła, posyłając mu naglące spojrzenie.

Na jego twarzy malowało się zdruzgotanie, chciwie zgarnął jednak banknot. Helena brzydziła się jego poźółkłymi palcami, na których ślady pozostawiła nie tylko nikotyna, lecz także wieloletnie zażywanie heroiny. Odwrócił się i począł w kierunku dworca.

- Twoja dobroduszość znowu tonie w głupocie. - Jess obrzuciła Helenę tym samym zatroskanym spojrzeniem co jej babcia. Ona również, podobnie jak jej babcia, wszędzie dopatrywała się zła. prostytutka odsunęła się o krok, za późno zauważając kałużę wymiocin. - *Shit!* - zaklęła.

Helena podała jej paczkę chusteczek higienicznych.

- Chyba nie myślisz, że będę się paprać obcymi rzygami i nie daj Boże jakimś aidsem? Za żadne skarby świata! Nawet w rękawiczkach. - Mimo to przyjęła chusteczki i schowała je do torby, by zaraz potem z ciekawością zapytać: - No i jak było?

- Mam dobre przeczucie.

- Dobre przeczucie? To nie wystarczy. Sto razy je miałam i zawsze się myliłam. Dostaniesz tę robotę czy nie?

- Myślę, że dostanę. Nie, jestem tego pewna. Przyślą mi umowę. Choć dopóki niczego nie podpisano... Nie można się za szybko cieszyć, to przynosi pecha.

Jess kilka minut walczyła ze sobą, by wreszcie z ulgą, ale zarazem z ubolewaniem stwierdzić:

- Czyli wycofujesz się z interesu?

- Nie - uspokoiła ją Helena. - Zaczynam dopiero w czerwcu. Zostały jeszcze dwa miesiące.

- Co z dzisiejszym wieczorem?

- Dzisiaj nie, Jess, jestem zmęczona. Może jutro.

- No dobrze, maleńka. - prostytutka uśmiechnęła się życzliwie. - Odpocznij sobie. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Helena odwzajemniła uśmiech.

- Życz mi szczęścia!

- Szczęście - wymamrotała Jess i obciągnęła spódniczkę, która z tyłu była dłuższa niż z przodu. - Szczęście jest tylko dla tych, którzy i tak wszystko już mają. Nie wiedziałaś?

Gdy tylko Helena weszła do mrocznej, zatęchłej sieni, w której słyhać było nieustanne kapanie prysznic, uczucie szczęścia wyparowało z niej w ułamku sekundy. Również dzisiaj nie udało jej się opanować niepokoju, który dopadał ją zawsze przy wejściu do mieszkania. Za każdym razem, kiedy wkraczała do sieni,

coś ją przytłaczało. Coś, od czego nie potrafiła się uwolnić.

Wyjechała z Pragi, żeby uciec przed posępną ciasnotą, a także przed zaciekłym katolicyzmem babki splecionym z absurdalnym zabobonem. I gdzie wylądowała? W dworcowej dzielnicy Frankfurtu. Żadnej poprawy warunków! Nie wybrała tego mieszkania ze względu na położenie, a już na pewno nie dla jego wyposażenia. Lokum odpowiadało po prostu jej możliwościom finansowym. A te były teraz, gdy Alex przepuszczał akurat jej ostatnie grosze na dragi, właściwie zerowe.

Do diabła z Alekssem!

Milan proponował jej pieniądze, ale Helena odmawiała. Nie miała prawa ich przyjmować. Jeszcze nie. Na myśl o Milanie odczuwała wciąż bolesne rozczarowanie. Z drugiej jednak strony od dzisiejszego popołudnia zdawały się spełniać jej nadzieje. Producent wspominał o „niebiańskości” i o „mystery”. Dokładnie to samo pisał przed laty „Prazsky Denrk”. Że jest tajemnicą. Że jej taniec wyzwala w widzach iluzję unoszenia się w powietrzu.

Helena rzuciła jeansową kurtkę na podłogę. Każdy kiedyś dostaje swoją szansę, pomyślała. Także ona. Takie życie nie mogło długo trwać. Życie, które, jak mawiała Jess, nie było niczym innym niż tanim lotem na cmentarz z bezpośrednią przesiadką do piekła.

Ostrożnie zrzuciła trampki. Wzdrygnęła się z bólu. Na chwilę przymknęła oczy i pod powiekami ujrzała błyskawicę, jasną połamaną linię. Boso podreptała do łazienki, w której odpadały kafle, a w kącie rozrastała się zielona plama. Rozpięła zamek wąskich jeansów, ściągnęła je i odsunęła zimną, wilgotną zasłonę prysznicza. Gdy odkręcała wodę, rozległ się dzwonek u drzwi.

Do cholery, Jess, czy nie mówiłam ci, że dziś chcę mieć święty spokój? Czemu ona zawsze i we wszystko się wtrąca? Zupełnie jak *babička*.

Pieniądze były jednak Helenie potrzebne.

Dlaczego oddała ostatnie grosze ćpunowi? Który do tego prześladował ją jak podglądacz? Lubieżne spojrzenia Aleksa paliły jej piersi. Ta nieskrywana żądza w męskich oczach odbierała jej wszelką siłę sprzeciwu.

Westchnąwszy, z powrotem ubrała spodnie.

Opierał się o framugę drzwi z ręką wepchniętą niedbale do kieszeni spodni. On? Jego akurat się nie spodziewała. Co on tu robił?

- Czego chcesz? Jestem zmęczona.

- Od kiedy jesteś zbyt zmęczona na taniec? - Ironiczny uśmiezek błąkał się po jego opuszczonych kącikach ust. Przepchał się koło niej do sieni. Czarny płaszcz musnął jej twarz.

- Na taniec? - spytała zmieszana.

Przyglądał się jej. Pod ciemnym rondem kapelusza dostrzegła w jego spojrzeniu ową śmiertelną powagę, tak dla niego typową. Dlaczego nikt poza nią nie widział, co zdradzały te rysy twarzy? Do licha, nie powinna była się z nim zadawać.

Ale czy miała wybór? Nie. Również on był częścią jej niespełnionych nadziei.

- To był ciężki dzień - oznajmiła zmęczonym głosem i demonstracyjnie ziewnęła. - Nie mam czasu. Przyjdź kiedy indziej.

- Zatańcz dla mnie - powiedział, a jego szorstki ton wskazywał, że nie ustąpi.

- Nie dzisiaj.

- Zapłacę.

Potrząsnęła głową, ale zaraz potem przypomniawszy sobie o ostatnim banknocie, który oddała.

- Ile masz?

Podniósł rękę.

Pięćdziesiąt euro? Czemu nie! Za to mogłaby przeżyć dwa tygodnie.

Helena słyszała za sobą jego ciche kroki. Szuranie po podłodze przyprawiało ją o zimny dreszcz. Jakby skradał się za nią tylko jego cień, podczas gdy on sam jednocześnie wypełniał całe jej mieszkanie.

Dotarłszy do pokoju ćwiczeń, odchrząknęła i wskazała ławkę obok drzwi balkonowych.

- Usiądź. Muszę się przebrać. Czy może chcesz, żebym tańczyła w jeansach?

- Nie, weź czerwoną. Włóż tę czerwoną sukienkę!

Szybko wyszła z pokoju. Czy na spuchnięte stopy zdoła ponownie wzuć buty, w których tańczyła cały dzień? Gdy w umywalce ciepły strumień powietrza z suszarki rozgrzewał i rozmiękczał buty, okleiła stopy plastrem, a potem wepchnęła świeżą watę w czubki obuwia.

O cholera! Pierwszy krok zabolął, jakby obcinano jej stopy. Zacisnęła zęby i włożyła czerwoną sukienkę, która tak ciasno przylegała do jej ciała, że brakowało jej tchu. Potem wróciła do pokoju ćwiczeń. On spokojnie siedział na ławce. Przeglądał opowiadania Kafki, jakby zamierzał się z nich ponaśmiewać.

- To co mam zatańczyć?

Podał jej CD opakowane w ozdobny papier.

- Proszę. To na urodziny.

Coś w niej wzbraniało się przed przyjęciem paczuszki. Ochryply głos *babički* przestrzegał: „Otwieranie prezentu w przeddzień przynosi nieszczęście”.

Niecierpliwie rozerwał papier i pochylił się, by włożyć płytę do odtwarzacza.

- Jazda! Tańcz wreszcie!

Drżąc, ustawiła się. Jej ciało było zmęczone, wykończone, wręcz skapcianałe. Miała wrażenie, że może nim poruszać tylko ostatkiem sił.

Rozległa się głośna muzyka.

Jeden piruet po drugim.

Le Tour en l'air.

Sissonne ouverte.

Sissonne fermée.

Potem znów ta krzepiąca myśl o pieniądzach, których tak potrzebowała.

Nieważne, że piekły ją stopy, a mięśnie napinały się do granic wytrzymałości, niczym struna, która zaraz może pęknąć. Cieleśny ból to tylko mechaniczny opór, który tancerka musi pokonać. Czyż przez te wszystkie lata nie nauczyła się go uciszać? Jej umysł wyćwiczył się w postrzeganiu organizmu jak maszyny. Im brutalniej traktowała swoje ciało, tym mniej udręki sprawiały jej wykonywane ruchy.

Czy dlatego nie poczuła pierwszego uderzenia? Że prawie nie rejestrowała cieleśnego bólu? Zamiast tego doznała wręcz zaspokojenia. Niewyjaśnionej pociechy.

Zachwiała się tylko lekko, była wytrenowana w utrzymywaniu równowagi. Drugi cios trafił w kolano. Zatoczyła się, wytrącona z rytmu. Niezupełnie pojmowała, co się działo, cały czas słyszała rozkaz:

- Tańcz!

Ten wysoki świst. Szelest. Szum.

Dopiero przy trzecim uderzeniu jej ciało przeszył ból.

Czwarty cios: skóra pękła na łydkach, potem na udach. Rwała się jak kruche tworzywo, niczym stary papier.

Oderwać ciało od ziemi. Przenieść w stan nieważkości. Wzbudzić w widzach wrażenie, że sami tańczą. Nierzeczywistemu nadać status realności i pewności. Tchnąć życie w to, za czym tęskni publiczność.

Głos babci: „Nie rób takich ceregieli! Tańcz! Ból pojawia się tylko, gdy się zatrzymujesz. Musisz się nauczyć znosić cierpienie, przewycięzać słabości. Tak jak Jezus. Męka twojego ciała to twój krzyż! Dopiero gdy ją przewyciężysz, będziesz mogła być nazywana prawdziwą primabaleriną!”.

I Helena Baarová tańczyła dalej.

Pusta droga. Śmigający po bokach szpaler drzew. Szary asfalt, który staje się jedną, jedyną linią. Zrozumienie, czym jest wieczność, za którą tęskni człowiek, który nigdy nie chce umrzeć.

Długo czekała na tę chwilę - zapomnienia, że tańczy. Chwilę, w której ostatecznie uwolniła się od katuszy dręczących jej ciało.

„To twoja ofiara dla sztuki”, usłyszała ochryply szept babci.

Nie czuła podłogi pod stopami. Ból? Nie miał już nad nią władzy. Wyłączyła go jak sztuczne oślepiające światło.

Krew wypływała z ran, a Helena leżała na podłodze i myślała, że nadal tańczy. Miała wrażenie, że jej ciało jest wahadłem, które samotnie utrzymuje równowagę ziemskiego globu.

Przyglądała się własnej śmierci, a ów widok, uroczo wręcz lekki, był niebiańsko piękny. Scena finałowa stała się objawieniem. Helena po raz pierwszy pojęła całe misterium człowieczego cierpienia.

FRANKFURT NAD MENEM

SOBOTA, 28 KWIETNIA

2

Miriam Singer obserwowała z łóżka, jak za oknem ciągną ciemnoszare chmury. Obawiała się najgorszego. Głośno westchnęła. W niektóre dni po prostu nie robiło się jasno, ani na dworze, ani w sercu.

Po okropnym koszmarze, który dręczył ją całą noc, przeżyła w ten sobotni poranek jedną z najbardziej gorzkich kłótni z Henrim w dotychczasowej historii ich rocznego związku. Może nawet i najgorszą. A przy tym była to zaledwie króciutka chwila, podczas której jej myśli umknęły jego pocałunkom. Naprawdę, tylko przez moment pomyślała o swojej pracy prokuratora.

Zastanawiała się, czy powinna mu opowiedzieć o mężczyźnie, który noc w noc ścigał ją we śnie, obcinał jej włosy, a potem długimi zimnymi palcami wpychał te obcięte kędzioły do jej ust. Tak, wsuwał je do krtani tak głęboko, że nie mogła oddychać ani nawet krzyknąć. Miała wrażenie, że jej własne włosy zamieniały się w kleiste nici, niczym pajęczyna między zębami.

Ale Miriam nie zносиła współczucia. Wzdychając, przeczesła palcami swoje loki. Nie, zwyczajnie nie potrafiła przyzwycząić się do krótkich włosów.

- Cholera, spędzamy ze sobą za mało czasu - usłyszała głęboki głos Henriego.

Czy to jej wina, że obydwójce mieli ciężką pracę? Nie tylko ona, również on jako komisarz we frankfurckim prezydium policji był na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mieli normowanych godzin pracy i właściwie nie mieli wspólnych weekendów.

- To przecież chore! - ciągnął dalej. - Ty siedzisz codziennie ponad dwanaście godzin w biurze. Równie dobrze mogłabyś się przeprowadzić do sądu. Teraz rozumiem, po co kiedyś były mieszkania służbowe dla urzędników. Dożywotni status pracownika państwowego. Czy to znaczy, że każdą minutę swojego życia chcesz oddać ku chwale ojczyzny?

Szczerze mówiąc, Miriam uważała swoje życie za doskonałe. Teraz przekonała się jednak, że Henri był innego zdania.

- Sprawa trójkąta bermudzkiego - zaapelowała, licząc na jego zrozumienie. - Muszę zdecydować, czy w poniedziałek wnieść oskarżenie, czy nie. Hillmer siedzi mi na karku. Mam negocjować z oskarżonym, żeby mi powiedział, gdzie ukrył ciało żony. Wiesz, że jestem przeciwna układom w sądzie i nie cierpię tych korupcyjnych ulg w zamian za ujawnienie prawdy. Czy my jesteśmy jakimiś handlarzami, czy co? Nie! Tu nadal chodzi przecież o prawo.

Henri wyprostował się i zdjął nogi z łóżka. Siedział plecami do niej. Dlaczego dopiero teraz uświadomiła sobie, że ostatnimi czasy był coraz bardziej małomówny, gdy chodziło o jej pracę? Zamiast odpowiedzieć, grzebał w stercie ubrań, która zsunęła się z krzesła, aż wreszcie wydobyl z kieszeni koszuli paczkę cameli.

Od rzucenia palenia przez Miriam minęło czternaście miesięcy. Musiała przyznać, że stopniowo zaczęła się zachowywać jak wojowniczka nawrócona.

- Czy nie umawialiśmy się, że nie będziesz palił w sypialni? - zapytała rozdrażniona.

- To ja płacę czynsz za to mieszkanie, więc to ja decyduję, gdzie pałę.

Nadal siedział plecami do niej.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

Przez kilka minut panowało milczenie, aż wreszcie Henri się odwrócił. Coś w wyrazie jego twarzy boleśnie ukłuło Miriam.

- Powiedz, czy ty sama tego nie widzisz?

- Czego?

Wstał, zapalił papierosa i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Powinnaś być ze mną na sto procent, a nie tylko na pół gwizdka. Czy to zbyt wiele?

- Sto procent to zawsze za dużo - odparła zuchwale Miriam. - Każdy to wie.

- Ale czy ja, do jasnej cholery, za dużo oczekuję, gdy chcę, żebyś myślała o mnie, kiedy cię całuję, a nie o jakichś mężach, którzy pomordowali żony?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Miriam próbowała zaprzeczyć temu, że Henri jak zwykle przejrzał ją na wylot.

- Skoro sama tego nie widzisz... W każdym razie chodzi o to, że nie mam już ochoty na ten... łóżkowy związek.

- Łóżkowy związek? - zdziwiła się Miriam. - Przecież łączy nas nie tylko seks.

- Aha, zgadza się. Mamy przecież jeszcze kontakty służbowe. - Kpina w jego głosie raniła.

Zaciągnął się głęboko, powoli wypuścił dym i poważnym tonem oznajmił:

- Chcę, żebyśmy zamieszkali razem.

Jeszcze tego brakowało.

- Okej, super. Chcesz zatem, żebym w sobotę o dziewiątej rano decydowała o całkowitej zmianie mojego życia. Dlaczego teraz? Dlaczego dzisiaj rano?

- W takim razie kiedy?

- Mogłeś przynajmniej coś wcześniej...

- Kiedy? - Henri podniósł z podłogi spodnie. - Mam dość, rozumiesz? Chcę, żebyś co rano budziła się obok mnie, mimo że masz odgniecenia na twarzy i potargane włosy. - Rzucił jej jedno ze swoich mrocznych spojrzeń. - Naburmuszona, bo musisz wstać przed świtem albo dlatego, że nie dostarczyli gazety. Wiem, że jestem od ciebie starszy, grubszy, nudniejszy, ale... bardzo chciałbym, żebyś zamieszkała ze mną w tym mieszkaniu. Jest wystarczająco duże. To najwyższy czas, rozumiesz? Ja nie młodnieję.

Miriam zamknęła oczy. O Boże, nie, nie rób mi tego.

- Za trzy miesiące skończę czterdzieści cztery lata. Czterdzieści cztery - powtórzył. - Ty masz trzydzieści cztery...

- Tak dokładnie nie chciałam się tego dowiedzieć...

- Do diabła, ja muszę podjąć decyzję, czy chcę mieć jeszcze dzieci.

Ron, pomyślała Miriam, to wszystko twoja wina. Twoja i Berit. Czy musieliście koniecznie wydać na świat bliźnięta? I wszystkim świecić dobrym przykładem?

- Powiedz coś! - usłyszała Henriego.

Jeśli powie „nie”, wyprosi ją. Ale „tak” nie potrafiła wybąkać. Nie istniało nic pomiędzy. Pozostawało tylko milczenie.

- Hej. - Głos Henriego obniżył się o jedną oktawę.

Stał obok niej, nachylił się i przywarł wargami do jej nagiego ramienia. Jego lewa dłoń wsunęła się w jej włosy, przysunął jej twarz do siebie. Na chwilę zamknęła oczy i rozkoszowała się tym. Henri cholernie dobrze wiedział, które miejsca jej ciała wręcz wołały o dotyk. Potem znowu przypomniało jej się żądanie zamieszkania z nim. Odsunęła się, otworzyła powieki i spojrzała mu prosto w oczy. O Boże! Ich kolor zatrwajająco przypominał najbardziej ponury, niebieski okres w twórczości Picassa.

- Powinnaś znowu zapuścić włosy - powiedział i wyprostował się, by sięgnąć po koszulę leżącą na drugim końcu łóżka.

Jej mięśnie mimowolnie się naprężyły. Nie umiała zapomnieć o tamtej chwili...

- Jeżeli zamieszkasz ze mną, nie będziesz już nigdy musiała się bać.

- Zamieszkać razem? To ważna decyzja. Potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- Miłość to nie jest pole do rozważań - zauważył Henri i przecesał palcami gęstą płową czuprynę. A energiczny sposób, w jaki zapinał pasek, wskazywał, że rozmowa zmierza na poważne tory i przemienia się w kłótnię.

Tego akurat Miriam nie potrzebowała. Dość miała sporów w sądzie. Do tego grała gorszymi kartami. W przeciwieństwie do niej Henri się przygotował. Ona nie miała nawet szkicu mowy obrończej, podczas gdy on przypuszczalnie od dawna gromadził poszlaki.

Henri włożył białą koszulę. Jego kark osłaniały jasne kędziory. Okej, Miriam uwielbiała ten widok. Ale przecież kochanie karku mężczyzny to jeszcze nie powód, żeby się do niego przeprowadzać.

Tymczasem on nagle się odwrócił.

- To jak brzmi twoja odpowiedź?

Zamknęła oczy. Gdyby tak nie przyszła znowu do niego... Nie pamiętała już, kiedy ostatnio spała we własnym łóżku. Dlaczego zatem wzbraniała się przed zamieszkaniem z nim?

Z prostego powodu: wprowadzić się to pestka, wyprowadzkę można jednak porównać do militarnego odwrotu. Musiałaby ogłosić kapitulację.

Odsunęła kołdrę. Boże, gdzie jej ubrania? W łazience. Ale czy powinna teraz paradować przed Henrim nago?

- Przecież dobrze jest, jak jest - oznajmiła, szukając jakiegoś kawałka

materiału. – Dlaczego mamy coś zmieniać?

– Czy ty nigdy nie myślałaś o dzieciach?

Miriam poczuła bolesne ukłucie w piersi. Przez chwilę nie była w stanie oddychać. Usiłowała ukryć smutek, przybierając przesadnie żartobliwy ton.

– Od kiedy ujrzałam sińce pod oczami Rona, nie mówiąc już o plamach wymiocin na niezliczonych różowych koszulkach Berit, dzieci mam ochotę oglądać tylko w muzeum. Najlepiej za szybą pancerną, rozumiesz?

– Gdy obserwuję ciebie i bliźniaki... – Henri zgasił papierosa w pustym kieliszku po winie.

– Co takiego zauważyłaś?

Znów odwrócił się do niej, położył ciepłą dłoń na jej nagim kolanie, które nie protestowało, tylko reagowało z aprobatą.

– Całowałaś włosy Marie – wymamrotał tym swoim cudownym czeskim akcentem. – Przyłożyłaś usta do jej główki. Boże, czy tak trudno jest powiedzieć, że pragnie się dziecka?

– Wcale nie tęsknię za dzieckiem. – Miriam ogarniała histeria. – I nie wyjeżdżaj mi z gadkami o zegarze biologicznym... Może u ciebie tyka on jak bomba zegarowa, ale ja go nie słyszę.

– Uspokój się. – Coś w jego głosie sprawiło, że zamilkła. – Znasz mnie. Ja nie tak szybko się poddaję. Dlatego teraz poważnie i z pełnym przekonaniem pytam cię, czy...

Jego słowa przerwał znajomy, zwykle zniecierpliwiony dźwięk. Dzięki, Panie Boże, pomyślała Miriam, gdziekolwiek się podziewasz, wiedziałam, że mogę na Ciebie liczyć.

– To twoja komórka – powiedziała z ulgą.

– Nie spodziewam się żadnych telefonów. Jeżeli ktoś czegoś ode mnie chce, niech się nagra. Poza tym nie mam teraz dyżuru.

Mimo to wlepili oczy w aparat, który uporczywie dzwonił.

– To może być coś ważnego – zauważyła.

Henri westchnął. Miriam zdawała sobie sprawę, że mógł poczuć się zraniony, ale jak miała mu wytłumaczyć, co się w niej działo? Nie była przygotowana do tej rozmowy, całkowicie bezbronna. Istniało zbyt wiele rzeczy, których nie wiedział. Wspomnień, które skutecznie wyparła. W świecie jej uczuć panował zamęt. W porównaniu z tym kosmos zdawał się prymitywnym układem.

– Co jest? – usłyszała rozdrażnione pytanie Henriego.

Potem zapadło długie milczenie, aż wreszcie wymamrotał:

– Już jadę.

Westchnął z rezygnacją.

– Kto to był? – zapytała.

– Ron.

– Co się dzieje?

– Jeśli dobrze zrozumiałem, jakieś prawdziwe zwyrodnialstwo. – Wyciągnął spod łóżka buty.

To zdanie oznaczało, że gdzieś we Frankfurcie leżał trup. Że ktoś w tym mieście zmarł w wyniku użycia przemocy. Niezależnie jednak od okropności, jakie miała obejrzeć Miriam, jednego była pewna: jeszcze nigdy nie była tak wdzięczna trupowi jak temu.

Volkswagen bus staranował krawężnik, przejechał kawałek chodnikiem, aż wreszcie stanął. Henri przez całą drogę milczał, teraz jednak odwrócił do niej twarz. Tego wyrazu jeszcze nigdy u niego nie widziała.

Każdy dzień powinien dawać jakąś drugą szansę. Chciałaby znowu leżeć obok niego w łóżku z iluzją, że następne dwadzieścia cztery godziny uda się przetrwać bez szwanku.

- Henri...

- Nie, nic nie mów. Ja...

- Było przecież dobrze, jak było. - Z jakiej szuflady w jej mózgu pochodziło to zdanie? Brzmiało jak tani slogan reklamowy. - Może ty... marzysz o rodzinie, ale, wierz mi, ja nie nadaję się do tego projektu.

- Posłuchaj - Henri wyjął klucz ze stacyjki - chcę, żebyś spakowała swoje rzeczy.

- Co?

- Spakuj swoje rzeczy.

Wyrzuca ją?

Ją?

To nie w jej stylu. Dotychczas była zawsze opuszczana po cichu i ukradkiem albo to ona w dramatycznym geście wystawiała walizkę faceta za drzwi.

- Dlaczego? - zapytała. O Boże, jej głos się łamał. Brzmiał jak kreda, która piszczy, kiedy pisze się nią po tablicy.

- Ja... - Henri spojrzał na nią - ja nie potrafię tak dalej. Chcę, żebyśmy mieszkali razem.

- Ale...

- Nie, żadnych ale. - Potrząsnął głową. - Musisz się zdecydować.

- Na co?

- Na coś. Bo ja dokładnie wiem, czego chcę: resztę życia...

- Masz dopiero czterdzieści cztery lata - przerwała mu szybko.

- Resztę życia chcę spędzić z tobą. - Wzruszył ramionami. - A jeśli ty tego nie chcesz, nasze drogi muszą się rozejść. - Odpiął pasy i złapał za klamkę, nie patrząc na Miriam.

- Nie mówisz poważnie!

Na chwilę się odwrócił.

- Tak myślisz? Proponuję, żebyśmy robili to, czego chciałaś od początku. Będziemy współpracować na płaszczyźnie zawodowej, a poza pracą każde z nas pójdzie własną drogą. - Wysiadł i zatrzymał się na moment. - Daję ci miesiąc na podjęcie decyzji.

Podjęcie decyzji, pomyślała Miriam. Cholera jasna, ja nawet nie potrafię

zdecydować, co rano na siebie włożyć.

3

Boże, ta nieznośna woń. Słodkawa, a zarazem gorzka. Jakby ktoś zwymiotował. Jakby w pomieszczeniu panowała wilgoć wydzielana przez zatechłą bieliznę, nieświeży pot albo śmierdzący oddech. Jakby gdzieś narobił kot.

Pomieszczenie się chwiało. Wszędzie krew. Obryzgana podłoga. Czerwone, pochłapane ściany. Pomazane okno.

Dopiero po chwili Miriam zrozumiała, że wrażenie chwiejności dawały lustra. Ich tafle pokrywały dwie ściany, po lewej i po prawej. Pomieszczenie ze zwierciadłami na stosunkowo małej powierzchni. Nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych.

Po raz pierwszy Miriam wyobraziła sobie, czym może być klaustrofobia. W tym malutkim pokoju tłoczyli się policjanci i technicy, których zwielokrotniały lustra. Zabrakło jej powietrza. Narastała w niej panika, że inni zaraz ją stratuja. Wzmagało się napięcie w tyle głowy. Czuła, jak do gardła podchodzi jej wypita wcześniej herbata pomieszana z gorzkim smakiem soków żołądkowych albo żółci, pozostawiająca w ustach obrzydliwy kwaskowaty smak.

Na lewo od drzwi stał komisarz Ron Fischer i pochylał się nad zwłokami. Jego dłonie tkwiły głęboko w kieszeniach znoszonej czarnej skórzanej kurtki, z którą nie potrafił się rozstać. Głowę miał przechyloną, przez co Miriam przez chwilę miała wrażenie, że się modli. To jednak byłoby ostatnią rzeczą, którą robiłby Ron. Teraz odwrócił się w jej stronę, wyprostował i przeczesał palcami nieliczne kosmyki włosów. Odkąd tu i ówdzie pojawiły się w nich srebrne nitki, nosił możliwie krótkie fryzury, by zatuszować siwiznę.

- Ach, Miriam, dobrze... Henri też jest?

- Gdzieś tu musi być - wymamrotała w nadziei, że Ron nie zauważy oznak kryzysu w ich związku. - Jak tam Marie i Finn?

- Zasnęli - westchnął Ron - jak tylko wyszedłem z domu. - Jego twarz rozszerzyła się w uśmiechu zadowolenia, co ewidentnie kontrastowało z cierpieniem w tonie głosu. - Są cicho dokładnie do czasu, kiedy wracam. Ale biada mi, jeśli wsunę nogę pod koc.

Nie powinna była poruszać tematu dzieci, dlatego szybko zmieniła temat rozmowy.

- Co tu mamy?

- Sama zobacz. - Ron odsunął się na bok.

Miriam wpatrywała się w postać wyciągniętą na podłodze. Długie nogi szeroko rozsunięte, rozłożone ramiona.

A więc to jest świat, do którego dobrowolnie się pakuję, przemknęło jej przez myśl. Henri ma rację? Co za obłęd!

Dziewczyna miała na sobie czerwoną sukienkę, nie dłuższą niż koszulę. Jeden z tych kostiumów w stylu łyżwiarek figurowych. Jej ciało sprawiało wrażenie uderzająco drobnego, wręcz filigranowego. To, że nie rozpadło się już

po pierwszym zadanym ciosie, graniczył z cudem.

Zwyrodnialstwo. Ron słyszał z przesady, tym razem jednak trafił w sedno. W mgnieniu oka zrozumiała, co miał na myśli. Na plan pierwszy wysunęły się tu najgłębsza nienawiść i wściekłość, które przerodziły się w orgię przemocy.

Głęboko nabrała powietrza, nie odrywając wzroku od szeroko otwartych, wręcz nagich oczu. Emanował z nich lodowaty chłód śmierci. To spojrzenie było ostatnim rozpaczliwym błaganiem o pomoc, którego nikt nie widział. Nikt oprócz sprawcy.

- Nie więcej niż dwadzieścia lat - usłyszała szept Rona za swoimi plecami.

- Była piękna - zauważyła. - Nadal jest piękna - poprawiła się natychmiast.

Nietknięte zdawały się tylko długie ciemnobrązowe włosy, które niczym kurtyna okalały głowę dziewczyny. Ich bujna gęstwina wywołała w Miriam poczucie straty. Pomyślała o swoich własnych włosach, które ponad rok temu obcięto jej nożem.

- Ani jednego kawałka skóry w całości - powiedział Ron. - Jakby się zupełnie rozsypała.

- Dobra, Ron, nie musisz wyliczać wszystkich szczegółów - rzuciła Miriam, ale kolega nie przestał mówić.

- Bił ją, aż wyszło na wierzch żywe mięso, aż trafiał na kości. Porozrywana jest nie tylko skóra, lecz także mięśnie, nerwy. Regularnie ją posiekał.

- Boże, Ron, wystarczy.

- Boże, Boże - powtórzył sarkastycznie, niemalże złośliwie. - A kto to taki, do jasnej cholery, ten Pan Bóg, którego przywołujesz? Że też jako inteligentny, oświecony człowiek w ogóle jeszcze używasz tego wyrażenia! To zakrawa niemal na ignorancję. Zupełnie, jakbyś nie chciała widzieć, co się dzieje na świecie, w tym kraju!

- Daj spokój z tą melodramatyczną gadką, stary.

Miriam poczuła ulgę, kiedy zjawił się Henri.

Naprawdę powinnam zapomnieć o tej naszej śmiesznej awanturze dziś rano, pomyślała. Nie mówił tego poważnie. Henri jednak ją ignorował. Nałożył rękawiczki, uklęknął i nachylił się nad dziewczyną. Przez kilka sekund wpatrywał się w martwe oczy, z których krzyczało przerażenie, a potem delikatnie przesunął prawą dłoń po powiekach i zamknął je na zawsze.

- Czym to zrobił? - zapytała. - Użył noża?

- Nie. - Henri pokręcił stanowczo głową, podnosząc się z kolan.

- Więc w takim razie co?

- Myślę, że pejcz - stwierdził spokojnie. - Wychłostał ją.

- Wychłostał? - mruknął Ron przez zaciśnięte usta. - Wychłostał? Ta dziewczyna została ubiczowana!

Ubiczowana. Czy ten wyraz jeszcze istniał? Czy nie znajdował się na szczycie wymierających słów? Tych zagrożonych odejściem w niepamięć?

- Gdzie się podziewa Veit? - zapytała Miriam. Obecność lekarza sądowego doktora Henninga Veita zawsze wpływała na nią uspokajająco.

- Już do niego dzwoniłem - oznajmił Ron. - Jennifer ma występ taneczny w szkole, ale już do nas jedzie.
- Masz jakieś informacje na temat zmarłej? - Henri pochylił się i podniósł książkę, która leżała otwarta na podłodze.
- Moment. - Ron wydobył notes. Miriam ze zdziwieniem stwierdziła, że drżały mu ręce. - Nazywa się Helena. Helena Baarová.
- Czeskie nazwisko - skomentował nieobecny głosem Henri, przeglądając książkę.
- Wynajmowała to mieszkanie - ciągnął Ron. - W jej torebce znaleźliśmy legitymację studencką.
- Kto znalazł zwłoki? - zapytał Henri.
- Dwóch chłopaków.
- Co to za chłopcy?
- Uczniowie. Piętnaście i szesnaście lat.
- Czego tu szukali? - Henri nadal wyrywkowo podczytywał książkę.
- Ta dziewczyna ma dziś urodziny.
- Henri podniósł wzrok.
- Urodziny?
- Tak. Chcieli jej złożyć życzenia, przynieśli nawet kwiaty. - Ron wskazał ręką bukiet uwiedłych żółtych róż, który leżały na podłodze przy drzwiach balkonowych.
- Gdzie oni teraz są?
- Jednego z nich musieliśmy... - Ron rzucił badawczo okiem do notatek. - To David Hus. Musieliśmy go zawieźć do szpitala. Dostał ciężkiego ataku astmy. Chyba zatrzymają go na noc. Na obserwacji.
- Co z tym drugim?
- Dopóki się nie zjawiliśmy, Simon zachowywał zimną krew. Wiedział nawet, jak przyjacielowi udzielić pierwszej pomocy. Ale załamał się, gdy przyjechaliśmy. Według lekarza z pogotowia to tylko lekki szok. Dostał środek uspokajający i został zawieziony do domu przez jednego z naszych ludzi, który spisuje jego zeznania.
- A ten drugi chłopak? Jak on się nazywał?
- David.
- Aha. Kiedy będziemy mogli porozmawiać z Davidem?
- Gdy lekarz na to pozwoli. Naprawdę myślałem, że on nie przeżyje tego ataku. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Był kompletnie siny na twarzy, jakby przyleciał prosto z Marsa.
- Marsjanie są zieloni - odparł niewzruszenie Henri. - Powinieneś to wiedzieć, w razie gdyby twój syn cię kiedyś o to zapytał.

Doktor Henning Veit przyjechał po mniej więcej dziesięciu minutach. Zwykle nosił ciemne ubrania, teraz jednak miał na sobie jasny garnitur, co sprawiało niecodzienne wrażenie. Przywitał ich tylko skinieniem głowy i natychmiast

przystąpił do pracy.

Jego dłonie najpierw powoli musnęły palce dziewczyny, jakby próbował ją uspokoić. Potem wydobył z torby nożyce i zaczął rozcinać czerwony trykot od dekoltu w dół. Jego ruchy były ostrożne, jednocześnie raz po raz omiatał wzrokiem ciało zabitej, zapamiętując każdy szczegół.

Miriam chciała, by coś powiedział. Cokolwiek.

- Czy sprawca ją związał? - przerwała milczenie. - Żeby się nie broniła?

Veit wyprostował się i zdjął marynarkę.

- Nie. - Odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów. - Nie sędzę. Nie widzę żadnych śladów na nadgarstkach.

- Ale... - Miriam czuła irytację, zamęt. - Dlaczego się nie broniła?

Veit zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, aż wreszcie, głęboko westchnąwszy, powiedział:

- Ta dziewczyna się ruszała.

- Ale...

- Szczerze mówiąc - Veit odwrócił się do Miriam plecami i znów nachylił się nad zwłokami - myślę, że tańczyła, dopóki mogła utrzymać się na nogach.

Tańczyła? Słowo zawisło w powietrzu. Nie miało sensu. Co to miało znaczyć? Że sprawca niezmordowanie, wręcz bezlitośnie poganiał dziewczynę batem, a ona kręciła się w kółko? Jak porcelanowa balerina na kiczowatej katarynce? W rytm Mozartowskiej *Małej nocnej muzyki*?

Czy właśnie coś takiego Veit miał na myśli? Czy to miała sobie Miriam wyobrazić? Że dziewczyna po prostu tańczyła, podczas gdy pejcz smagał jej ciało? Veit chyba nie mówił poważnie.

- To chore. - Miriam potrząsnęła głową. - Nikt dobrowolnie tego nie robi.

Lekarz rzucił jej wymowne spojrzenie, które mówiło, że widział już zbyt wiele, by nie wierzyć w to, co niemożliwe i niepojęte.

- To prawda, była tancerką - odezwał się Ron. Wskazał na liczne zdjęcia zdobiące jedną ze ścian.

Niewątpliwie Helena Baarová. W różnych kostiumach i pozycjach.

- Popatrz - usłyszała głos Veita.

Ponownie spojrzała na dziewczynę. Palec wskazujący lekarza sądowego przesunął się wzdłuż szczególnie głębokiej pręgi, która prowadziła od mostka w lewo przez talię na plecy. Potem palec zbliżył się do rozcięcia na podudziu.

- Co masz na myśli? - Miriam nie potrafiła dojrzeć niczego poza krwawymi pręgami na porcelanowej cerze, której prawie nie można już było zidentyfikować jako skóry.

- Przyjrzyj się dokładnie! - ponaglił ją Veit.

Miriam przyklęknęła, zmarszczyła oczy. Veit mówił jej kiedyś, że podczas oględzin zwłok zawsze wyobraża sobie człowieka tak, jak wyglądał, kiedy poruszał się, mówił. Bez ran, uszkodzeń, w całości. Krótko mówiąc: kiedy żył.

Miriam przymknęła oczy... rzeczywiście... smukłe białe ciało dziewczyny. Jak się nazywała? Helena! Głęboko zaczerpnęła powietrza. A wraz z oddechem

weszła w niej fala adrenaliny, wynosząc na powierzchnię wściekłość. Wściekłość i gniew.

- Skórę można porównać do cebuli - usłyszała rzeczowy głos Veita. - Pręgi, które pozostawiło na ciele narzędzie zbrodni, mają różną głębokość. Rozróżniamy trzy warstwy skóry: naskórek, skórę właściwą i tkankę podskórną. W zależności od siły uderzenia obrażenia sięgają różnych warstw. Tutaj na udach nie dochodzą głębiej niż do skóry właściwej. Ale na klatce piersiowej popękały grubsze naczynia krwionośne, które znajdują się w tkance podskórnej. Siła impetu była więc większa!

- Ale... - Miriam słyszała zwątpienie we własnym głosie. - To przecież jeszcze nie znaczy, że tańczyła.

- Taka siła, ten niesamowity impet uderzeń mógł powstać tylko wtedy, gdy dziewczyna się poruszała.

- Broniła się - wymamrotała Miriam, pragnąc tego z całego serca.

- Wtedy nie doszłoby do zadania tak pięknego, równomiernego cięcia. Patrz dokładnie! Musisz zwrócić uwagę na dwie rzeczy.

Miriam wlepiła wzrok w krwawą pręgę, którą wskazywał opalony palec Henninga.

- Przede wszystkim weź pod uwagę głębokość rozcięcia. - Ostrożnie rozchylił brzegi rany, a potem wsunął palec w bruzdę. - Mogę dotknąć mostka. Poza tym dużo informacji daje przebieg pręg. Za każdym razem ta sama szerokość i głębokość. Prawie żadnych odstępstw od tej reguły. Pomóż mi - zwrócił się do Henriego. Wspólnie podnieśli trochę ciało. Jedną ręką Veit odsunął kostium. - Tutaj! Ta linia biegnie łukiem powyżej biodra do tyłu na plecy. Ofiara wykonywała więc obrót, ale nie w geście obrony. - Z powrotem ułożyli dziewczynę w początkowej pozycji. - Wyobraźcie sobie tokarkę, która obrabia kawałek drewna. - Veit wyjął z walizki maseczkę ochronną i założył ją na twarz. - Myślę, że wyników potrzebujecie jak najszybciej. Powiedzmy, poniedziałek po przerwie na lunch? Godzina czternasta? Dostaniecie jeszcze pisemne zaproszenie.

- Podaj nam przynajmniej przybliżony czas zgonu. - Henri nie odrywał wzroku od dziewczyny, jakby nie potrafił zaakceptować zniszczonej urody, co Miriam przypisało o absurdalne ukłucie zazdrości.

- Na pewno nie żyje dłużej niż dobę.

- I? - zapytał niecierpliwie Ron.

- Sądzę, że się wykrwawiła. Możecie wyjść z założenia, że biczował ją dopóty, dopóki w jej żyłach nie było już ani kropli krwi.

Po tych słowach Veit się odwrócił, by w skupieniu zająć się oględzinami zwłok.

- Niech państwo pozwolą! - zawołał ktoś. W podniesionym głosie zdawała się pobrzmiwać nutka radosnej ekscytacji.

Miriam natychmiast się odwróciła. Zobaczyła w drzwiach nieznanego młodego mężczyznę z rękami w kieszeniach wąskich jeansów.

- Co jest, Wagner? - odparł niecierpliwie Ron.

Miriam od razu zrozumiała, kogo ma przed sobą: Kevin Wagner, który od ośmiu tygodni zasilał szeregi zespołu Rona. Henri w ciągu tych dwóch miesięcy coraz ostrzej narzekał na nowego asystenta. Miriam natychmiast pojęła dlaczego. Nowy niewątpliwie zgrywał glinę z przeszłości. Poczynając od trzydniowego zarostu, nastroszonych włosów, a kończąc na białej koszuli noszonej na spodniach i krawacie zawiązanym z umyślną niedbałością.

- Najwyraźniej tańczyła nie tylko balet klasyczny. - Na twarzy mężczyzny malował się wyraz głębokiej satysfakcji. Krótko się zaśmiał.

Poszli za nim do schludnej sypialni znajdującej się naprzeciwko, gdzie Wagner z wyniosłym uśmiechem pokazał im coś, co Miriam tylko przy sporej dozie dobrej woli zdołała zidentyfikować jako bieliznę.

- Skąd pan to ma? - spytał Henri.

- Z głębin jej szafy. - Wagner nonszalanckim gestem wskazał mebel za sobą.
- Dziwka - ciągnął dalej. - Ktoś tu dał upust swojej fantazji. Dziwka trafia na seksualnego psychopatę. Materiał, z którego powstają marzenia. - Podniecająco mlasnął językiem. - Wiecie, o co chodzi. Idziesz do baby, nie zapomnij bata.

Miriam nie potrafiła oderwać wzroku od bielizny. Prostytutka. Czy to dlatego nie broniła się przed mężczyzną, który poganiał ją batem jak konia? Czy to ona zaczęła tę zabawę? Czy chodziło tu o jakąś odmianę seksualnych zwyrodnień, które jak grzyby po deszczu wyrastały na gruncie chorych fantazji - wraz z odpowiednimi stronami internetowymi? Ta hipoteza zdawała się sensowna. Mimo to, nie wiedząc dlaczego, poczuła rozczarowanie.

Wagner triumfująco przyglądał się Miriam, trzymając bieliznę tuż przed jej nosem. Jaką bieliznę? To coś nie zasługiwało na takie miano. Nie tylko dlatego, że było zrobione z czerwonej skóry, lecz również dlatego, że nie zdołałoby niczego zakryć, a przynajmniej nie tego, co Miriam objęłaby, powiedzmy, ochroną. W strategicznych miejscach poskąpiono materiału. Hm, właściwie w odpowiednich miejscach, poprawiła samą siebie. Do tego w kroczu i na piersiach znajdowały się liczne sprzączki i paski, które prowadziły pod szyję, by tam zbiec się w czymś, co przypominało psią obrozę.

Wagner nie przestawał paplać. O sadomasochizmie i o tym, że bez takiego czegoś nie można się obyć w tym środowisku. Niektórym facetom staje ponoć tylko wtedy, gdy mają odpowiednie bodźce. Może tym razem po prostu coś poszło nie tak. Mówiąc te słowa, parsknął nieprzyjemnym piskliwym śmiechem.

- Do jasnej cholery, niech pan się wreszcie zamknie - syknęła Miriam.

- Tutaj nie ma miejsca na czułośćkowość, pani prokurator! - zakpił Wagner z uśmiechem godnym stręczyciela.

- Wagner, to spekulacje. - Ron odebrał mu skórzany strój. - Poza tym niczego nie dotykamy bez rękawiczek. Kiedy to, człowieku, w końcu zrozumiesz?

- Gdy zadba pan o to, żeby wszędzie były przyszykowane rękawiczki i nie

będę musiał ich kupować.

Miriam postanowiła, że nazajutrz rano sprawdzi przede wszystkim, czy Kevin Wagner otrzymał już dożywotnie mianowanie na urzędnika państwowego, czy może istniała jeszcze jakaś szansa szybkiego się go pozbycia.

4

Laptop Davida przeszkadzał. Justin odsunął go na bok i drżącą ręką zapalił papierosa. Potem otworzył gazetę. Milan wyszedł bez słowa. To oznaczało ostateczne pożegnanie.

To give someone his marching order. Jak to się tutaj mówi? Puścić kogoś kantem, odprawić go.

Justin wielokrotnie próbował pogadać z Milanem, ten jednak, zwykle tak elokwentny i zawsze umiejący się jasno wysławiać, zawzięcie milczał. To była cisza przed burzą. Głębokie wrzenie w wulkanie, na chwilę przed wybuchem, gdy wewnątrz człowieka kipi, gdy kotłują się uczucia powstrzymywane tylko przecuciem kataklizmu.

Kiedy dojdzie do eksplozji? Niebawem. Lada chwila.

Justin odłożył gazetę, sięgnął po książkę i ją otworzył. W poniedziałek miał wygłosić referat przed ponad pięćdziesięcioma osobami. O czym miał mówić? Jak zachować zimną krew pod krytycznymi spojrzeniami Milana, które wykrywały każdą słabość? Równie dobrze mógłby być przezeń obserwowany pod mikroskopem. Czułby się jak insekt. Jak karaluch.

Będzie mówił o liście Kafki do ojca, przez cały czas myśląc tylko o tym, co się stało. Jak do tego doszło? Kiedy uczucia Milana ostygły? Co powinien był zrobić, zanim Milan kazał mu się wyprowadzić?

Kiedy to się zaczęło? Nie musiał się długo zastanawiać. Odkąd pojawił się ten nowy doktorant Paul Olivier. Syn genewskiego profesora matematyki, którego rzekoma inteligencja opierała się jedynie na sławie ojca, podczas gdy ojciec Justina, przeciętny nauczyciel w katolickim liceum w Philipsburgu w stanie New Jersey, utrzymywał rodzinę, z ledwością wiążąc koniec z końcem. Po tacie nie odziedziczył niczego poza sympatią dla Walta Whitmana, owym sentymentem dla szaleństwa poezji.

Czy to przypadek? Czy może ogłoszenia mieszkaniowe celowo leżały na stole? Milan we wszystkim, co robił, miał swój interes. Nie był człowiekiem przypadku. Nie, jego myśli, działania i pomysły kierowały się tylko jednym drogowskazem – egoizmem. To była gwiazda, która mu przyświecała. Ot, cała prawda.

Oczy Justina wypełniły się łzami. Nie musiał się ich wstydzić. Był sam. W domu nie było nawet Davida. Wyszedł jednocześnie z ojcem, jakby chciał mu dać sposobność do dyskretnego odwrotu. Mógł się spokojnie rozplakać. Nikt poza nim nie widział tych żalności.

Justin zaciągnął się ostatni raz, zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego. Drżącą ręką nalał kawy. Przyjrzał się sobie. Stwierdził, że jeansy na nim wiszą, szczerze mówiąc, na kościach miednicy przytrzymywał je tylko

ciasno zapięty pasek. Powinien coś zjeść. Ale jego żołądek się buntował. Układ krążenia też odmawiał współpracy. Funkcjonował jedynie rozum, który mówił mu, że to koniec, że... tak, jeśli chciał zachować godność, musi odejść dobrowolnie i znaleźć w tej cholernej gazecie jakieś mieszkanie.

Oczywiście mógł wrócić do Philipsburga. Do osiedla bungalowów. Do skoszonych trawników przed domami. Do niedzielnych grillowań z rodzinami jego trzech sióstr. Do rozmów o baseballu i czystych ulicach, które prowadziły wprost w próżnię dusz tamtejszych mieszkańców.

Mógłby też pracować jako nauczyciel w szkole ojca. Sama jednak myśl o tym wywoływała w nim panikę. Czułby się tam jak więzień: w ciasnym kosmosie domu rodzicielskiego, obowiązków i codziennej modlitwy – nie mówiąc nawet o setkach nudnych licealistów. W takim otoczeniu istniałyby tylko dwie możliwości. Albo wstąpić do jakiejś radykalnej sekty, albo podjąć strajk głodowy.

Rodzina jego ojca pochodziła z Brna. Ojczystym językiem dziadków był czeski. Ten język łączył go z Milanem.

Dziadkowie Justina ze strony matki wyjechali z Frankfurtu w latach dwudziestych minionego wieku. Nazwa Uniwersytetu imienia Goethego wywoływała w nim zawsze tęsknotę porównywalną do nagłych zachcianek na pianki cukrowe, hamburgera lub ogromny krwawy stek z kością. Decydując się na studia we Frankfurcie, chciał znaleźć swoje korzenie.

Zaczął przeglądać ogłoszenia mieszkaniowe. W Griesheim był jakiś pokój bez kuchni za jedyne dwieście pięćdziesiąt euro plus siedemdziesiąt euro kosztów eksploatacji. Dałoby się akurat wykrobać siedemset pięćdziesiąt euro kaucji.

Milan nie domagał się żadnego czynszu. Dopiero teraz Justin zrozumiał dlaczego. Opłata dawałaby mu prawo mieszkania tutaj, a to była ostatnia rzecz, jakiej chciał Milan.

Jego wzrok zatrzymał się na następnym ogłoszeniu. Kawalerka z balkonem na siódmym piętrze wieżowca. W Nieder-Eschbach. Justin wyobraził sobie, jak stoi na tym balkonie. Jak wspina się na barierkę i skacze. Znowu targnęła nim fala rozpacz, której impet nie pozwolił mu przez chwilę odдыchać.

Musiał się stąd wynieść. Byle dalej. Daleko. Uderzył pięścią w stół tak mocno, że przewróciła się filiżanka, zalewając gazetę kawą. Zerwał się i strącił przy tym nóż, który w drodze na podłogę minimalnie chybił jego kolano. A gdyby tak trafił? Prosto w serce.

Od odebrania sobie życia powstrzymywała go tylko myśl o matce. Jej cierpienie czułby nawet w chwili śmierci. Sprawiłoby, że stałby się żywym umarlakiem, niespokojnym duchem w grobie na cmentarzu w Philipsburgu, gdzie pochowano jego ojca.

W sypialni unosił się jeszcze zapach Milanowej wody po goleniu. Justin stłumił w sobie ponowny przypływ strachu, który dopadł go w progu. Przed ponad rokiem wprowadził się tu tylko z plecakiem. Wystarczy godzina, by spakować swoje rzeczy.

Kiedy odezwał się telefon, jego serce mocniej zabiło. Milan? Dzwonił, żeby przeprosić? Chciał go prosić o wybaczenie? Przekonywać, by został? Zapewnić o swojej miłości?

Rozemocjonowany pognął do salonu, żeby odszukać aparat. Przypomniawsobie jednak, że zabrał go do kuchni. Czuł, jak mocno wali mu serce, gdy drżącą dłońią odsuwał gazety, by odnaleźć telefon pod ogłoszeniami mieszkaniowymi.

- Tak? - O Boże. Ależ ochryple mówił. To nie był głos Milana, lecz kogoś, kogo nie znał, przez co w roztargnieniu zareagował po angielsku. - *I don't understand.*

- Czy źle się dodzwoniłem? - zapytał młody, energiczny głos po drugiej stronie. Nie czekając na odpowiedź, dzwoniący oznajmił: - Tu Kevin Wagner. Policja kryminalna. Dzwonię w sprawie Davida Husa.

- Davida? - powtórzył oszołomiony Justin. - Co się mu stało?

- Jestem z nim w szpitalu. Miał silny atak astmy. Chciałbym rozmawiać z jego ojcem.

- Nie ma go. Jest w drodze do Pragi. - Justin szybko rzucił okiem na zegarek. - Samolot właśnie wystartował.

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie, a potem głos znów przemówił:

- David musi zostać na noc na obserwacji w szpitalu. Może mógłby mu pan przywieźć parę rzeczy?

- Tak, oczywiście. Czy... Czy bardzo z nim źle?

- Dostał infuzję. Teraz jego stan jest stabilny.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Chwileczkę.

Jakieś szemranie w tle, aż wreszcie Justin usłyszał słaby głos Davida.

- David, co się stało? Nie miałeś przy sobie lekarstwa? I dlaczego dzwoni policja kryminalna?

- Helena nie żyje.

- Co?

- Helena nie żyje. Została zamordowana, a my... Simon i ja... my ją znaleźliśmy. Leżała na podłodze. Wszędzie było pełno krwi.

Zawiniła chyba monotonia w głosie Davida. Justin nie rozumiał ani słowa.

- Helena?

- Tak. Dzisiaj są jej urodziny. Skończy... miała skończyć dwadzieścia jeden lat. Rozumiesz? Helena nie żyje. Ktoś ją... To było straszne.

Justin usłyszał, jak David zaczyna z trudem oddychać, jak walczy o każdy haust powietrza. Cokolwiek się wydarzy... Dopóki Milana nie było, Justin czuł się za chłopca odpowiedzialny.

- Zaraz przyjadę. Co ci przywieźć?

- No wiesz, piżamę i tak dalej.

- A co z twoimi lekami?

- Są w łazience i...

- Co?

- Przywieziesz mi mojego laptopa? Tutaj jest beznadziejnie, kapujesz. To jak Guantanamo dla cherlaków.

- Dobra. Ale akurat temu my, Amerykanie, nie jesteście winni.

David krótko się roześmiał.

- Nie.

- Jeszcze coś?

- Proszę, nie dzwoń do mojego ojca. Nie powinien się martwić.

- Okej.

- Narazicho.

- Do zobaczenia.

Choć wiadomości nie były radosne, Justin nie potrafił powstrzymać uśmiechu. To ironia losu, że po raz pierwszy nawiązał prawdziwy kontakt z Davidem na krótko przed opuszczeniem jego ojca. Jakby w jego życiu nic nie mogło się dzieć we właściwym momencie. Zaczęło się od tego, że ojciec Justina zmarł w dniu jego trzynastych urodzin. Zła synchronizacja. Tymczasem to właśnie ona, jak mawiano, była podstawą. Nieszczęścia nie powinny chodzić parami, tylko być zgrane w czasie z odrobiną szczęścia.

Potem pomyślał o Milanie. Jak zareaguje na śmierć Heleny?

5

Miriam zatrzymała się przed pokojem numer 412, nie wiedząc, czy ma zapukać, czy nie. Powinni byli zawiadomić Hannę Roosen, policyjną psycholożkę.

- Co z Hanną? - spytała cicho. - Przyjdzie?

- Jest na urlopie - odparł Ron. - Poleciała na jakąś wyspę.

- Akurat teraz. Nie ma nikogo innego?

- Chcesz mieć tu Johnsona?

Johnson? Biegły sądowy, który pracował dla zespołu psychologów i z którym regularnie darła koty, gdy chodziło o ekspertyzę.

- Nie.

- No właśnie.

Od jasnego światła lamp halogenowych bolały ją oczy, poza tym czuła lekkie mdłości, które, jak już wiedziała, wywoływał u niej typowy zapach szpitala. Ta żrąca mieszanka środków dezynfekujących, choroby i przenikliwej woni wiosennych kwiatów, które stały wszędzie na stolikach przed salami, jakby to był cmentarz.

Miriam nienawidziła szpitali. Unikała ich jak zarazy. Tutaj umierała jej matka. Rak kości. Złośliwy. Niszczycielski. Później na tym piętrze leżał jej ojciec. Jakże często udawała, że pracuje, byle tylko go nie odwiedzać. O tak, sumienie gryzło ją do tej pory. Zostawiła wtedy swoją siostrę Sarę trochę na lodzie. Kolejny dowód na emocjonalną próżnię w jej sercu. Jej uczucia musiały leżeć zadekowane w jakimś zakamarku mózgu. Nie na trudne czasy, tylko w oczekiwaniu na wywózkę wielkogabarytowych śmieci.

Weszła do sali jako pierwsza. Jej wątpliwości co do rozmowy z Davidem

zostały prędko rozwiane przez opiekującego się nim lekarza, który stwierdził, że młody człowiek zaskakująco szybko wraca do sił, najwyraźniej jest przyzwyczajony do tych ataków i wie dokładnie, co należy robić.

W pokoju znajdowały się dwa łóżka. To po lewej było puste, na tym po prawej leżał chłopiec w grubych okularach, ze wzrokiem nieruchomo wbitym w sufit, ubrany w jedną z owych groteskowych szpitalnych koszul nocnych. Krótkie czarne włosy. Smukła, wrażliwa twarz. Błada, co w sumie nie dziwiło, biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich godzin.

Co mówił Ron? Piętnaście lat? Może szesnaście?

Przezroczysta rurka łączyła prawą rękę z butelką infuzyjną, z której kropla po kropli sączyła się wodnista ciecz. Ślady ataku astmy wyraźnie odznaczały się na bladych wargach. Poza tym chłopak zdawał się odrętwiały, co przypuszczalnie było skutkiem szoku. Emanował kruchością, która chwytала za serce. Miriam głęboko nabrała powietrza. Nikt nie powinien tak zaczynać dnia, a już na pewno nie chłopak w tym wieku, pomyślała. Henri, stojący za nią przy drzwiach, odchrząknął.

David natychmiast podniósł głowę. Najwyraźniej czekał na nich, bo w jednej chwili znikła bladość z jego twarzy. Zdawał się czuć ulgę i radość, że wreszcie będzie mógł porozmawiać. Chciał się pozbyć tych okropnych obrazów, które utkwily mu w pamięci.

- Cześć. - Henri podszedł do łóżka i podał mu rękę. - Jestem komisarz Liebler. A to mój kolega Fischer - wskazał na Rona - i pani Singer, prokurator prowadząca śledztwo.

Chłopiec uniósł dłoń, ale zabrakło mu siły, by utrzymać ją dłużej w powietrzu, dlatego Miriam pozdrowiła go tylko skinieniem głowy. Tymczasem Ron wysunął się naprzód.

- Pamiętasz mnie? Jeżeli nie, to się nie dziwię. Gdy się ostatnio widzieliśmy, o mało co się nie udusiłeś.

- Przeważnie mam ze sobą mój spray. Nie wiem, dlaczego dziś zapomniałem go zabrać. Ale to wszystko nie jest takie straszne, jak wygląda - odparł ochryple David. Odchrząknął i dotknął gardła. - Mój głos. Czekam na coś do picia.

- Mam ci coś...?

- Nie. Państwa kolega już mi coś niesie.

- Kolega? - zapytał Ron, marszcząc czoło.

Wzrok chłopca przesunął się w kierunku drzwi, w których stanął właśnie Kevin Wagner. W jednej ręce trzymał kubek z kawą, w drugiej butelkę wody, którą podał Davidowi. Chory przyjął ją, ale nawet nie otworzył. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego i najwyraźniej wyczuwał napiętą atmosferę, która nagle zapanowała w pokoju.

Ron odpuścił sobie dyplomatyczne podchody.

- Nikt nie wydał panu polecenia przyjazdu do szpitala. Powinien być pan na miejscu zbrodni!

- David... obiecałem mu, że do niego przyjadę, gdy tylko będę mógł.

Kłamał.

- Pan chyba nie zna zasad prowadzenia śledztwa - rzuciła ostro Miriam. Ignorował ją. Nie miał szacunku dla niej ani jej urzędu.

- Czy przynajmniej powiadomił pan rodziców Davida? - zapytał Henri. Wagner wzruszył ramionami.

- Nie ma ich. Tylko jakiś student, który mieszka w tym samym domu. Ma przywieźć Davidowi trochę rzeczy.

- W takim razie co pan tu jeszcze robi? Proszę natychmiast wracać na miejsce przestępstwa! - ofuknął go Ron. - Niech pan weźmie jakiegoś pomocnika i zabierze się do przesłuchiwania sąsiadów. Ktoś musi spisać ich zeznania. W poniedziałek o ósmej chcę widzieć pisemne protokoły na moim biurku. Natychmiast meldować, jeżeli znajdzie się jakiś ważny świadek.

Wagner ponownie wzruszył ramionami.

- Myślałem, że naszym najważniejszym świadkiem jest ten chłopiec...

- Jak na mój gust, za dużo pan myśli - przerwał mu ostro Ron, anektując jednocześnie jedyne krzesło w pokoju. Usiadł na nim i odwrócił się do Davida. - Możemy ci teraz zadać kilka pytań? Im szybciej znajdziemy trop prowadzący do sprawcy, tym szybciej...

Wzrok Davida wędrował z jednej osoby na drugą. Ta dyskusja zdawała się go oszalać i czas było ją zakończyć. Miriam już chciała się wtrącić, gdy David nagle sam się odezwał:

- Dobrze już, wiem, wiem. Tym szybciej złapiecie tego gościa, tak?

Wagner stał niezdecydowanie pośrodku sali. W końcu rzucił Henriemu pytające spojrzenie, które ten zignorował.

- Dalej pan nie wie, co do pana należy? - warknęła Miriam.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, mogłoby zabić. Bezgłośnie odstawił kawę na stolik nocny i opuścił pokój.

Miriam było obojętne, czy usłyszał jej następne słowa:

- Powinniście się go czym prędzej pozbyć. - Potem znów skupiła się na chłopcu. - Mogę usiąść obok ciebie?

Skinął głową.

- Skąd znałeś Helenę Baarovą?

- Jej matka przyjaźniła się z moją. Kiedyś. W Pradze.

Henri podszedł bliżej.

- Od kiedy mieszkasz we Frankfurcie?

- Mniej więcej od roku. Gdy... gdy moja mama zmarła, przeprowadziłem się do ojca. - Zamilkł na kilka sekund, a potem dodał: - Moi rodzice byli rozwiedzeni. - Po jego twarzy przemknął cień. Pojawiło się na niej napięcie.

No właśnie, pomyślała Miriam. Tak się to kończy. Rozstaniem, rozwodem. Wraz z dziećmi pojawia się uzależnienie. Od tej chwili łatwiej cię zranić. Właśnie wtedy, gdy dopiero co udało ci się uniezależnić i uodpornić na zranienia. I to nie zmienia się już nigdy, od tego momentu, w którym lekarz kładzie ci dziecko na piersi, aż po dzień, w którym wydasz ostatnie tchnienie. Kto

dobrowolnie coś takiego na siebie bierze? Trzeba być masochistą, żeby się na to decydować.

- Twój niemiecki jest dobry. - Henri skinął z uznaniem, a zaraz potem dorzucił kilka słów po czesku.

Chłopiec uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Zakładam, że chodzisz jeszcze do szkoły?

- Tak - kiwnął głową - do International School we Frankfurcie.

- To dobra szkoła - przyznała Miriam. I nietania, pomyślała. - Wiesz już, co chciałbyś po niej robić?

Na twarzy Davida pojawiło się skupienie. Najwyraźniej dokładnie wiedział, czego chce, ale trudno mu było wyartykułować to życzenie w obecności dorosłych.

- Może pójde do policji - odparł.

- To będziemy kolegami - uśmiechnął się Henri, chociaż wiedział, że ze swoją astmą David nie miał szans, by zostać przyjętym.

- Ty i twój przyjaciel, Simon...

- Simon Sanden.

- Właśnie, Simon Sanden. Chcieliście odwiedzić Helenę Baarovą? - zapytał Ron.

David przez chwilę mrugał nerwowo oczami. Nie zapomniał tego widoku, nigdy go nie zapomni.

Może Miriam powinna mu wytłumaczyć, że z tym da się żyć. Nie zawsze będzie łatwo, ale...

- Simon i ja wybieraliśmy się pojeździć na deskorolkach.

- Gdzie?

- Pod mostem Pokoju.

- Okej, a po co wstąpiliście do Heleny Baarovej?

- Helena ma dziś urodziny. Chciałem jej po prostu złożyć życzenia.

- Czy Simon też znał Helenę?

- Nie, ale nie chciał czekać na mnie na dole. A Helena nie ma nic przeciwko przyprowadzaniu przeze mnie przyjaciół. Może gdybym przyszedł trochę wcześniej... - zająknął się.

- Nie, zmarła wczoraj w nocy - uspokoił go Ron. - Nie mógłbyś jej pomóc.

David bez przekonania skinął głową.

- Co z krewnymi Heleny? Mieszkają we Frankfurcie? - Miriam sprowadziła rozmowę na bezpieczniejsze tory. - Czy musimy kogoś zawiadomić?

Potrząsnął głową.

- Nie. W Pradze też nikogo nie ma. Może... jej mama mieszka teraz, jak sądzę, w Brnie. Ale nie utrzymywały kontaktu. Helena przyjechała do Frankfurtu, bo chciała tańczyć, rozumie pani?

Miriam zmarszczyła czoło i rzuciła okiem w stronę Henriego, który znów wyglądał przez okno, jak miał to w zwyczaju.

Głęboko w dole snuły się wody Menu. Wiatr pozostawiał drobne fale

na ciemnej powierzchni śladu po przepływającym statku.

Miriam odwróciła się z powrotem do chłopca.

- Dasz radę wszystko nam opowiedzieć?

Kiwnął głową.

- Jak dostaliście się do mieszkania? Czy drzwi były otwarte?

David zaczął opowiadać spokojnym i opanowanym głosem. Potrafił dokładnie rozróżnić, co było ważne, a co się nie liczyło. Wyglądało na to, że miał nie tylko dobrą pamięć, lecz także wyczucie do szczegółów.

- To nie było chyba później niż o dziesiątej. Zadzwoiłem, ale nie otwierała. Kilka minut czekałem, mimo że mam klucz, względnie mój ojciec... Helena ma klucz do naszego domu, wie pani, w razie gdyby coś się stało albo ktoś z nas był w podróży.

Miriam odruchowo skinęła głową, bo chłopak mówił głównie do niej, co w pewnym sensie jej schlebiało.

- Odczekałem chwilę, a potem otworzyłem drzwi. Wszedłem do mieszkania i zawołałem Helenę... - Zająknął się na chwilę, a potem kontynuował cichym głosem: - Nie było jej ani w kuchni, ani w sypialni, ani w łazience. Łóżko zdawało się nietknięte, więc najpierw pomyślałem, że pewnie nie nocowała w domu, ale... później otworzyłem drzwi do pokoju ćwiczeń. I...

- Zobaczyłeś ją tam.

- Tak. Leżała na podłodze. - Zaczerpnął głęboko powietrza. Spojrzenie Miriam zatrzymało się na butelce infuzyjnej, skąd ostatki cieczy skapywały do rurki i powoli przesuwwały się w stronę ręki chłopca. - Nigdy jeszcze... to znaczy... nigdy jeszcze nie widziałem trupa. Może mi pani nie uwierzy, ale od razu wiedziałem, że ona nie żyje. Nie krew... tego nawet nie zauważyłem. Tylko to, jak leżała. - Jego usta zaczęły się szerzej otwierać. Mówił dalej, chociaż głos przeszedł w szept. - Podeszedłem do niej. Dotknąłem. Chciałem się upewnić. - Rzucił Miriam przerażone spojrzenie. - Tego nie wolno mi było robić, prawda? - Teraz mówił podniesionym głosem. - Przecież to miejsce zbrodni, ale... co, jeślibym się pomylił? Gdyby jednak wciąż żyła? - Oddychał coraz szybciej. - Mógłbym jej jeszcze jakoś pomóc.

- Powinniśmy przerwać przesłuchanie - powiedziała Miriam, zwracając się do Henriego, który również zatroskany przyglądał się chłopcu.

- Nie - David potrząsnął głową - dam radę.

- Czy coś rzuciło ci się w oczy? - zapytał Ron. - Coś dziwnego, niezwykłego?

Chłopak zmarszczył czoło.

- Wszystko było dziwne. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie... - urwał.

- Co potem zrobiłeś? - spytała Miriam.

- Natychmiast wezwałem policję.

- Czy czegoś dotykałeś? - indagował Ron.

- Tylko Helenę.

- Jak dobrze ją znałeś? - wtrącił się Henri.

- Przez jakiś czas mieszkała u nas we Frankfurcie jako moja opiekunka.

Po śmierci mamy, gdy przeniosłem się do taty. Mój ojciec jest bardzo zajęty, dużo podróżuje, wyklada...

- Mieszkała u was? - Miriam rozejrzała się po pokoju, by nie musieć już oglądać strachu w oczach chłopca. Jej wzrok zatrzymał się nad łóżkiem, nad którym widniał kiczowaty klown. Taki sam znajdował się nad łóżem, w którym umierała jej matka. Dziś, podobnie jak wtedy, najchętniej zerwałaby go ze ściany.

- Tak. W naszym domu jest małe mieszkanie z osobnym wejściem. Mój ojciec wynajmuje je czasem studentom.

- Myślałem, że była tancerką - zdziwił się Ron.

- Tak, owszem, ale nie mogła znaleźć pracy. Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła. Dlaczego? Dlaczego to się stało? Chciała przecież tylko jednego. Tańczyć! Tym żyła i...

Miriam słyszała zduszone łzy w głosie chłopca. Zaraz potem ucichł. Oderwała wzrok od klauna. Ron, Henri i David wpatrywali się w drzwi. Odwróciła się.

Mężczyzna był bardzo szczupły, co podkreślało jego młodzieńczy wygląd. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt ważył chyba niewiele ponad sześćdziesiąt kilo. Skóra i kości. Chodzący szkielet. Gęste brązowe włosy miał starannie przystrzyżone. Tylko jeden kosmyk opadał na twarz. Oczy były tak jasne, że wydawały się prawie białe, co nadawało im wyraz nieruchomości. Ze stłumionym zdenerwowaniem spoglądał to na Davida, to na Rona, aż wreszcie zatrzymał wzrok na Miriam, mocno się w nią wpatrując.

- To Justin - oznajmił David. - Justin Brandenburg. Teraz on zajmuje mieszkanie do wynajmu.

- Przyniosłem twoje rzeczy. - Justin uniósł wyżej torbę podróżną, podszedł do szafy i zaczął starannie układać w niej ubrania, ręczniki i przybory do mycia. Potem odwrócił się i ustawił obok łóżka torbę z laptopem.

- Znał pan Helenę Baarovą? - zagadnął go Ron.

Justin potrząsnął głową.

- Właściwie nie. Spotkałem ją tylko kilka razy u Milana, to znaczy u profesora Husa.

- Jest pan Amerykaninem?

- Tak.

- Czy ona pracowała jako prostytutka? - zapytał Ron.

Do licha, jak zwykle nie potrafił się opanować, pomyślała Miriam. Zapomniał o obecności chłopca?

- Ron! - krzyknęła, ale ten zignorował ją.

- prostytutka? - Justin drgnął przestraszony.

- *Prostitute, moll, bitch?*

- Ron - odezwał się ostrzegawczo Henri.

Zanim Justin zdołał odpowiedzieć, David z przejęciem zawołał:

- Helena nie była taka... nie była... prostytutką.

Oddychał coraz szybciej. Wszyscy przyglądali mu się z z troskaniem, mógł dostać kolejnego ataku.

- Była studentką - odparł Justin szybko. - Studiowała u profesora Husa. To koleżanka. Po prostu koleżanka.

- Myślałem, że chciała zatrudnić się jako tancerka - zauważył Ron.

- Tak - przyznał Justin. - Ale to nie było takie łatwe.

- Jeżeli pan z nią studiował, musiał ją pan lepiej znać.

- Ona... ona rzadko przychodziła na wykłady. Naprawdę. Widziałem ją tylko dwa lub trzy razy.

- Czy są jacyś inni studenci, którzy lepiej ją znali?

Justin potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Powinni państwo raczej porozmawiać z profesorem Husem, gdy tylko wróci.

- A gdzie profesor teraz przebywa?

Justin zwlekał, rzucając jednocześnie spojrzenie Davidowi. Zdawał się czekać, aż chłopiec udzieli odpowiedzi, ale ten nie zmienił nawet wyrazu twarzy.

- W Pradze - odparł w końcu Amerykanin. - Ma tam wygłosić wykład.

- Kiedy wraca?

- Za cztery dni.

Przypominał Miriam jednego z tych wyczynowych sportowców. W jego spojrzeniu czaiło się coś w rodzaju zaszczucia, jakby sam zbyt wiele od siebie wymagał w obawie, że coś zrobi źle. Że zawiedzie.

- O czym ten wykład?

- O Kafce. O Franzu Kafce.

- Kafka? - zapytał Ron. - Czy to nie ten obłąkany pisarz?

- Nie bardziej obłąkany niż pan czy ja - odparł Justin. - Niż my wszyscy.

6

Miriam nieustannie myślała o ciemnych pręgach na udęczonej ciele Heleny Baarovej i o ultimatum Henriego. W tych warunkach nie potrafiła sobie wyobrazić samotnego powrotu do swojego mieszkania, w którym na dodatek nie była od wielu dni. Pośpiesznie przeszła przez Roßmarkt, by wejść do największego sklepu obuwniczego we Frankfurcie. Buty były jej pasją, która - to prawda - zdradzała również pewną słabość charakteru. Teraz jednak jej cała obuwnicza kolekcja, poza kilkoma nielubianymi wyjątkami, tkwiła w szafie Henriego. Nie miała pojęcia, jak do niej dotrzeć, nie przeprowadziwszy z Henrim poważnej rozmowy.

Po wizycie w szpitalu ogarnął ją dziwny niepokój. W jej głowie kotłowały się niezliczone myśli i obrazy. Nie znosiła tego mrowienia na skórze, tego napięcia, tej presji, by coś zrobić, cokolwiek. Nawet jeśli miałyby to być tylko zakup butów.

Jak kleptomanka krążyła wśród regałów. Przymierzy każdą parę, która się nawinie. Im bardziej nieprzemyślany wybór, tym lepiej.

Sięgnęła po brązowe sandały. Obcas osiem centymetrów - na nim z łatwością

przekroczy barierę metra osiemdziesięciu. Cieniutkie rzemyki, które owijając się wokół kostki, mają stwarzać iluzję stabilności.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - Obok niej pojawiła się sprzedawczyni.

Mnie nie można pomóc, pomyślała, a zaraz potem z fałszywym uśmiechem rzuciła:

- Dziękuję, poradzę sobie.

Z sandałami w dłoni ruszyła dalej. Przystanęła obok regału z obuwiami sportowymi. Mogłaby zacząć biegać. Wszyscy single uprawiają jogging, a wszystko wskazywało, że i ona wkrótce znów będzie zaliczać się do tego gatunku ludzi. Single skupiali się na rozsądnych rzeczach - sporcie, zdrowym odżywianiu, imprezach kulturalnych.

Sięgnęła po pierwszą lepszą parę, usiadła, by ją przymierzyć, wstała, przeszła się kilka metrów tam i z powrotem. Próbowwała sobie wyobrazić, jak by się poczuła, gdyby tak po prostu przed wszystkim uciekła. Wilgotne poszycie leśne, od którego miękko odbijają się stopy. Cisza. Zapach drewna. Szybkość. Wyczuwanie każdego mięśnia. Wyłączenie myślenia.

Dlaczego Helena Baarová się nie broniła? To było w tym wszystkim najgorsze. Cierpliwe znoszenie przemocy.

Wiesz dlaczego, Miriam odpowiedziała sama sobie. Czująś to. W ubiegłym roku. Ten głos przy twoim uchu. Ta dłoń w twoich włosach. Krew w ustach, której smak masz na języku do dziś, gdy tylko o tym pomyślisz. Tamten szok. Wrażenie paraliżu.

Na chwilę przymknęła oczy. Nikt jej nie znał. Nazywali ją „żelazną damą” i nie rozumieli, co naprawdę gra w jej duszy. Henri najwidoczniej też nie. Była pewna, że dostrzeżał, kim rzeczywiście była. Te noce razem. Musiał to przecież widzieć. Czuć. Przyjmować do wiadomości.

„Żelazna dama”.

Akurat on. Gdy tymczasem ona podawała mu siebie niemal na srebrnej tacy. Czy przez ten cały rok nie udowadniała mu tego? Że nie była oziębłą prokurator, za jaką w trybie ekspresowym uznał ją świat? Prawie każdy pomawiał ją o wybujałą potrzebę rządzenia. A to wcale nie było takie proste. Arogancja i chłód, które jej zarzucano, wypływały z desperacji. Jakby znajdowała się w permanentnym szoku, którego prawie już nie zauważała, z wyjątkiem takich dni jak ten. Jej praca stanowiła zaledwie kroplę w morzu. Żalostną próbę zaprowadzania sprawiedliwości.

Dzieci w takim świecie? Miała się na to odważyć? Nie, macierzyństwo napawało ją trwogą. Powszedniość składająca się z bezsennych nocy, panicznych wizyt na pogotowiu, dziecięcych urodzin, wywiadówek, szczepień ochronnych i tak dalej, banalności okupujące głowę, która nigdy już nie będzie całkowicie wolna. Przez całe życie byłaby złączona z potrzebującą ochrony istotą, która, początkowo związana z nią nieskończenie długo, kiedyś ją znienawidzi.

Z dwiema parami butów w ręku Miriam zderzyła się w drodze do kasy

z tablicą, na której widniał głupi slogan reklamowy: „Słodka balerina”. Przed jej oczami znów pojawiła się martwa Helena Baarová. Nie leżąca na podłodze, lecz tańcząca. Poczowała mdłości. Musiała usiąść.

- Dobrze się pani czuje?

Znowu ta ekspedientka.

Co do licha? Czy ta baba ją prześladowuje? Czyha na nią? Czy Miriam nie może mieć nawet chwili spokoju? Zginął człowiek... Którego torturowano. Wlepiała wzrok w sprzedawczynię. Natapirowane włosy przypominały sierść jakiegoś pręgowanego zwierza. I jeszcze te czarne legginsy pod białą spódnicą sięgającą kolan, do których ekspedientka, ważąca co najmniej siedemdziesiąt kilogramów, włożyła wysokie szpilki. Za zły gust nie można nikogo postawić w stan oskarżenia. Ale Miriam nie musi silić się na rozmowę z jedną z przedstawicielek takiego smaku.

Najchętniej wykrzyczałaby jej w twarz: „Niech pani posłucha, kilometr stąd leżą zwłoki młodej kobiety, której uroda została okrutnie zniszczona. Dlatego nie mogę z panią wymieniać uprzejmości ani rozmawiać o butach”. I jeszcze - Miriam miała ochotę zawyć - „Niech pani wreszcie wyłączy to ohydne rzępolenie”. Tę klasykę graną przez trzeciorzędną orkiestrę, która dzwoni człowiekowi w uszach nawet po wyjściu ze sklepu. Niczym stado natarczywych komarów kotłujących się w przewodach słuchowych. Dobra muzyka powinna znajdować się pod ochroną. Powinno się zabronić grania jej w domach towarowych, tak jak zabraniano trzymania egzotycznych zwierząt w klatce.

- Przynieść pani szklanekę wody? - rozległ się znów słodki głos ekspedientki.

Rzuciwszy niedbale: „Nie, dziękuję”, Miriam czym prędzej wybiegła ze sklepu. Coś jej przyszło do głowy. Nie wiedziała, czy ktoś poza nią o tym pomyślał i czy to w ogóle miało jakieś znaczenie.

Z ulgą stwierdziła, że zwłoki zabrano z mieszkania. Na parkiecie odznaczał się biały kontur jej ciała. Cień, który pozostał po Helenie Baarovej, jakby baletnica zostawiła odcisnięty ślad w miejscu, w którym umarła.

Pomieszczenie bez martwej dziewczyny sprawiało wrażenie dziwnie pustego i pozbawionego wyrazu. Jakie myśli, jakie odczucia musiały przenikać Helenę, gdy umierając, oglądała swoje odbicie w lustrach?

Miriam rozejrzała się, ale nie mogła znaleźć tego, czego szukała. Skąd wiedziała, że to ma znaczenie? To pytanie nie dawało jej jednak spokoju: „Jaka historia kryła się za tą zbrodnią?”.

- Zapomniała pani czegoś? - usłyszała głos za plecami.

Odwróciła się. Stała przed nią Katja Weiss z policzkiem umazanym białym proszkiem i ognistorudą czupryną.

- Nowy kolor włosów?

Katja mimowolnie rzuciła okiem w jedno z luster, ukazując Miriam swój profil. Świeża, niezuzyta twarz z niezliczonymi piegami, które jaśniały niczym świetlane kropki na bladej cerze. I te godne pozazdroszczenia pełne wargi,

gotowe w każdej chwili rozchylić się w beztróskim uśmiechu. Miriam przypomniała sobie, że Katja związała się z kolegą z wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej. Na pewno niedługo wezmą ślub i dochowają się gromadki dzieci. Oczami wyobraźni widziała już z zazdrością, jak Katja paraduje po mieście, pchając przed sobą wózek z bliźniakami, gdy nagle znów usłyszała to samo pytanie:

- Zapomniała pani czegoś?

Uważnie rozejrzała się po pokoju.

- Nie wie pani, czy nie stała tu gdzieś wieża stereo?

- W głowie mi się nie mieści. Dlaczego ona się nie broniła? Rany, ja bym mu... przepraszam za wyrażenie, ja bym mu nakopała w jaja... - Katja przeczesła dłonią rude włosy. - A ona dała się zaszlachtować! Po co? Żeby on się mógł podjarać? Żeby w końcu mu stanął? Dlaczego, zamiast to robić, nie poszła gdzieś sprzątać? Dlaczego mieszkała w tej dziurze? Nigdy tego nie zrozumieć. Ona po prostu tańczyła w tym tanim czerwonym fatałaszk.

- Najlepiej spróbować o tym nie myśleć.

- Trudno o tym nie myśleć, gdy człowiek cały czas uważa, żeby nie poślizgnąć się na jej krwi.

- Jeżeli tańczyła - stwierdziła Miriam, która nie chciała już wyobrazać sobie, co się wydarzyło - musiała grać muzyka, prawda? Czy gdzieś tu jest jakaś wieża stereo? Nie pamiętam, ale...

- Widziałam odtwarzacz CD w przedpokoju - przypomniała sobie Katja. - Chyba w jednym z kartonów, do których pakujemy wszystko, co ma trafić do laboratorium.

Miriam odwróciła się i ruszyła do sieni. Niecierpliwym szarpnięciem rozerwała pierwszy karton, w którym znajdowały się starannie spakowana czarna pościel w foliowym worku, kilka par jeansów i czerwona bielizna, którą tak wyniośle pokazywał Wagner.

W następnym pudle znalazła książki, zarówno w języku czeskim, jak i po niemiecku: Franz Werfel, Oskar Baum, Franz Kafka, Arnost Dvorak.

- Tutaj - usłyszała głos Katji. - Znalazłam!

Policjantka trzymała duże, tanie urządzenie, w rodzaju tych, które co kilka miesięcy oferują wielkie sieci dyskontowe.

- Jest jakaś płyta w środku?

- Chwileczkę. - Katja nacisnęła pokrywkę odtwarzacza, a ta powoli się otworzyła. Ostrożnie wyjęła krążek, który Miriam natychmiast przejęła. - Nie ma pani rękawiczek! - zawołała techniczka z oburzeniem.

Miriam puściła tę uwagę mimo uszu i przyglądała się płycie.

- Igor Strawiński. *Le Sacre du printemps*, *Święto wiosny*. Nigdy nie słyszałam. A pani? - zapytała Katję.

- Nie słucham klasyki, tylko punk rocka.

- Zabieram ją - odparła Miriam i włożyła nieopakowane CD do torebki.

- To niemożliwe - zaprotestowała Katja. - Musimy zabrać płytę

do laboratorium i zbadać ją w ramach śledztwa.

- Śledztwem - oznajmiła kategorycznie Miriam - kieruję ja.

Wyszła na klatkę schodową. Nie zauważyła tego mężczyzny, dopóki czegoś nie wymamrotał. Stał we wnęce drzwi do sąsiedniego mieszkania i nieufnie obserwował ją zmrużonymi oczyma. Nieogolona, pokryta bliznami twarz. Starcze spojrzenie sprawiające wrażenie obojętności, choć zaprzeczały temu przymknięte powieki.

- Znał pan ją? - zapytała.

Nie odpowiedział, tylko zrobił kilka kroków do tyłu, odwrócił się do niej plecami i pokuśtykał schodami na górę.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zawiadomić policjantów, ale potem przypomniała sobie, że Wagner i jego koledzy właśnie przesłuchują sąsiadów. Nie powinna się do wszystkiego mieszać.

Nie chciała wracać do domu, ruszyła więc w stronę dworca. Wpadła prosto na głośną, rozśpiewaną bandę kibiców piłkarskich, którzy ukoili już smutek w alkoholu. Nie trzeba było słuchać wiadomości sportowych, żeby wiedzieć, jak tym razem zagrał Eintracht.

Miriam poczuła nagle osłabienie i głód. Uświadomiła sobie, że od śniadania nie miała nic w ustach. Zresztą, jakiego śniadania? To był tylko łyk zimnej herbaty z poprzedniego dnia. Nic poza tym. Na zapasy w lodówce nie mogła liczyć. Była typową klientką fast foodów i sklepów całodobowych. Napoje kupowała w kiosku za rogiem, gotowe sałatki u Turka, a pranie oddawała do pralni.

Jej życie nareszcie było zorganizowane. Idealne i bez zakłóceń. Czego Henri od niej oczekiwał? Nie potrafiła gotować, nie miała talentu do porządków ani do ozdabiania mieszkania. A słowo „żłobek” wywoływało w niej napad paniki.

Henri nie mylił się, mówiąc, że uwielbia dzieci. Wynikało to jednak z kaprysu natury, która zakorzeniła tę skłonność w jej instynkcie, zapominając jednak wyposażyć ją w odpowiednie umiejętności. To było oczywiste, w przeciwnym razie już przed laty podjęłaby inną decyzję, nieprawdaż?

Serce waliło jej młotem.

Teraz późnym popołudniem niebo przejaśniło się, jak zapowiadała to prognoza pogody. Spoza rzednącej warstwy szarych chmur raz po raz przezieriała jasna tarcza słońca. Miriam poczuła, że w grubym swetrze zaczyna jej się robić gorąco.

Na stacji z jakiegoś pociągu wytoczyła się głośna hałastrza kibiców Schalke. Jeden z nich potracił Miriam od tyłu. Odwróciła się rozzłoszczona, ale zbity z tropu intruz przeprosił ją. Był pijany w sztok. Dolatująca od niego woń alkoholu działała odurzająco.

Nic dziwnego, że zamówiła sobie lampkę whiskey, gdy tylko udało jej się klapnąć na pierwszym wolnym stołku w barze dworcowym. Może to nie najlepszy napój na pusty żołądek, ale co tam. To była jedna z tych chwil, kiedy

chce się o wszystkim zapomnieć. Kiedy na stwierdzenie faceta siedzącego obok ciebie: „Dzień do dupy, co?“, kiwasz tylko potakująco głową.

Przy nogach sąsiada z baru stała antracytowa walizka marki Samsonite z zamkiem szyfrowym, a obok niej laptop w torbie do kompletu. Niewykluczone, że ta sama firma wyprodukowała także garnitur, krawat, buty, zegarek, szpilkę do krawatu, sygnet...

- Mogę dla pani coś zamówić?

Miriam zdumiona spojrzała na swój pusty kieliszek. Nie zauważyła, że w ogóle coś wypić.

- Skoro pan nalega.

Podniósł rękę i gestem wskazał obydwie lampki. Kelner skinął głową.

- Dokąd pan jedzie? - zagadnęła Miriam.

- Niech się pani lepiej spyta, skąd przyjeżdżam.

- Skąd?

- Z Nowego Jorku.

Dopiero teraz dostrzegła na metkach bagażowych napis NY.

Kelner postawił whiskey tak blisko Miriam, że sięgnęła po nią bez namysłu.

Opróżniwszy lampkę jednym haustem, zapytała:

- Podróż służbowa?

- Powiedzmy.

Wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierosów i zaoferował Miriam.

- Nie, niestety.

- Rzuciła pani?

- Rok temu.

- Brawo.

- Tak, wszyscy to mówią. Ale czy to właściwie nie jest tchórzostwo? Równie dobrze mogłabym się zamknąć w domu. Wie pan, jak wysokie jest ryzyko wypadku samochodowego? Albo złamania nogi podczas mycia okien? Chociaż, szczerze mówiąc, ja nigdy nie myję okien, więc... - Miriam urwała w pół słowa.

Jeśli się jej nie przywidziało, po ustach nieznanego przemknął sympatyczny uśmiech. Boże, na świecie było tylu mężczyzn! Prawie pięćdziesiąt procent mieszkańców Ziemi. Całkiem niezłe warunki do podjęcia nowych poszukiwań.

Co on powiedział?

- Przepraszam, przez moment się wyłączyłam.

- Ma pani rację, byłem w Nowym Jorku służbowo.

- Aha.

- Nie chce pani się dowiedzieć nic więcej?

- Nie chciałam być wścibska.

- O, to żaden problem! Chętnie to pani wyjawię. Jestem neurologiem.

Po chwili wahania stwierdziła:

- Nie wygląda pan na lekarza.

- Bo nie jestem w zielonym kitlu? Wkładamy je tylko do operacji.

Miriam się roześmiała, albo raczej głupio zachichotała. To zachęciło go

do zamówienia dla nich jeszcze jednej kolejki. Powinna wracać do domu.

- Kiedy odjeżdża pański pociąg? - zapytała w nadziei, że nie będzie namawiał ją na czwartą whiskey.

Rzucił okiem na swojego roleksa.

- Za piętnaście minut. Chce się pani mnie pozbyć?

- Tak - odparła. - Ma pan na mnie zły wpływ.

Podniósł kieliszek w geście toastu.

Gdy Miriam odstawiła swój, już opróżniony, zapytała:

- Ile litrów krwi jest w człowieku?

- Cztery i pół do sześciu. W zależności od wagi.

- Ile trzeba stracić, żeby umrzeć?

- Dwa litry.

- Ile czasu upływa, nim się człowiek wykrwawi?

- Przy krwotoku z tętnicy szyjnej niecałe trzydzieści sekund.

- A przy wielu obrażeniach? Na przykład ranach ciętych na całym ciele?

Mężczyzna obok przyjrzał się Miriam z zainteresowaniem.

- Trudno powiedzieć. To zależy od ran i siły krwiobiegu. Na pewno trwa to dobrą chwilę. Dlaczego pani pyta?

- Tak sobie.

- No jasne, to typowy temat na pogawędkę przy whiskey.

- Dzień w dzień stoi pan przy stole operacyjnym. O czym pan wtedy rozmawia? O ofierze, która przed panem leży?

- Ofierze? - zdziwił się mężczyzna. - Dla nas to pacjent. Mogę mieć tylko nadzieję, że pracuje pani w policji. Czy może planuje pani jakieś morderstwo?

Miriam wyciągnęła rękę do człowieka, który sprawiał na niej coraz sympatyczniejsze wrażenie.

- Miriam Singer, prokurator.

- Doktor Robert Sarrazin, szef neuropatologii w klinice uniwersyteckiej w Gießen.

- Czy pracuje pan również jako rzeczoznawca?

- Sądowy? Jak do tej pory nie.

- Dlaczego nie?

- Jestem lekarzem. - Przyjrzał się jej. - Moje zadanie polega na leczeniu.

Miriam nagle poczuła, że wzbiera w niej lekka agresja.

- A moje na oskarżaniu, tak?

Wzruszył ramionami.

- Nie każdy, kto zabił człowieka, powinien trafić do więzienia.

- Zgoda, jeżeli postrzegamy więzienie jako karę. Ale cela bywa również azylem. Nie tylko dla ofiary, lecz także dla sprawcy.

- Ma pani rację, choć wątpię, czy niemiecki wymiar sprawiedliwości tak to postrzega.

- Ja nie jestem niemieckim wymiarem sprawiedliwości.

- Nie. Też mam takie wrażenie - uśmiechnął się, a Miriam poczuła

odprężenie. Potem sięgnął do kieszeni i wręczył jej wizytówkę. – Proszę. W razie gdyby potrzebowała pani skorzystać z moich usług.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała.
- Nie mam na myśli pani osobiście. Naprawdę.

Czy on ją podrywał? Lepiej się zbierać, zanim zacznie się to rozkręcać.

- Muszę iść. – Miriam podniosła się z krzesła. Lekko się przy tym zachwiała.

Przytrzymał ją. Z rozczarowaniem stwierdziła, że woda po goleniu Henriego pachnie lepiej. Na odchodnym jeszcze raz się na chwilę obejrzała. – Nie nosi pan obrączki. Jest pan żonaty?

Potrząsnął z uśmiechem głową.

- Nie. A pani?
- Dlaczego nie?
- Przypuszczalnie z tego samego powodu, co pani.
- Czyli?
- Nikt mi jeszcze nie zaproponował ślubu.

Dopiero otwierając drzwi swojego mieszkania, Miriam poczuła, że jest mocno podchmielona. Powitało ją zatęchłe powietrze. Natychmiast zrobiło jej się niedobrze. Opuściła torebkę na podłogę i zrzuciła skórzaną kurtkę. Buty wylądowały na stercie gazet, które sąsiadka codziennie wносиła do jej mieszkania.

Jedyną oznaką egzystencji Miriam w tym miejscu była automatyczna sekretarka na komodzie z Ikei. Aparat zawzięcie migał. Odruchowo nacisnęła klawisz odsłuchiwanie.

„Masz dziewięć nowych wiadomości”.

Słuchając ich, poszła do łazienki, gdzie długo myła twarz, by oprzytomnieć. Trzy razy dzwoniła jej siostra Sara, raz Halina, polska opiekunka ojca, obwieszczając, że senior czuje się dobrze. Dwa razy odezwał się ktoś, kto rozemocjonowanym, radosnym głosem oznajmiał, że coś wygrała. Oprócz tego jeszcze dentysta i ginekolożka informująca o przegapionym terminie wizyty. Ostatnia wiadomość... nie, to też nie Henri, tylko doradca finansowy, który twierdził, że muszą znów się spotkać, lepiej ulokować jej majątek i wykorzystać wszystkie ulgi podatkowe.

- Jaki majątek? – zapytała głośno. – O czym ten idiota mówi?

Po skasowaniu wszystkich wiadomości otworzyła drzwi kuchni, gdzie na stole obok spleśniałej bułki z serem i cuchnącego kartonu z mlekiem piętrzyła się poczta i stare czasopisma. Ten widok uświadomił jej, że nie była w domu od ponad dwóch tygodni. Nieważne, pomyślała, i wyrzuciła do kosza kanapkę wraz z talerzem i kartonem. Z prawie pustej lodówki wyjęła butelkę wina i nalała sobie lampkę do pełna.

Co teraz?

- Single oglądają telewizję – wymamrotała pod nosem.

Odbiornik nie reagował. Miriam raz po raz naciskała guzik, aż wreszcie

zauważyła, że wtyczka leży na podłodze. Wyciągnęła ją pewnie przychodząca co dwa tygodnie sprzątająca. Usiadła na kanapie, żeby obejrzeć wiadomości. Chciała zobaczyć, czy mówiono już coś o Helenie Baarovej.

Mimo że się z tym liczyła, pokazane zdjęcie przeraziło ją. Dziewczyna miała na sobie tę samą sukienkę, w której ją znaleziono.

- Fantastycznie - powiedziała. - Niezła gratka dla mediów.

Helena sprawiała ekscytujące wrażenie, co było o tyle ważne, że doniesienie podawało tezę o brutalnym morderstwie dokonany na prostytutce. Gdy padły słowa: „Policja wychodzi z założenia, że młoda kobieta została wychłostana”, Miriam jednym haustem wypila cały kieliszek wina.

- Dlaczego? - Znów odezwała się do siebie. - Dlaczego ktoś coś takiego robi?

Nie potrafiła tego zrozumieć. Tego perwersyjnego spektrum upodobań seksualnych. Może rzeczywiście była na to zbyt oziębła. Może Henriemu właśnie tego brakowało. Nie umiała sobie jednak wyobrazić, że ich namiętność mogłaby rozpałać czerwona bielizna, kajdanki albo jakieś gorsze rzeczy, o których nie miała pojęcia.

Pejcz? W żadnym razie! Czyżby była nienormalna, sztuczna, miała zahamowania?

W tej samej chwili przypomniała sobie o płycie CD. Wstała, poszła po torebkę, a z kuchni zabrała po drodze butelkę wina.

Igor Strawiński, *Le Sacre du printemps*. Nigdy o tym utworze nie słyszała.

Podeszła do biurka, by włączyć komputer. Uruchamiał się powoli. W końcu otworzyła Firefoksa i wpisała w wyszukiwarce tytuł krążka.

Wikipedia: „*Le Sacre du printemps*. Muzyka baletowa, skomponowana przez Igora Strawińskiego w 1913 roku. Dzięki wyjątkowym eksperymentom rytmicznym i dźwiękowym kluczowe dzieło muzyki XX wieku”.

Miriam już chciała opuścić stronę, gdy jej oczy zniecka zatrzymały się na ekranie.

Przypadek czy celowość? Fatum czy niebezpieczna gra, która się nasilała?

Cokolwiek to było, ta muzyka to nie przypadek.

Z niedowierzaniem czytała dalszy ciąg tekstu. Odszukanie CD było boską inspiracją.

„Abstrakcyjny, czy wręcz nawet dysonansowy charakter muzyki wspaniale oddaje los *sacre*, a mianowicie umieranie, i to w bolesny sposób”. Miriam poczuła, że serce bije jej szybciej i w całym ciele budzi się ekscytacja. „Wybranka tańczy ekstatycznie, aż pada martwa”.

Z ulicy nie docierał żaden hałas, słyhać było tylko ciche szczykanie rolet.

Le Sacre du printemps. Balet, który opowiada o poświęceniu młodej dziewczyny. Przeczuwała to. Domyślała się, że nie chodziło o zwykły mord na prostytutce.

Miriam czytała tekst w poszukiwaniu kolejnych wskazówek. Całkowicie skupiona tylko na tym, dopiero po chwili usłyszała dzwonek telefonu. Zerwała się przekonana, że to Henri, który jak zwykle pierwszy odzywał się po kłótni.

Chwyciła telefon i zdenerwowana przycisnęła słuchawkę do ucha. Usłyszała trzeszczenie, szum, a potem ktoś wyszeptał jej imię:

- Miriam?

Zorientowała się, że dzwonił z komórki. Ledwie mogła zrozumieć, co mówi.

- Henri, to ty? - krzyknęła.

Usłyszała cichy śmiech. I ten głos, powolny i przytłumiony. Ochryple przeciąganie każdego słowa.

- Hej, żelazna damo.

- Kto mówi?

- Ktoś, kogo znasz.

Jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Mdłości błyskawicznie przekształciły się w silne skurcze żołądka. Czy to ten sam głos co ponad rok temu? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Widzę, że znowu mieszkasz w tym uroczym małym mieszkanku na trzecim piętrze. Nawet widzę światło za roletą. I co jeszcze? Dalej nie masz żyrandoli. - Krótko się roześmiał. - Nic się nie zmieniło. Nadal jesteśmy tacy sami.

- O co panu chodzi?

Dlaczego, do cholery, nadal była uprzejma? Powinna mu powiedzieć, że może ją pocałować w dupę. Zamiast tego milczała, nie ważąc się podejść do okna, żeby sprawdzić, czy stoi na dole.

- Henri cię wyrzucił?

Nie, tego nie mógł wiedzieć!

- Myślisz jeszcze o mnie?

Dlaczego wciąż nie odkładała słuchawki?

Puls dudnił jej w uszach. Dopadła ją kolejna fala mdłości.

- Kim pan jest?

- Długo na ciebie czekałem.

- Czego pan ode mnie chce?

- Wróciłaś. Cieszę się.

Rozmowa nagle się urwała.

Telefon wypadł Miriam z ręki, gdy zwymiotowała na dywan.

Zasnęła tuż przed trzecią, by niebawem, około czwartej rano, już się obudzić. Chciało jej się pić i bolała ją głowa. Przez okno obserwowała, jak ciemne chmury przesuwają się po cienkim sierpie księżyca.

Powinna wstać i czegoś się napić. Nie była jednak w stanie się pozbierać. Nadal leżała w ciemności. Mroczna noc niepodzielnie zawładnęła wszystkim wokół. Była pijana. Może tylko ubzdurała sobie tamten telefon? Ze strachu przed samotnością? Usiłowała rozpoznać ten głos. Musiała znać dzwoniącego. Kto poza nią wiedział, że Henri ją wyrzucił? Czy może nieznajomy jedynie obserwował, kiedy wychodziła i przychodziła? Czyżby mieszkał naprzeciwko i zawsze miał ją na oku?

Obróciła się na drugi bok. Czy naprawdę nie podejrzewała, co się święci? Nie

potrafiła czy nie chciała rozpoznawać sygnałów? Czy Henri w ostatnim czasie powiedział albo zrobił coś wskazującego na to, co chodziło mu po głowie?

Nic. Nic. Nic.

Nie przypominała sobie w jego zachowaniu niczego, żadnej oznaki, że jego uczucia się zmieniły. Albo może ignorowała te symptomy?

Przekręcała się z boku na bok.

Jestem ślepa. Tak, ślepa i głucha. Nigdy tak naprawdę o nas nie rozmawialiśmy, a ja po prostu pozwoliłam sprawom toczyć się własnym torem. Brak słów myliłam z rozsądkiem. Z samoopanowaniem. Z inteligencją. Z wyższością.

Kompletna bzdura!

Gdzie się podziała jej intuicja? Oduczyla się jej. Uznała za zbędną. Wyrzuciła na śmietnik. A może nigdy jej nie miała?

Tutaj jednak nie chodzi o mnie, o nas, zadręczała się dalej. My to małe piwo. Helena Baarová. To są ważne problemy. Wszystko inne może poczekać. Musi poczekać.

Oblewał ją pot. Temperatura w sypialni była nie do zniesienia. W końcu przypominała sobie, że nie wyłączyła ogrzewania po zimie.

Kto powiedział, że każdy morderca opowiada zbrodnią jakąś historię? Nie, nie jakąś, tylko swoją. I każda z tych historii w nieskończenie różnorodnych wariantach mówi o władzy, śmierci, chciwości, desperacji. Co takiego chciał powiedzieć zabójca baletnicy? Helena przegapiła swoją szansę, nie uważała, nie rozumiała sygnałów: oznak nienawiści, słabości, która tylko przez przemoc mogła na koniec przekształcić się we władzę.

Miriam włączyła światło. Poczucie bezsilności musi być naprawdę przejmujące, skoro znajdowało ujście w tak krwawym szale, pomyślała.

Nie, Miriam nie uznawała teorii, że sprawcy chcą być ujęci. Mimo to na każdym przestępstwie odciskali swoje piętno, a dla wielu z nich czyn stanowił coś w rodzaju kreatywnego aktu.

Wyślizgnęła się z łóżka i chwiejnym krokiem podeszła do okna, by je uchylić. Potrzebowała świeżego powietrza. Ból głowy był nie do zniesienia. Do tego jeszcze czuła w swoim organizmie alkohol. Nie jestem już nastolatką, skarciła siebie, siksą, która, gdy ktoś złamie jej serce, upija się whiskey i winem.

Wykończona wsunęła się z powrotem pod kołdrę i zamknęła oczy. Kiedyś w końcu zaśnie. Gdy z jej głowy zniknie obraz Heleny Baarovej. Na to jednak czekała daremnie.

Chłosta oznaczała karę. Nawet jeżeli chodziło o którąś z tych – jak to określił ten idiota Wagner – seksualnych gier. Kara, tortura, dominacja pana nad uległą.

Czy to był klucz? Ból jako przyjemność? Czy dlatego Helena po prostu dalej tańczyła? Nie broniąc się.

Miriam wyłączyła światło.

Na pewno chodziło o zabójstwo przypadkowe, popełnione przelotnie.

Ona musiała krzyczeć.

Sąsiedzi!

Czy może muzyka była tak głośna, że nie słyszano jej wołania o pomoc? W tym domu przypuszczalnie co noc rozlegały się jakieś krzyki. Z rozkoszy czy ze strachu, to w takich dzielnicach nie stanowiło różnicy. Może nawet Helena prosiła sprawcę, zachęcała go, z zaciśniętymi zębami błagała, żeby ją bił, żeby zadawał ból.

Miriam nagle wydało się, że słyszy bębny z baletu *Le Sacre du printemps*.

Nie spuściła żaluzji w sypialni. Poluzowana zasłona szczykała. Trzeba ją będzie naprawić. Światło latarni ulicznej wlewało się przez okno, boleśnie drażniąc oczy. Wzdrygnęła się, gdy ktoś nagle zatrzęsął drzwiami samochodu.

Jakie znaczenie dla morderstwa mogła mieć ta muzyka? W poczuciu bezsilności Miriam stopniowo zapadała w pewien rodzaj półsnu z koszmarnymi przerywnikami, które raz po raz ją budziły.

Istniało zbyt wiele otwartych pytań, ale jedna odpowiedź była pewna: Helena Baarová musiała nienawidzić siebie samą. Czy może miała jakiś inny powód, by milczeć pod razami pejcza?

PRAGA, ULICA BENEDIKTSKÁ

SOBOTA, 28 KWIETNIA

7

Chmury wisiały nisko, a ciemne niebo zasnuwało ulicę Benediktską melancholią. Filip Černý czuł się jak we francuskim filmie noir, z ponurą scenerią i rozgoryczonymi antybohaterami: femme fatale, skorumpowanymi policjantami, zazdrosnymi mężami i podupadłymi pisarzami.

Nieco zdeprymowany zamknął drzwi za Lionelem Rostenbergiem, klientem, który od lat robił interesy z jego ojcem. Każdej wiosny, pod koniec kwietnia, Amerykanin przyjeżdżał do Pragi, by szukać pierwszych wydań, książek z autografami, nieodkrytych manuskryptów. Pieniądze nie grały roli. Tym bardziej więc Filipa frustrowało to, że w tym roku ich stały klient opuścił sklep z pustymi rękoma.

Černý jednak oswoił się z myślą, że jako obiecujący spadkobierca, najmłodszy w starym rodzie antykwariuszy, stawał się ostatnim, kompromitującym ogniwem rodzinnej historii.

Był rozczarowaniem nie tylko dla własnego ojca, który każdego wieczoru witał go równie wyczekującym, co zrezygnowanym spojrzeniem. Podobnie patrzyła na niego Dora. Bez złudzeń, z niemal brutalnym realizmem. Nie wspominając o synu Pavle. Cały świat mógłby uznać Filipa Černego za nieudacznika, skoro nie podziwiał go nawet jego pięcioletni syn.

Ta delikatna rysa na życiorysie Filipa będzie z czasem coraz większa, aż przekształci się w przepaść nie do przebycia. Jak miał wytłumaczyć Pavlowi, że rodzina się rozpadała? Jak to wpłynie na chłopca? Jaki ciemny chaos powstanie w jego sercu i umyśle? Jako ojciec nie miał nawet cienia szansy, by zajrzeć do duszy własnego syna. Z rozpaczą każdy musiał się uporać samotnie. To rozumiało nawet dziecko. Pavel w cudowny sposób posiadał już tę naturalną umiejętność zamykania się w sobie, która przeszkadzała mu w odsłanianiu tego, co mu w duszy grało.

Filip włączył światło w sklepie i domknął drzwi, ponownie rzucając przy tym krytyczne spojrzenie ku niebu, na którym chmury nabrzmiewały ciemnością. Wyglądało na to, że nadciąga burza. Czarny atrament, pomyślał, który rozlewa się po papierowym niebie, tworząc dziwaczne kształty.

W sklepowym mroku ledwie mógł dojrzeć własną dłoń, a szarość wzmacniały jeszcze zakurzone szyby. Westchnął, obrzuciwszy wzrokiem pomieszczenie antykwariatu. Książki, czasopisma, katalogi, kartony, paczki. Ciężkie regały z dnia na dzień sprawiały coraz groźniejsze wrażenie. Na środku dwa zużyte dębowe stoły służące do prezentowania książek klientom. Nawet ich blaty były teraz zastawione.

Co to za spuścizna! Zakurzone książki. Martwy kapitał.

Tylko kilka wartościowych pozycji. Może czeskie wydanie *Okrętu błaznów* albo *Taniec śmierci* Holbeina, biały kruk z 1538 roku. Ach, no i oczywiście nie

można zapomnieć o pierwszych edycjach literatury z okresu praskiego rozkwitu na początku XX wieku, porównywalnego z dzisiejszym boomem nowojorskim: Werfel, Kafka, Brod. Ale kto się teraz jeszcze nimi interesuje?

Na zewnątrz zaczęła się ulewa, którą zapowiadało Radio Praha. Filip zaszył się w tylnej części sklepu, gdzie stare regały z ciemnego mahoni ulegały wysoko aż po sam sufit. Kiedyś puści to wszystko z dymem i wyjedzie do Ameryki. Przez chwilę nosił się z myślą, by ów plan wprowadzić w życie natychmiast. Iskra, trochę żaru i gotowe.

Jego ojciec, owszem, był koryfeuszem w świecie księgarskim. Miał to, co nazywano wyczuciem. Tego właśnie potrzeba, by znajdować to, co w branży określano mianem „uśpionego kapitału”, czyli książki i manuskrypty, których wartość nie była znana sprzedającym je właścicielom, a dla kolekcjonerów takich jak Rostenberg oznaczała skarb.

Tymczasem dzień powszedni Filipa kształtowali niemieccy turyści. Szturmowali sklep w krótkich spodenkach i sandałach trekkingowych, by szukać książek, nieważne jakich, byle w ich języku. Interesowali się głównie *Przygodami dzielnego wojaka Szwejka* albo starociami o drugiej wojnie światowej.

Książki we wszystkich językach, mogące spokojnie konkurować z wieżą Babel, piętrzyły się również w małym biurze, które znajdowało się za sklepem. Filipowi brakowało jednak czasu i – powiedzmy to szczerze – także ochoty, by opatrzyć woluminy cenami lub przybić choćby stempel na stronie tytułowej.

Usiadł za biurkiem i włączył komputer, by sprawdzić maile. W internecie z równie miernym zapalem i nikłym sukcesem oferował swoje usługi jako rzeczoznawca i agent wydawniczy. W ten sposób jego życie ślimaczyło się do przodu. Wiedział, że w świecie książek pozostawi co najwyżej śluzowatą ścieżkę.

Komputer uruchamiał się powoli. Černego ogarniała niecierpliwość. Wreszcie otworzył Outlooka. Na adres filip.cerny@bookfinder.cz wpłynęły trzy nowe wiadomości. Kliknął klawisz podglądu. Jeden z maili pochodził od zaprzyjaźnionego antykwariusza, drugi od Milana Husa z Frankfurtu, przewodniczącego Niemieckiego Towarzystwa Kafkowskiego i długoletniego klienta jego ojca. Nazwisko trzeciego nadawcy nic mu nie mówiło.

Otworzył wiadomość od Husa. Zaproszenie na gościnny wykład w Instytucie Goethego.

„Kafkowskie fantazje o przemocy – literackie tabu”.

Poniedziałek wieczorem o dwudziestej. Filip nie miał wyboru. Musiał się pojawić. Milan Hus był dobrym klientem, nawet jeśli nie zaglądał do tego sklepu od roku. Od śmierci żony. Filip mgliście przypominał sobie, że się zabiła. I to w jakiś dramatyczny sposób.

Potem otworzył mail od nieznanego nadawcy. List był krótki i zawierał prośbę o przyjrzenie się jakiemuś manuskryptowi, który – tu Filip westchnął – był ponoć niewiarygodnie wartościowy. To już trzecie zapytanie w tym tygodniu.

Wszystkie te cenne manuskrypty notorycznie okazywały się niewypałami.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Rynna dachowa nad sklepem była wykrzywiona, dlatego dokładnie nad wejściem wypływał z niej zawsze mały wodospad. Przy tej pogodzie żaden klient nie wystawi nawet nosa z domu. Filip otworzył więc załącznik wiadomości, by od razu obejrzeć dokument. Plik otwierał się z mozolem. Dla zabicia czasu sięgnął po butelkę czerwonego wina, która stała już otwarta na półce, nalał sobie trochę do kubka i wrócił do biurka.

Plik nosił nazwę: „Galeria-Wersja-D”.

Na pierwszy rzut oka chodziło o fotografię odręcznie napisanego tekstu. Na ekranie widać było pożółkły papier i wyblakłe litery. Czego oczekiwał tajemniczy nadawca? Że sporządzi ekspertyzę na podstawie wydruku komputerowego? Niektórzy ludzie są naprawdę naiwni. Włączył drukarkę. Z cichym piskiem do szufladki spływały kolejne kartki, aż wreszcie urządzenie wypluło ostatnią stronę.

Z reguły już po kilku minutach potrafił stwierdzić, czy dany manuskrypt jest falsyfikatem, czy nie. Tym razem jednak, gdy tylko rozpoznał charakter pisma, poczuł w palcach mrowienie. Te linie, które wewnątrz tego samego słowa się rozjeżdżały. Ten niespotykany zapis wielkiej litery na początku zdania. Na przykład D. Zaczynało się w środku, potem szybka kreska w dół, by wreszcie przejść w zamasytą łuk. Albo K z małym kółeczkiem w miejscu, gdzie rozchodziły się dwie ukośne kreski. Podkreślenia, wykreślone zdania, charakterystyczna interpunkcja. W tym piśmie tkwiła niezwykła żywotność, niesamowita dramaturgia. Tu i ówdzie rozrzucone atramentowe kleksy, niby celowo, jakby autor niezbyt poważnie traktował swoje teksty. Jakby były tylko bezsensownymi bazgrołami. Napisanymi pośpiesznie czy wręcz niefrasobliwie.

Filipa ogarnęło napięcie. Serce biło mu szybciej. Wszędzie w jego ciele tworzyły się kłębki zelektryzowanych nerwów. Papier drżał mu w dłoni, gdy jego oczy badały tekst wers po wersie, litera po literze. Charakter pisma, styl: wszystko się zgadzało. Poczuł się nagle rozbudzony jak o poranku, gdy nad Hradczanami wschodziło słońce. Czuł dokładnie takie samo podniecenie, o jakim zawsze opowiadał jego ojciec. Mrowienie w czubkach palców, alarm w podświadomości i to nagle zrozumienie, wena, olśnienie.

Urzeczony wpatrywał się w tekst na ekranie. Czy to był ten uśpiony kapitał, na który już tak długo czekał? Tak, czuł w sobie myśliwski zapach i pomyślał o poniedziałku. Cóż za przypadek, że Milan Hus był akurat teraz w Pradze! Przypadek? Nie - to przeznaczenie!

Powoli i w skupieniu przeczytał tekst po raz drugi. Przyjrzał się tytułowi: „Na galerii Wersja zmieniona D (XI 1916)”. Ten manuskrypt mógł być wart miliony. Ale nie to było najważniejsze. Jeżeli okaże się autentycznym, będzie literacką sensacją.

Na galerii

Wersja zmieniona D (XI1916)

Gdyby jakaś chora na płuca tancerka otworzyła mu drzwi i stanęła przed

nim w krótkiej czerwonej koszuli, która spływałaby po jej bladym ciele niczym rwący potok krwi, co innego mógłby sobie pomyśleć niż: „kłamstwo było wszystkim”.

Nic nie mówiła.

I on milczał.

Wokół jego głowy wiły się węże odraży. Słusznie się działo, że musiała zostać osądzona. Była nożem, który go przeszywał. Była obrazem w jego spojrzeniu, który zdołałby wyblaknąć tylko wtedy, gdyby wyrwał sobie oczy. Była dłonią, która przytrzymywała wahadło jego serca, tak że nie mógł żyć.

Przeszyty zgrozą stał przed nią jak przed upadłym aniołem. Ona dotknęła ręką świata i ten brud na niej pozostał. W tejże chwili niezłomna pewność: człowiek dręczony przez swoje diabły musi zostać oswobodzony. Ktoś przeznaczony śmierci nie może pozostać przy życiu za sprawą szczęścia albo współczucia.

Tańczyła.

Jak ona machała rękoma i przebierała nogami!

Unosiła się w powietrzu. Szukał jej oczu, które wręcz zmieszane wymykały się jego ramionom. Chciał ją zatrzymać, wiedział jednak, że było jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie mógł przywołać kresu jej życia, zdecydować się, by dać znak, przerwać krąg, w którym się obracała. Cały czas w kółko: życie, które zakręca się na śmierć.

Szybciej, szybciej, szybciej.

Gdyby się nie uśmiechnęła.

Gdyby nie potrząsnęła głową.

Gdyby nie uniosła koszuli.

Znak.

Musiał wymierzyć sprawiedliwość.

Nachylił się, nie mógł dłużej czekać, w tej samej chwili pojął, że musi przerwać to, co powinno zostać zakończone przed czasem.

Sięgnął po laskę. Ciężka mu w dłoni jak obietnica zbawienia. Niełatwo było wykonać wyrok, ale już i tak zbyt długo zwlekał. I nie mógł mieć względu na drżenie swoich rąk.

- Stój! - zawołał i ruszył przed siebie. Inaczej nie potrafił i też nie chciał.

Pierwsze uderzenie zachwiało nią.

Drugi cios ją przewrócił.

Potem było łatwo.

Z prawej w pierś, z lewej w szyję, a potem w twarz.

Węże, stojąc wyprostowane, syczały tak samo, jak wtedy, gdy zabijają, a szczury wodne, rozplątane, wydają podobny dźwięk, zanim zdechną. I umierają równie długo jak ona.

Nieskończenie często musiał powtarzać to, od czego zaczął. Poprosił węża, by zamilkł, gad wciąż bowiem unosił łeb, a jego jęzor szeptał mu do ucha:

- Wyrok jeszcze nie jest w pełni wykonany.

Przenikliwym spojrzeniem śledził zatem jej ostatnie wicie się, bezładne drgawki jej ciała. Aż w końcu zapadł spokój i umilkła orkiestra śmierci.

Krótką radość!

Ulga!

Uskrzydlenie, gdy z jej ciała wypłynęła na jego oczach ostatnia kropla krwi.

Leżała zatem przed nim, z rozłożonymi ramionami, jakby miała za chwilę ostatni raz go przytulić. Z głową odwróconą na bok, zamkniętymi oczyma, otwartymi ustami, jakby wyszeptywała pod jego adresem podziękowanie, które przyprawiło go o łzy.

Nie, jemu nie chodziło o sprawiedliwość słowną. Tylko o równowagę w naturze. O prawa świata, on zaś był niebiańskim myśliwym, który orzekł ten wyrok.

Położył twarz na jej piersi i zatapiając się w krwi koszuli niczym w ciężkim śnie, nieświadomie płakał.

Noc i wiatr.

Mrok, który ukrywa.

Wiatr, który przemija.

Poczuł na języku smak krwi.

Była gorzka.

On jednak był SĘDZIĄ.

K.

FRANKFURT NAD MENEM

PONIEDZIAŁEK, 30 KWIETNIA

8

- Pan Tau. - Mężczyzna zakreślił prawym palcem wskazującym wyimaginowany okrąg wokół swojej głowy. - Wyglądał jak Pan Tau.

Alex, jak się przedstawił, bełkotał, czym akurat nie wzbudzał zaufania jako świadek. Miał na sobie jeansy, które ledwie dało się jako takie rozpoznać, i do tego białą koszulkę ze spranym logo, którego napisu Miriam nie była w stanie odszyfrować. Rzadkie nieumyte włosy lepiły mu się do głowy, co jeszcze bardziej podkreślało zapadnięte policzki. Do tego twarz pokrywała jakaś obrzydliwa egzema. Wydał się jej znajomy. Te blizny na pożąłkłej twarzy. Przypomniła sobie. To ten facet, którego widziała wczoraj na klatce schodowej.

- Pan Tau? - zapytał Ron, wzdychając.

Najwidoczniej, pomyślała Miriam, ten Alex znajduje się w jakimś delirium. Równie dobrze mógłby twierdzić, że widział, jak pod stołem śmigają białe myszki. Nikogo by to nie zdziwiło, jest naćpany w trupa, chociaż dochodzi dopiero dziesiąta.

Po bezsennej nocy Miriam była wykończona. Mimo to w drodze do sądu postanowiła zajrzeć do prezydium policji, żeby dowiedzieć się o stan śledztwa i... - nie, nie miała pewności, czy powinna powiedzieć Henriemu o wczorajszym telefonie. Zabrzmiałoby to, jakby apelowała do jego współczucia, by go odzyskać.

Całą trójkę, Henriego, Rona i Aleksa, zastała w kafeterii, dokąd obydwaj komisarze zaciągnęli bezdomnego, żeby otrzeźwić go dwoma podwójnymi espresso.

- Pan Tau? - powtórzył po raz drugi Ron.

- No wiesz, ten koleś, co potrafi się zmniejszać - oznajmił Alex.

Ron kiwnął obojętnie, podczas gdy Miriam przypomniła sobie, że nigdy nie zносиła Pana Tau. Wiecznie uśmiechnięty milczek i zarozumialec. Ten uśmiezek na twarzy, który tylko wydawał się pogodny i wróżył fałszywą idyllę.

- A więc to on tam wszedł? - Ron mimowolnie mówił głośniejszym głosem niż zwykle.

- Kto?

- No, ten Pan Tau.

- Hm. - Alex przetarł prawą ręką twarz naznaczoną przerażająco głębokimi brzdami.

- Tak czy nie? - nalegał Ron.

- Stał przed domem, a potem nagle zniknął. Może po prostu też się zmniejszył - roześmiał się chłopak, odsłaniając prawie bezzębą dolną szczękę.

- Albo zrobił się niewidzialny.

Strata czasu, pomyślała Miriam. Ten ćpun jest na prostej drodze do własnego piekła. Westchnęła i jednocześnie starała się nie patrzeć na ślady po ukłuciu.

na jego rękach. Jak ochraniać ludzi, którzy byli zarazem ofiarami i sprawcami, bo dobrowolnie obrali drogę samozniszczenia?

Chyba wyczuł jej myśli. Jego wodniste spojrzenie, niczym szary woal na błękitnej tęczę, nagle stało się klarowne.

- Była miłą dziewczyną, naprawdę ładną, miała naturalny urok, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

- Mówi pan o ofierze? - zapytał Ron.

- Ofiara? - powtórzył Alex, by w końcu po chwili zastanowienia dodać: - Czy nie jesteśmy nią wszyscy?

Jeszcze trochę, a Ron straci cierpliwość, której i tak już nie miał. Gapił się na każdego, kto przemykał przez stołówkę, byle tylko nie patrzeć na tego Aleksa.

- Powiedział pan, że z nami porozmawia. Ale nie musi pan z tego powodu zamieniać się w filozofa. I tak nikt panu nie uwierzy. Niech więc pan mówi tak, żebyśmy pana rozumieli. Możemy pana też zatrzymać.

Urażony Alex wydał spierzchnięte wargi. Jego słowom towarzyszyła niewiarygodna woń z ust.

- Zawsze pożyczala mi pieniądze. Chociaż tamta dziwka marudziła, żeby dała sobie z tym spokój. Ale ona taka nie była. Miała dobre serce, piękne serce - powtórzył, znów stwarzając wrażenie, że odplywa. - Ale Pan Tau - ściszył głos - też miał dobre serce, prawda? A mimo to... - zachichotał.

Ron sięgnął do kieszeni po paczkę, wyjął papierosa i zapalił.

- O jakiej dziwce pan mówi?

Alex spojrzał chciwie na papierosa, ale Ron to zignorował, na co bezdomny zwrócił się do Miriam:

- Jess - powiedział. - Ta dziwka nazywa się Jess. Mocno zużyta, stare pudło. Ale ona nie będzie z wami gadać. Nikt nie będzie. Wiecie przecież, że jesteście ciemną stroną mocy. - Roześmiał się donośnie, a potem, zmieniając ton głosu, dodał: - Nie macie przypadkiem jednego euro na zbyciu?

- Nie - odparł ostro Henri.

Miriam przez chwilę się zastanawiała, potem wyjęła portmonetkę z torebki i spojrzała Aleksowi prosto w oczy:

- Powiedzmy, że każda jasna odpowiedź to jedno euro.

Alex z wyraźną nieufnością zmarszczył czoło.

- Czy madame mnie szantażuje?

- Możemy przeprowadzić test narkotykowy i wpakować pana na odwyk na oddziale psychiatrycznym - odparowała niewzruszona. - Poza tym... Może nigdy pan o tym nie słyszał? Istnieje prawo, które zabrania posiadania narkotyków.

- Nie mam przy sobie niczego. - Alex uniósł ręce do góry.

- Może nie w kieszeni - zauważyła Miriam - ale we krwi. Jest pan pewny, że nic tam nie znajdziemy?

- Chrzań się.

- Sam się chrząć.

Zarówno Henri, jak i Ron gapili się na nią z zaskoczeniem. Miriam ignorowała to. Cholera, nie miała ochoty na żadne gierki z kimś takim jak Alex. Albo niech odpowiada na jej pytania, albo...

- Jestem prokuratorem - oznajmiła. - Mogę pana wezwać na świadka. Mogę też wystawić nakaz aresztowania. Lub...

- Sram na to, kim jesteś, co możesz czy chcesz albo musisz. Niewiele będziecie mieć ze mnie pożytku. Pochodzę z półświatka, kapujecie, nie jestem jakimś tam mięczakiem. Moim wzorem byli terroryści. RAF, jasne? Nie jestem sługusem tego państwa. Nie jestem niczym sługusem. Jestem panem siebie. Państwo to ja.

Teraz już nie mówił w delirium, tylko plótł kompletne głupoty. Dokładnie ten sam polityczny bełkot, który w latach siedemdziesiątych zakorzenił się w tych nielicznych szarych komórkach, jakie w ogóle jeszcze działały w jego mózgu.

- A co obejmuje terytorium tego cesarstwa? - zapytała Miriam. Wykonała ręką w powietrzu szeroki gest. - Kaiserstraße? Dzielnicę dworcową? A dilerzy, ćpuny, dziwki to pewnie poddani?

- Miriam - napomniał ją Henri.

Ona jednak nie potrafiła się powstrzymać:

- Czy takie życie się opłacało? Czy opłacała się nienawiść do państwa? Czy warto było? Życ na ulicy? Być uzależnionym od tolerancji, dobroczynności, litości innych?

- Warto było. - Alex nagle się obudził. Tak przytomny nie był przypuszczalnie od wielu miesięcy, albo nawet lat. Szary woal w jego oczach znów ustąpił. Spojrzenie się rozjaśniło. - Walczyłem - oznajmił ochryplym głosem - o wolność. O sprawiedliwość! W przeciwieństwie do was jestem wolny. - Potrącił ręką kubek. - A ty, madame, tkwisz po uszy w tym systemie. Uwięziona jak w pajęczynie. I gdy nie udaje ci się uwolnić, oplata cię lepka sieć. Coraz ciasniej, aż pajęczyna zaklei ci gębę, aż nie będziesz już mogła ani mówić, ani jeść, ani oddychać. Udusisz się w tym swoim poczuciu obywatelskiego obowiązku.

- Co ty wiesz o moim życiu? - rzuciła Miriam, myśląc jednocześnie o pajęczynie i powtarzającym się śnie. Ron wyszczerzył zęby, tymczasem Henri podniósł rękę, jakby chciał ich obydwójce skrócić o głowę. - Nic! Rzygać mi się chce na widok takich ludzi jak ty. Zmarnowałeś sobie życie! Spieprzyłeś je! I nie chodzi tu o twoją zasraną wolność, gównu mnie ona obchodzi, podobnie zresztą jak komuchów z ubiegłego stulecia. Mnie interesuje śmierć dziewczyny. Młodej, pięknej kobiety, która się wykrwawiła. Której krew wypłynęła z dziesiątek ran, w porównaniu z którymi ukrzyżowanie Jezusa to nic. Której skóra została poszatkowana. Okej, jeżeli twoi terroryści chcieli umierać za swoje ideały, to mogę im bić nawet brawo za ich bohaterstwo, ale ta dziewczyna nie umarła w żadnym konkretnym celu. Jej śmierć jest bezsensowna. Bezsensowna, rozumiesz? Równie bezsensowna jak twoja walka z własnym życiem.

Na chwilę zapadła cisza. Miriam głęboko nabrała powietrza. Wściekłość,

gniew, złość, których siła oddziaływania była porównywalna z orgazmem. Potem czuło się podobne odprężenie, zmęczenie i pustkę. Zupełnie jakby jednym ruchem rozerwała pajęczyny, o których mówił.

- Lubilem ją - oznajmił nagle ze spokojem Alex.

Wyraz jego twarzy w jednej chwili zmienił się z dezaprobaty w głęboki smutek. Miriam wydało się, że widzi w jego oczach łzy, ale przypuszczalnie się myliła.

- Była naprawdę uprzejma. I wspaniałomyślna. Przede wszystkim wspaniałomyślna. Zawsze dawała mi pieniądze, gdy poprosiłem. Mimo że sama nic nie miała. Była matką Teresą, królową serc... - przerwał na moment, pociągnął łyk z kubka, w którym pozostały już tylko resztki cukru, by w końcu ledwie zrozumiałym bełkotem dodać: - Ona była jednym z wyjątków, srebrnym promyczkiem na horyzoncie tego zasranego świata, światłem w tej chujowej dzielnicy. Nie zasłużyła sobie na taki koniec.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Panowała cisza, która wszystkich zdawała się łączyć. Nie było nic do dodania. Nikt nie zaprzeczył. Krótkie milczenie - każdy z obecnych respektował zadumę innych - aż Alex wymamrotał:

- Jeżeli wy, gliny, pożyczycie mi teraz dychę, dam wam adres Jess. Ona naprawdę ją знаła. - Podniósł się z trudem i popatrzył na Miriam. - Jeśli jeden człowiek może w ogóle znać drugiego. Rozumie pani?

Ten Alex był nieogolony, miał tłuste, nieuczesane włosy o tak szarym odcieniu żółci, jaki widuje się tylko na spleśniałym serze. Śmierdział jak skarpeta, którą noszono od tygodni. Miriam jednak poczuła do niego sympatię. Z tego jedyne powodu, że na pewno nie wezwałby adwokata tylko dlatego, że go zwymyślała. W świecie urzędników i prawników, świecie kształtowanym przez takich szefów jak Hillmer, ów Alex wydał się jej prawdziwie szczęśliwym przebłyskiem, który jako rozmówca działał na nią lepiej, bardziej odprężająco niż jakikolwiek terapeuta.

Dlatego skinęła głową i przez chwilę poczuła się oswobodzona z pajęczej sieci skrupułów, przymusów, lęków i wszelkich innych przeszkód blokujących jej drogę do samej siebie.

9

Miriam śpiesznie schodziła do piwnicy medycyny sądowej, jak zwykle onieśmielona panującą tam nienaturalną ciszą. Zupełnie jakby zwłoki w kostnicy już teraz chciano przygotować na wieczny spoczynek. Stukot obcasów w znacznym stopniu zakłócał ten spokój. Znowu zapomniała o włożeniu sportowego obuwia, żeby nie przeszkadzać zmarłym. Ale im i tak było przecież wszystko jedno.

W piwnicy skierowała się w prawo, gdzie znajdowały się sale diagnostyki autopsyjnej. Zastanawiała się, dlaczego doktor Henning Veit przesunął termin obdukcji na porę lunchu. Musiał natrafić na coś szczególnego, o czym koniecznie chciał ich poinformować.

Ron wkrótce po otrzymaniu zawiadomienia od Veita dowiedział się, że Jess,

która naprawdę nazywała się Connie Lutz, odmówiła współpracy z policją.

- To sprowadź ją na oddział medycyny sądowej - rzuciła rozdrażniona Miriam.

- Na jakiej podstawie?

- Nie mam pojęcia! - Zastanowiła się przez chwilę. - Powiedz jej, że ma zidentyfikować dziewczynę.

- Przecież my wiemy, że to Helena Baarová.

- Nie o to chodzi. Może jednak widok martwej przyjaciółki skłoni ją do zmiany zdania. Może wtedy będzie gotowa złożyć zeznanie.

- Nie mogę jej do tego zmusić.

- Coś mi w duchu mówi, że przyjdzie.

Westchnąwszy, Ron mruknął:

- Niech Pan uchowa mnie przed ezoterycznymi wenami niemieckiej prokuratorki.

Przed otwarciem drzwi do sali obdukcyjnej Miriam wyjęła z torebki puderniczkę, otworzyła wieczko z lusterkiem i pokryła policzki pudrem, który według reklamy miał wyraźnie ożywiać cerę. W tym miejscu na pewno to nie zaszkodzi. Schowała pudełeczko z powrotem do torby, wygładziła spódnicę i spróbowała przygotować się na to, co ją czekało.

Poszarpane zwłoki młodej dziewczyny. Odtrącenie przez Henriego. W ciągu najbliższych minut okaże się, co było gorsze.

Otworzyła drzwi. Poza nią nie było tu nikogo. No, może nie całkiem, bo kilka metrów dalej pod prześcieradłem odznaczało się ciało Heleny Baarovej. Martwa dziewczyna leżała samotnie na zimnym stalowym blacie stołu obdukcyjnego. Ktoś nie naciągnął do końca płachty na jej głowę. Spod materiału wystawało ciemne pasmo włosów. Ta scena emanowała pewną intymnością.

Kapanie z kranu wydało się Miriam torturą. Skierowała się do drzwi, by wyjść z sali, lecz w tej samej chwili poczuła ulgę, słysząc na korytarzu głos Veita. Zaraz potem zobaczyła go w zielonym kitlu, a potem wszedł Henri, Ron i - jak Miriam z zadowoleniem stwierdziła - kobieta w kusej spódniczce, cekinowym topie i chwiejnych szpilkach. To musiała być Jess. Miriam oszacowała, że była grubo po czterdziestce. Na pewno za stara na tę mini, której długość napawała Miriam paniką. Raz po raz jej spojrzenie padało na koronkową lamówkę czerwonych majtek, która ukazywała się przy każdym kroku.

- Kto cię wpuścił? - zapytał Veit.

- Twój asystent - odpowiedziała. - Mówił, że jesteście na dole.

Miriam unikała wzroku Henriego. Po współczującym spojrzeniu Rona zorientowała się, że obydwaj rozmawiali już o niej. Przypuszczalnie w samochodzie, męskim konfesjonale. Dziś rano Ron jeszcze zdawał się nie mieć o niczym pojęcia.

Jej kolega wskazał kobietę obok siebie:

- To pani Lutz, która ma zidentyfikować denatkę.

Miriam skinęła głową pod jej adresem:

- Może poczeka pani na zewnątrz, aż skończymy.

Kobieta wymownie wzruszyła ramionami i odwróciła się, by chwiejnym krokiem opuścić pomieszczenie.

- Zaczynamy? - zapytał Veit i podszedł do stołu, gdzie zatrzymał się na chwilę, by dać im czas na przygotowanie się na to, co mieli zobaczyć. Potem odsunął zielone prześcieradło i wskazał na stopy. - Najpierw to!

Nagie, pozbawione życia nogi Heleny Baarovej wystawały spod płachty niczym kończyny wielkiej porcelanowej kukły. Miriam podeszła bliżej, nie rozumiejąc, co mogło być w nich szczególnego, aż zobaczyła dwie małe dziecięce stópki. Palce, dziwnie skrócone i powyginane, przypominały szpony drapieżnego ptaka. Zdawały się być ze sobą pozrastane, przez co stwarzały wrażenie zaciśniętej pięści. Miriam nabrała głęboko powietrza i mimowolnie się odwróciła, jakby tego wszystkiego było już dosyć, chociaż przecież właściwie nawet nie zaczęli.

- Co to oznacza?

Z przyzwyczajenia skierowała pytanie do Henriego. W ciągu ubiegłego roku osiągnęli w pracy porozumienie, które pomagało jej znosić widok martwych ciał. Teraz jednak uciekał przed jej oczami, przenosząc wzrok na stopy dziewczyny.

Miriam usłyszała, jak Ron głośno wzdycha, tymczasem Veit rzeczowym głosem oznajmił:

- Podwiązywała sobie nogi, gdy tańczyła.

Prokurator nadal nie rozumiała.

- Dlaczego?

- Żeby mieściły się w mniejszych butach.

- Ale...

- Tancerki, które mają rozmiar buta trzydzieści dziewięć albo czterdzieści, noszą trzydzieści siedem. W balecie to na porządku dziennym.

- Przecież tak nie da się tańczyć! - fuknęła oburzona Miriam.

Veit spojrzał jej w oczy:

- Miałaś kiedyś na nogach baletki?

- Ja? Nigdy. Taka ze mnie zdolna tancerka jak kucharka.

- Czyli beznadziejna - mruknął pod nosem Ron. - Pamiętam jeszcze twoje risotto.

- Daruj sobie teraz te żarty - syknęła Miriam.

- Jennifer niedawno zaczęła tańczyć na czubkach stóp. Z punktu widzenia medycyny jej buty to masakra, a jednak to nie przeszkadza jej tańczyć. Jej baletki odpowiadają przynajmniej rozmiarowi jej stóp, tymczasem Helena Baarová używała obuwia, które było co najmniej o dwa numery za małe.

- Musiało ją cholernie boleć, gdy tańczyła - skonstatował Henri.

- Tak.

Na kilka minut zapadło milczenie, które przerwał Henri:

- Co jeszcze?

- Dopiero co skończyłem oględziny zewnętrzne. Ale dwie rzeczy powinniście koniecznie wiedzieć: po pierwsze narzędzie zbrodni. O ile jestem w stanie to ocenić, sprawca nie używał tradycyjnego pejcza...

- Tradycyjnego? Co masz na myśli? - przerwał mu z irytacją Ron.

- To nie był pejcz z rzemieniami zrobionymi z włókna, sztucznego tworzywa ani skóry.

- Tylko? - spytał Henri.

- Przypuszczam, że była to metalowa lina.

- Lina z metalu?

- Chyba ze stali. - Veit odsłonił górną część ciała tancerki. Jego palce przesuwają się wzdłuż głębokich, pokrytych zaschniętą krwią pręg na klatce piersiowej. - Te cięcia nie mogły wyjść spod skórzanego rzemienia, są zbyt głębokie. Poza tym przebadłem krew pod mikroskopem i znalazłem w niej drobinki metalu. Przy silnym naprężeniu stalowa lina może mieć niesamowity impet.

Przez chwilę trwali w ciszy.

- No i - odezwał się w końcu Ron - ma tę zaletę, że łatwo ją przetransportować. Można ją najzwyczajniej zwinąć i schować do kieszeni. Jak myślisz, jaką miała grubość?

- Dziesięć do dwunastu milimetrów.

- Skąd to tak dokładnie wiesz? - wtrąciła Miriam.

- Da się to stwierdzić na podstawie szerokości pręg i głębokości cięć, z drugiej strony lina musi być na tyle elastyczna, żeby mogła śmigać w powietrzu jak pejcz. A to wymaga pewnej giętkości, rozumiesz?

- Jesteś pewny? - rzucił Henri.

- Pewny? - powtórzył Veit. - Od kiedy cokolwiek jest pewne? W tej chwili skłaniam się do tej hipotezy. Wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

- Ale gdzie można dostać taką linę? - zapytała poirytowana Miriam. Ze zdumieniem usłyszała jednoczesną odpowiedź trzech mężczyzn:

- W Obi.

Nikt nie ośmielił się roześmiać.

- Trzeba więc wysłać kogoś do tego sklepu.

- Wagner tam pojedzie. - Ron kiwnął głową. - Tam niczego nie namiesza.

Miriam zobaczyła, że Henri robi krok do przodu. Położył dłoń na stole obdukcyjnym, marszcząc w zamyśleniu czoło. Był znany z umiejętności koncentracji. Gdy w takich chwilach jakaś określona myśl rozgościła się w jego głowie, nic nie było w stanie go od niej oderwać.

- Taki ból musi powodować omdlenie - powiedział.

- Nie - odparł niewzruszenie Veit. - Nie, jeżeli ktoś przyzwyczajony jest do bólu, tak jak była przyzwyczajona Helena Baarová. Może akurat to stało się jej wyrokiem śmierci. Zbyt długo wytrzymała.

Znów zapadło milczenie.

- To dlatego pokazałeś nam stopy - odezwała się Miriam. - Chciałeś nam uzmysłwić, dlaczego zdołała wytrzymać te uderzenia.

Veit pokiwał głową.

- Może Wagner ma rację. Może wszystko zaczęło się od zabawy - myślał na głos Ron. - Czy ta dziewczyna piła alkohol albo wzięła narkotyki?

Veit potrząsnął głową.

- Na tym etapie mogę powiedzieć, że nie.

- Jak długo dała radę utrzymać się na nogach? - indagowała Miriam.

- Na pewno przez pierwsze pięć lub sześć uderzeń.

- Ile razy jej zadano?

- Na pewno za dużo.

- Czy już nie żyła, gdy skończył?

- Nie, nie sądzę. Krew wypływała z niej powoli.

- Chcesz powiedzieć, że leżała tak całymi godzinami?

- Tak.

- Okej, a więc jednak numerek sadomaso. Była prostytutką. Wagner ma rację. - Z jakiegoś powodu Ron kurczowo trzymał się tej teorii, która zdawała się go uspokajać.

- No cóż, istnieje pewien drobiazg, który zaprzecza tej teorii. - Na twarzy Veita pojawił się gorzki uśmiech.

Lekarz stanął u wezglowia stołu.

- Co takiego?

- Ona była jeszcze... dziewicą.

Słowa Veita odebrały wszystkim mowę. Słysząc było tylko ciche brzęczenie jarzeniowego oświetlenia nad stołem obdukcyjnym.

- Dziewica? - powtórzył z niedowierzaniem Ron.

- Dziewica - potwierdził skinieniem głowy Veit.

- Chociaż - odezwał się po kilku minutach Henri - nie musi przecież dojść do współżycia, żeby osiągnąć zaspokojenie seksualne, prawda? Niektóre prostytutki nie współżycją ze swoimi klientami.

- No nie wiem - odparł Ron. - Twoja teoria o dziewiczej prostytutce wydaje mi się bardzo naciągana.

W powietrzu zawisła bezradność połączona z niezdecydowaniem, aż wreszcie Veit zwrócił się do Henriego:

- Idźmy dalej. Pomożesz mi? Musimy ją odwrócić.

Odwrócili dziewczynę na brzuch i Veit rozdzielił na środku jej długie gęste włosy.

- Przyjrzyjcie się temu. To jest najważniejsze. Coś w rodzaju klucza.

Podeszli bliżej. Miriam poczuła oddech Henriego. Zapach jego wody po goleniu.

- Nic nie widzę - wymamrotał zniecierpliwiony Ron.

Veit wskazał ciemne, pokryte zaschniętą krwią miejsce na potylicy, tuż nad karkiem. Dla Miriam wyglądało ono jak wlot kuli po strzale w tył głowy.

- Co to jest? - zapytał Ron.

Żadnej odpowiedzi. Znów tylko brzęczenie lampy.

- Sfotografowałem to. - Veit wypuścił włosy z ręki. - Zeskanowałem i powiększyłem. - Podeszedł do stołu obok, skąd wziął kartkę A4 i podał im nad ciałem Heleny Baarovej. Henri chwycił papier i we trójkę się nad nim pochylili.

- Krzyż? - zaryzykował Ron.

- To wygląda raczej jak X - zaprzeczył Henri.

- Użył wyjątkowo ostrego noża, żeby wyryć ten znak na skórze - oznajmił Veit.

- Co to ma znaczyć? - szepnęła Miriam. Ogarniało ją ciche przeczucie, jakaś mroczna obawa. Nie mogła oderwać oczu od kartki. Przełknęła ślinę.

- Będą kolejne ofiary - powiedział stanowczym tonem Veit.

- Skąd ta pewność?

- Wyciął na skórze znak, gdy dziewczyna była już martwa... - Na chwilę się zająknął, by zaraz potem dodać: - Chciał na jej karku zostawić podpis.

10

Jess należała do tych osób, które rezygnowały z jakiegokolwiek ochrony prawa. Które raczej dałyby się zabić, niż zaufały policji albo jakiegś prokurator w ciemnobrązowej spódnicy i beżowym kaszmirowym sweterku włożonym na białą bluzkę. Dlatego traktowała całą stojącą przed nią trójkę z pogardą, na jaką zasługiwali, i ironicznie obserwowała, jak pani prokurator gmerała przy swym dekolcie, żeby przypadkiem nie pokazać ani skrawka płaskiego biustu, który nie był wart więcej niż ciasto bez proszku do pieczenia.

Nie, nie lubiła swojej pracy, ale znała się na facetach. Wiedziała, co ci dwaj tutaj o niej myśleli. Ona, Jess, każdym ruchem przypominała im o tym, że są „mężczyznami”, a jednocześnie jej obecność przejmowała ich zgrozą, że już od samego patrzenia na nią mogliby się nabawić trypra.

Na lekko chwiejących się szpilkach weszła przed nimi do sali obdukcyjnej. Nie okaże słabości. Nawet jeśli ta woń zapierała jej dech, a środek dezynfekcyjny drapał w gardle. Niemalże bała się nabrać powietrza, aż w końcu postanowiła oddychać przez usta. Po chwili wahania zbliżyła się do stalowego blatu, na którym zobaczyła nagie ciało Heleny przykryte pod brodę zielonym płótnem. Kilka minut stała i przyglądała się przyjaciółce. Potem niezdecydowanym ruchem wyciągnęła rękę. Ktoś powiedział: „nie”, ale nie przejęła się tym, tylko czule pogłaskała włosy Heleny i nachyliła się, by wyszeptać jej do ucha:

- Tak mi przykro. Chciałam nad tobą czuwać.

Stała plecami do reszty, dlatego nikt nie zauważył łez w jej oczach. To dobrze. W końcu wzięła się w garść i odwróciła do zebranych.

- To ona. Ale to i tak już wiadomo. Po co więc mnie wezwaliście? Czego chcecie?

- Porozmawiać o Helenie - oznajmiła prokurator.

- O Helenie? - Jess rzuciła kobiecie pogardliwe spojrzenie. - Nie sądzę, żeby

ona kiedykolwiek zaproponowała pani przejście na ty.

Urzędniczka zignorowała jej słowa.

- Co może nam pani powiedzieć o Helenie Baarovej? Czy należała do pani koleżanek po fachu?

- Na pewno nie zdradzę wam sekretów Heleny.

- A więc miała sekrety? Czy dlatego została wychłostana? - zapytał ciemnowłosy policjant, który pachniał równie intensywnie papierosami jak woda kolońska, co przynajmniej częściowo tłumilo woń unoszącą się w pomieszczeniu.

Jess wzdrygnęła się. Pragnienie chronienia przyjaciółki było przemożne, podobnie jak wściekłość, nad którą ledwie panowała. Nikt i nic nie mogło już pomóc Helenie. Nawet prawda.

- Tajemnice pozostają tajemnicami, również po śmierci - powiedziała w końcu.

- Nie, jeżeli ta śmierć została zadana przemocą - oznajmił spokojnym głosem blondyn.

Jess ponownie odwróciła się do Heleny i jeszcze raz pogładziła ją po włosach.

- Ułatwiła mu sprawę. To przykre. Ale ona chciała tego bólu - stwierdziła. - Nigdy tego nie mogłam zrozumieć, państwo też tego nie ogarną. Musimy to jednak zaakceptować.

Szatyn przecesał palcami kędzierzawe włosy.

- Niech pani wreszcie przestanie mówić rebusami!

Jess obrzuciła go kpiącym spojrzeniem.

- Długo znała pani Helenę? - zapytała prokurator.

- Odkąd wprowadziła się do tego mieszkania... - Jess zająknęła się na chwilę, a potem dodała zdecydowanym głosem, jakby chciała chronić reputację Heleny:

- Ale jedno powinniście wiedzieć. Ona była nietknięta.

- Co chce pani przez to powiedzieć? - Prokurator zmarszczyła czoło.

Jess po prostu mówiła dalej:

- Ją zabił jakiś wariat. To mi przypomina, że żyję tylko dlatego, że potrafię się bronić. Helena tego nie umiała. Za krótko przebywała na tym świecie.

- I właśnie w tym problem. - Blondyn pochylił się do przodu. Zbliżył się przez to do niej, co zdawało się nie podobać prokuratorce.

A więc między nimi coś było. Coś szło nie tak. W grę wchodziły uczucia, które zakłócały seks. Boże, ta trójka miała problemy rodem z Hollywood. Działali według scenariusza napisanego przez społeczeństwo i żyli w małym światku iluzji: słońce, miłość i śmiech. Jakby mieli do tego prawo.

- Czy była pani koleżanką po fachu? - zapytał blondyn.

- Dlaczego? Bo mieszkała w dzielnicy dworcowej?

- Nieważne dlaczego. Po prostu pytam.

- Była tancerką.

- Nie wiedziałem, że tancerka to niebezpieczny zawód, który wiąże się ze śmiertelnym ryzykiem.

- Gdy mężczyzna zabije swoją kobietę, wtedy też mówi pan, że żona to

niebezpieczny fach? Nie morduje nas to, co robimy, lecz inni ludzie. To oni są dla nas zagrożeniem.

- No cóż, filozofia ulicy. - Blondyn wyprostował się, odgarniając nieistniejący kosmyk z czoła, na którym mimo chłodu kostnicy szkliły się krople potu. - Wyłożył ją nam już twój przyjaciel Alex. Powiedziałbym, że na dziś wystarczy.

- On nie jest moim przyjacielem. To naciągacz. Pasożyt. Szczur.
- Powiedział nam, że Helena Baarová była dla niego wspaniałomyślna.
- Była głupia! Durna. Mówię przecież, że za krótko żyła.
- Alex wspomniał o jakimś mężczyźnie, który ją odwiedził. Miał na sobie ciemny garnitur i czarny kapelusz.

Jess przez moment się zawahała. Czy on już to wiedział? Czy miał to samo poczucie winy co ona? Potem jadowicie oznajmiła:

- Wierzycie ćpunowi? Który nie potrafi sam zarobić na życie? Myślicie, że taki ktoś ma pojęcie, co się dzieje w dzielnicy? Ktoś, kto codziennie lata do La Strady, żeby dostać działkę? To jak zasiłek socjalny. Nie musi pracować, żeby zapomnieć o życiu. Myślicie, że bierze, bo jest zdesperowany? Nie, wstrzykuje sobie to dziadostwo, bo daje mu ono poczucie bezpieczeństwa. Gdy już nie może siebie samego znieść, dostaje darmowe znieczulenie. Od miasta! - Parsknęła gromkim śmiechem. - I dziwicie się, że on nie chce się z tego wyrwać? Taki ktoś nie zna prawa ulicy. Nie powie wam niczego, co pomoże w śledztwie. Nie ma o niczym pojęcia.

Prokurator westchnęła, więc Jess zwróciła się bezpośrednio do niej:

- Nie ma tu nad czym jęczeć. Chcecie wiedzieć, co jest grane czy nie?

Młoda kobieta spojrzała jej prosto w oczy. Jess zobaczyła w jej wzroku politowanie i zarazem silną wolę.

- Ja panią znam - powiedziała. - Chwila, zaraz sobie przypomnę. To pani jest tą prokuratorką, która uwzięła się na neonazistów, prawda? Czytałam o tym. Tak, niech pani sobie wyobrazi, czytam gazety! Czy oni nadal przebijają pani opony?

Miriam Singer zawahała się. Jess nie dawała się zbić z pantafelów, popatrzyła jej w oczy, by potem potrząsnąć głową.

- Pani wie, co to jest strach, no nie? Jakie to gówniane uczucie, gdy ktoś komuś grozi?

Prokurator kiwnęła głową.

- Tak, ale... - nachyliła się do przodu - nie poddaję się.

- Jasne, bo chce pani rznąć bohaterkę. Powodzenia!

- Nikt nie zmusza pani do zarabiania na życie jako dziwka.

Jess zamurowała. Tak mówili do niej niezadowoleni klienci, barman, nowe dziewczyny, które jeszcze wierzyły, że ta praca to tylko krótki epizod w ich życiu. Jednak od tej kobiety nie chciała tego słyszeć. Gwałtownie się zerwała.

- Możesz mnie...

- Niech pani posłucha - rzuciła szybko prokurator - ja rozumiem. Pani nie chce nam nic powiedzieć o Helenie Baarovej, ale my i tak do tego dojdziemy. To dla nas normalka. Tyle że przy pani pomocy pójdzie nam szybciej.

- O zmarłych powinno się mówić tylko dobre rzeczy - wymamrotała Jess.

Czuła, jak mięknie. Oni jednak właśnie tego chcieli. Nie mogła teraz tak po prostu opowiedzieć o Helenie, wyjawić jej tajemnice i marzenia, odsłonić jej porażki, otchłanie, rozpacz. Helena nie należała do ludzi, którzy narzekali. Nikomu się nie zwierzała. Starła się zachować godność. Czy teraz Jess miała ją zdradzić? Nie, to niemożliwe. Nie teraz, nie tutaj. Zaledwie kilka godzin po jej śmierci. Nie w tym otoczeniu. Znowu potrząsnęła głową.

- Nie mogę państwu nic powiedzieć o Helenie.

Ciemnowłosy funkcjonariusz poruszył się. Chciał coś powiedzieć, lecz prokurator go powstrzymała.

- Daj spokój, Ron. - Potem zwróciła się do Jess: - Kiedyś obraz Heleny na tym stole tak panią zadręczy, że sama pani do mnie przyjdzie.

- Czyżby? - odparła ironicznie Jess.

- Tak! Miejmy nadzieję, że wtedy nie będzie za późno.

PRAGA, INSTYTUT GOETHEGO

PONIEDZIAŁEK, 30 KWIETNIA

11

Instytut Goethego znajdował się tuż nad brzegiem Wełtawy, z widokiem na Wyspę Słowiańską i pałac Zofin.

Filip Černý nie bez złości pomyślał, że Niemcy znowu położyli łapę na jednym z najlepszych adresów w mieście. Okazały jasny gmach nie stał frontem do ulicy, tylko ukośnie wzdłuż małego zaułka, który skręcał w lewo. Dzięki temu już z daleka prezentował bogaty portal zwieńczony orłem, który niczym patron szybował nad kulą ziemską groźnie otoczoną przez pozłacany promienny wieniec. Instytut Goethego miał pieniądze. A prażanie oblegali go, jakby był jedynym przybytkiem kultury w mieście.

Dziś pojawią się tu wszyscy. Milan Hus należał do osób znanych w Pradze. Był jednym z dysydentów, którzy podpisali Kartę 77. Chrzest bojowy przeszedł, gdy aresztowano go na pogrzebie Jana Patocki. Emigracja przyniosła buntownicznemu studentowi szczęście i sławę. Zaraz po studiach i habilitacji w Wiedniu otrzymał profesurę we Frankfurcie.

Filip mimowolnie podniósł do góry aktówkę i na chwilę przycisnął ją do piersi. Dora ze zdumieniem komentowała dziś jego zdenerwowanie, więc w końcu wspomniał coś o ważnym spotkaniu z klientem. Sceptycyzm widoczny na jej twarzy mówił jednak, że mu nie uwierzyła.

Ktoś taki jak Hus był zatem podziwiany, mimo że dopuścił do śmierci żony i wyprowadził się do Niemiec, kraju odwiecznego wroga.

Czy napomknąć o Rostenbergu w roli konkurenta? Tak, jemu też powinien zaoferować manuskrypt. Amerykanie nie przywiązywali takiej wagi do ekspertyz. Rozumieli bowiem coś, czego Europa nie chciała pojąć od czasu oświecenia. Ludzie nie tęsknili za prawdą, tylko domagali się iluzji, choć była fałszem lub ułudą. Pragnęli marzeń. Hus musiał najwyraźniej to rozumieć, bo w jego teoriach na temat Kafki też chodziło tylko o efekt, a nie o prawdziwość.

Filip pomyślał o wydrukowanych stronach w swojej teczce. Ten manuskrypt mógłby umocnić sławę profesora. Antykwariusz starał się utrzymać poważny wyraz twarzy, przepuszczając w drzwiach znaną czeską producentkę filmową. Miała dom u podnóża Hradczan. Już tylko to potwierdzało, że dziś wieczorem w tych świetlanych pomieszczeniach spotkają się wszyscy, którzy mieli pozycję i nazwisko w dziedzinie kultury. Rzeczywiście. W foyer tłoczyli się już goście w garniturach i kostiumach, z kieliszkami szampana w ręku gawędzili o najnowszych wydarzeniach.

Antykwariusz przepychał się przez tłum. Ktoś do niego pomachał. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Znajomy ojca? Nerwowo poprawił krawat, odwrócił się do nieznanego plecami i rozejrzał za profesorem Husem.

W końcu dojrzał rosłą szczupłą postać przy drzwiach prowadzących do sali

wykładowej. Hus miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę. Prowadził ożywioną rozmowę z producentką filmową, która bez przerwy odgarniała z twarzy długie ciemne włosy. Ten ruch ręką umiały wykonywać tylko kobiety, zupełnie jakby włosy były ciężką kurtyną, za którą właścicielki pozwalały zaglądać tylko wybranym mężczyznom.

Po uśmiechu profesora Filip rozpoznał, że połknął haczyk. Najwyraźniej dobrze się bawił, ale nie żywił poważnego zainteresowania. Czy Hus był sam? Antykwariusz mimowolnie się rozejrzył. Nie rzucił mu się w oczy nikt, kto mógłby przyjść w towarzystwie profesora, chociaż... mniej więcej trzy metry dalej opierał się o ścianę młody mężczyzna w szarym garniturze. Miał półdługie włosy zaczesane w ten sam sposób co Hus i kurczowo trzymał w dłoni lampkę czerwonego wina.

Hus cieszył się reputacją czarusia. Filip zastanawiał się, w jaki sposób udawało się mu przywiązywać do siebie ludzi.

Co w związku Černego szło nie tak? To Dora go opuści, a nie on ją. Już to oznaczało życiową klęskę. Zdecydowanym krokiem podszedł do młodzieńca.

- Wie pan może, o czym będzie wykład? - zapytał łamaną niemiecką, popijając szampana.

Młody człowiek z irytacją spojrzał na nieznanego, choć jednocześnie zdawał się cieszyć, że nie musi już sterczeć tak samotnie:

- Profesor Hus będzie mówił o błędnej interpretacji twórczości Kafki.

- Ach tak - odparł Filip. - Czyli nadal zajmuje się Kafką. Nazywam się Černý. Filip Černý. - Wyciągnął rękę, która została uściśnięta z wahaniem, a zarazem z ulgą.

- Paul Olivier, asystent profesora Husa.

- Pewnie niełatwo jest pracować dla profesora. Uchodzi za... powiedzmy, troszkę kapryśnego.

Rozmówca nie odpowiedział.

- Wie pan o jego pasji?

Młody człowiek popatrzył na niego niepewnie.

- Zna pan przecież jego plan rekonstrukcji biblioteki Kafki, zgromadzenia oryginalnych wydań książek, które miał Kafka. Handluję rzadkimi manuskryptami i rękopisami. Profesor jest zaprzyjaźniony z moim ojcem, który niestety z powodu choroby nie mógł dziś przyjść.

Paul Olivier ponownie rzucił mu nerwowe spojrzenie. Najwyraźniej jeszcze nie dość długo poruszał się w światku kultury, żeby wiedzieć, iż promienność na twarzy Filipa była tylko zabiegiem retorycznym. Udawanie zachwytu działalnością innych należało do dobrego tonu. W najlepszym razie wymieniano się własnymi książkami, by następnie pozbyć się ich za pośrednictwem eBayu.

- Poza tym, co za ciekawy zbieg okoliczności - ciągnął Filip. - Zaoferowano mi właśnie pewien manuskrypt. Czy mówi coś panu praski adres Uferstraße 8 ?

Olivier przesunął się w bok, nie zauważywszy, że ochlapał sobie winem rękaw marynarki.

- Przez jakiś czas mieszkał tam Max Brod - kontynuował Filip. - Kafka wspomina o tym w listach do Mileny. Na pewno pan pamięta.

- Tak, chyba...

Nie, najwyraźniej nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

- Otóż w tym domu znaleziono coś, co mogłoby zainteresować profesora Husa.

Goście tłumnie zmierzali już do sali wykładowej. Filip popatrzył na zegarek. Wykład rozpoczynał się za kilka minut.

- Manuskrypt... chętnie pokazałbym profesorowi kopię. Proszę, to moja wizytówka! Niech pan mu powie, że chodzi o dowód potwierdzający jego teorie na temat Kafki.

Olivier zmieszany kiwnął głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Filip uznał, że to z pewnością nie naukowe kwalifikacje zdecydowały o tym, że Hus wybrał go na asystenta, tylko wąskie biodra, blond włosy, gładka twarz z dokładnie tym wyrazem niewinności, której profesor potrzebował jako zwierciadła dla swojego ego.

- Proszę powiedzieć profesorowi Husowi - powtórzył z naciskiem - że po wykładzie chcę z nim porozmawiać. Będę czekał w foyer.

Młodzieniec ponownie kiwnął głową. Filip przyglądał się, jak podchodzi do Husa, szepcze mu coś do ucha i podaje wizytówkę.

Hus podniósł wzrok. Rzucił mu krótkie spojrzenie. Filip skinął głową, ale profesor nie odwzajemnił pozdrowienia, tylko odwrócił się i znikł w sali.

Hus celebrował swoje wystąpienie. Stojąc przy pulpicie, trzymał niedbale jedną rękę w kieszeni czarnych spodni. Jego zachowanie emanowało pewnością człowieka przyzwyczajonego do wystąpień publicznych. Niewątpliwie delectował się uczuciem, że spoczywają na nim oczy setek słuchaczy. Pewnym, głębokim i aroganckim tonem rozpoczął wykład. Ani cienia wątpliwości, że publiczność mogłaby się nudzić. Był wręcz pewien nieograniczonego zainteresowania słuchaczy.

I słusznie. Również Filip nie potrafił się oprzeć magnetyzmowi występu, który ponadto odbywał się w perfekcyjnej, klasycznej czyszczynie.

Mimo że bohater wykładu niekoniecznie należał do jego ulubionych autorów, wolał bowiem lirykę Werfla, cenił intensywność języka Kafki. Języka, w którym pisarz umiał opowiadać tak tajemnicze historie, że nie można ich będzie rozszyfrować po kres wieczności. Nic zatem nie stało na przeszkodzie karkołomnej tezie Husa, że wszystko, co Freud powiedział o psychologii, Franz Kafka przedstawił znacznie lepiej, bardziej namacalnie i wielokrotnie wnikliwiej.

- Sam Kafka - mówił Hus - był niespokojnym człowiekiem, którego popychało tłumione poczucie własnej wartości i dręczyły fantazje o przemocy. Ale właśnie tym ugruntowuje on swoją charyzmę i fascynację, którą nadal w nas budzi, w nas, czytelnikach. Historia literatury nie chce wprawdzie przyjąć tego do wiadomości i należy to do jej największych tabu, prawda jednak jest taka,

że Kafka wiódł sekretne, samotne życie. Pisarz ten jak żaden inny był wcieleniem najciemniejszych czeluści ludzkiej psyche.

Filip Černý odniósł wrażenie, że przy tych słowach wzrok profesora spoczął na nim, jakby już przeczuwał coś na temat tekstu w jego teczce stanowiącego dowód tych teorii.

Po wykładzie Filip obserwował, jak w foyer słuchacze oblegają Husa, jakby podarował im jakąś nadzieję. W końcu profesor uwolnił się od grupy i podszedł do niego, aczkolwiek bez wyraźnego zaciekawienia, co stwierdził z rozczarowaniem. Zamiast tego na jego twarzy malowała się irytacja.

- Jest więc pan synem Černego? - Nawet nie podał Filipowi ręki. - Przejął pan jego sklep?

- Tak.

- Czy wszystko u niego dobrze? To bardzo czytany człowiek.

To chory człowiek, pomyślał Filip.

- Prosił, żeby pana pozdrowić.

- Mam niewiele czasu. - Hus pomachał do reżyserki filmowej, która podążała w kierunku wyjścia. Potem zniecierpliwiony znów odwrócił się do Filipa. - Wiadomość, którą przekazał pan mojemu asystentowi, brzmiała niezwykle tajemniczo. Szczerze mówiąc, wciąż dostaję takie sygnały. Gdyby nie pański ojciec, nie wiedziałbym...

- Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczny, że zechciał pan poświęcić mi czas - odparł antykwariusz z poczuciem zawstydzenia, bo akurat nie cierpiał u siebie tej lokajskiej postawy. Niestety, nie umiał się jej pozbyć. Wyprostował plecy, niczym obraz, który wisiał krzywo na ścianie, i wskazał na ławkę, która stała pod wielkim malowidłem. - Może usiądziemy?

Hus jednak niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

- Co mogę dla pana zrobić?

Usadzić siebie samego, przemknęło Filipowi przez głowę. Zaparkuj dupsko na tej ławce i posłuchaj, co mam do przekazania.

Zamiast jednak to powiedzieć, położył dłoń na kopercie z wydrukiem.

- Czy wierzy pan w przypadek?

Hus obracał w rękę sztywny czarny kapelusz.

- Do czego pan zmierza?

- Czy wierzy pan w przypadek?

- Do rzeczy!

- W takim razie sformułuję to inaczej: czy wierzy pan w przeznaczenie?

Hus wlepił w niego wzrok.

- Nie mówi pan poważnie, prawda?

Nie, pomyślał Filip, gównu mnie obchodzi, w co wierzysz i kim jesteś, ale, do cholery, nie psuj mi roli.

- Zna pan to uczucie, gdy rzeczy łączą się ze sobą, gdy w czasie zbiegają się wydarzenia, które z pozoru...

Teraz Hus przyglądał mu się z jeszcze większą nieufnością i sprawiał wrażenie, że mu przerwie, dlatego Filip czym prędzej ciągnął dalej:

- Czasami nagle rozumiemy to, co wcześniej było pograżone w mroku. Na przykład pan... ma pan pewną teorię. Tkwi w pańskiej głowie. Spisał ją pan w swoich książkach. Wygłasza pan wykłady na jej temat, ale... - Filip nachylił się do przodu - brakuje panu ostatecznego dowodu, którym mógłby pan udowodnić światu, że ma rację.

- Do czego pan zmierza? - odparł Hus, a antykwariusz po raz pierwszy zauważył błysk zainteresowania w jego oczach.

- Gdy przekazywałem pańskiemu asystentowi wiadomość dla pana, nie miałem pewności. Podczas wykładu jednak poczułem, że mogę panu pomóc.

- Jak chce mi pan pomóc? - Hus rozejrzał się z arogancką miną po foyer, jakby chcąc wyjaśnić, że on, profesor literaturoznawstwa porównawczego, w sprawach książek nie potrzebuje pomocy jakiegoś drobnego geszefciarza. Dzieliły ich całe galaktyki.

Już zbierał się do odejścia, gdy Filip triumfalnie oznajmił:

- Pan ma teorię, ja dowód.

Hus zawahał się, a zaraz potem ustąpił.

- W porządku. - Przeszedł kilka kroków w stronę ławki. - Usiądźmy.

Ha, pomyślał Filip, to równe kapitulacji.

- A więc słucham - powiedział Hus.

- Czy mówi panu coś adres Uferstraße 8?

- Max Brod mieszkał tam przez jakiś czas.

Filip kiwnął głową.

- Kafka, umierając w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku, wydał dyspozycję, by zniszczyć całą jego twórczość. Poprosił Maksa Broda o spalenie swoich literackich zapisków.

- Tak, i co...?

- Brod jednak nie zastosował się do tej prośby. Uznał, że ma obowiązek zapoznania potomności z geniuszem Kafki. Czy nigdy nie zastanawiał się pan, dlaczego Kafka nie chciał nic publikować i jeszcze za życia spalił część swoich manuskryptów?

- Kafka nie chciał się ujawnić, to znaczy, pragnął tego, a zarazem nie. Był pisarzem, który swój wybitny talent, będący jednocześnie jego przekleństwem, kultywował w ukryciu.

- Brod wydumał to sobie jako legendę i ta teoria ma zdumiewająco długi żywot.

Hus wzruszył ramionami.

- To niepodważalny pogląd całego świata literatury - przypomniał.

- Być może jednak Kafka pisywał również teksty nieprzeznaczone dla oczu innych, zawierające jego najskrytsze fantazje, które mogłyby zaszkodzić jego opinii wrażliwego autora.

Teraz Hus przyglądał się antykwariuszowi z rosnącym zainteresowaniem.

- Co dokładnie ma pan na myśli?

- Nic poza tym, co akurat zademonstrował pan słuchaczom. - Filip milczał przez chwilę, obserwując Husa, który powoli zaczynał rozumieć. Nie, on nie rozumiał, ale zaczynał żywić nadzieję. Tę samą nadzieję, która kierowała Filipem. - Sposób, w jaki przedstawił pan Kafkę, wskazuje na to, że uważa go pan za psychopatę...

Hus podniósł rękę w obronnym geście.

- Nigdy nie użyłem tego słowa. Sięga się po nie zbyt pochopnie.

- W takim razie użyję pańskich słów. Kafka był pisarzem, którego dręczyły fantazje o przemocy. W swoich opisach sięgał po brutalność, która wyprzedzała jego czasy i jest charakterystyczna dla naszej epoki. Był wielkim prorokiem okrucieństwa. - Filip zaskoczył sam siebie. Słowa po prostu płynęły mu z ust.

Hus potrząsnął głową.

- Tak daleko nie chciałbym się posuwać...

- Owszem, wiem, co pan chce powiedzieć. Że jedynie Kafka przeczuwał barbarzyństwo drugiej wojny światowej, zagładę Żydów. Sam jednak pan mówił, że przemoc w jego opowiadaniach skierowana jest zawsze przeciw jednostce. I nie ma opisów, tekstów, które nie przerażałyby czytelnika i nie przeszywały zimnym dreszczem. Nie, Kafka nie był prorokiem, tylko psychopatą. Protokół szaleństwa, jakiego nawet Freud lepiej by nie wymyślił. Wie pan przecież o noweli *Morderca*, którą miał rzekomo napisać i czemu zaprzecza w liście do Mileny.

- Ten utwór nie istnieje.

- Jest pan pewien?

Hus wzruszył ramionami.

- Nie uwierzę w jej istnienie, dopóki nie zobaczę jej na własne oczy. Jestem naukowcem.

Filip sięgnął po kopertę i podał ją profesorowi.

- W takim razie powinien pan się temu przyjrzeć. Znalezione to w domu przy Uferstraße 8.

- Co to jest?

- Niech pan czyta.

Hus przyjął kopertę, otwierał ją jednak z wahaniem. Filip z zadowoleniem oparł się o ścianę, założył ręce i czekał.

Przeczytawszy do końca, profesor nadal milczał.

Filip nie mógł tego dłużej znieść. Wrzało w nim. Chciał zerwać się i... Właśnie wtedy Hus podniósł się, spojrzął na niego z góry i powiedział:

- To tylko komputerowy wydruk sfotografowanego manuskryptu. Sam pan przypuszczalnie nie wierzy, że dokument jest autentyczny. Przykro mi, że straciłem czas na spotkanie z panem.

- Ja...

- Niech pan sobie poszuka innego frajera - oznajmił Hus, zabrał swój kapelusz, odwrócił się i bez słowa wyszedł.

FRANKFURT NAD MENEM

ŚRODA, 2 MAJA

12

Alex poszukiwał czegoś, czym mógłby przywiązać śpiwór do roweru. Podniósł klapę kontenera na śmieci. Rower odkrył któregoś ranka przy ławce w parku Taunus. Po spokojnej nocy. Nocy, w której policja zrezygnowała z patrolowania parku. Może ktoś chciał się pozbyć roweru i dlatego go zostawił? Albo pomyślał, że może przyda się facetowi śpiącemu pod ławką.

Niektóre rzeczy dzieją się bez wyraźnego powodu. Nie opłacało się rozmyślać nad tym, dlaczego żył z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Ba, nawet w tej minucie nie wiedział, co będzie robić w następnej. Czyż nie tego zawsze pragnął? Żyć chwilą, kręcić się na ślepo wokół własnej osi, pokazywać palcem, gdzie popadnie, i ruszać ku nieznanemu celowi?

Spojrzał w okno na pierwszym piętrze. To podwórko należało z wielu powodów do jego ulubionych. Prowadziło na niego tylko jedno wąskie przejście. Poza tym nie widać go było z ulicy. Mieszkańcom nie przeszkadzało, że grzebał w ich śmieciach. Nikt też do tej pory nie narzekał, jeżeli czasami kładł się tu spać na małym trawniku.

Zaczął systematycznie przeczesywać śmieci kijem. Był dumny ze swych rękawic. Natknął się na nie kiedyś w kontenerze. Swój dobytek traktował z pieczołowitością. Ponadto miał oko do rzeczy praktycznych. Byłby superinżynierem. No właśnie, byłby, gdyby...

Kontener chyba niedawno opróżniono. Nie znalazł zbyt wielu skarbów, dla których opłacałoby się brudzić rękawice. Przez moment zastanawiał się, aż w końcu opuścił klapę i podskoczył do góry, by chwyciwszy się brzegu balkonu, wspiąć się do góry.

Za szybą panował mrok.

Krew. Podobno było dużo krwi. Tak mówił ten młody policjant. Aleksowi nie podobała się zachłanność w jego spojrzeniu. Mówił o odsłoniętym nagim ciele, poszatkowanej skórze, piersiach zmienionych w żywe mięso.

Medycyna. Patologia. Mógłby być też dobrym lekarzem. Z czołem przyciśniętym do szyby Alex wyobrażał sobie rozcinanie zwłok. W swojej fantazji przykładał nóż do otwartych ran.

Dokładnie wiedział, co Helena mogła czuć. Jak cierpiała. Wciąż ten sam sen. Wtedy gdy był na odwyku. Sęp dziobiący mu stopy. Rozszarpał już buty i skarpety, a potem dźgał palce u nóg. Później dobierał się do dolnej części ciała. W końcu odlatywał, znowu wracał, okrążał go raz po raz i kontynuował pracę. Dziób drapieży wrzynał mu się w ciało.

Gdy wtedy obudził się w szpitalu, głośno krzyczał. Jeszcze teraz widział przed sobą pielęgniarkę, która akurat zmieniała mu butelkę kroplówki. Wyraźnie pamiętał jej słowa:

- Że też pan się tak dręczy. To tylko jedna decyzja - mówiła. - Rozumie pan.

Zwykle „nie”, a będzie po wszystkim.

Chciał jej coś powiedzieć, wytłumaczyć, że heroina dawała mu poczucie bezpieczeństwa, że zapewniała mu ochronę. Natychmiast jednak pogrążył się w znajomej ciemności, która nie przypominała snu, tylko stan bezgranicznej paniki. Zrozpaczony próbował otworzyć oczy, zamiast tego jednak widział tylko, jak sęp odrzucił łeb do tyłu, by nabrać dość impetu, i w końcu przez usta wbił mu dziób głęboko aż do krtani. Alex dokładnie czuł, jak tonie we własnej krwi.

Cold turkey. Głód. Już John Lennon o tym śpiewał, gdy próbował uwolnić się od heroiny.

I wish I was a baby. I wish I was dead. Cold turkey has got me on the run.

Alex chciał wyprzeć wspomnienie tamtego snu. Przypomniawszy sobie, jak często obserwował stąd Helenę, gdy tańczyła. Była jak gumowa lalka. Potrafiła wyginać się we wszystkie strony. Kiedyś owinąłby ją sobie wokół małego palca. Zaciągnąłby do łóżka. Na pewno. Leciały na niego wszystkie dziewczyny z klasą. Był fantastycznym facetem.

Czuł się nieswojo, prosząc ją o ostatnie pieniądze. Czy ona kiedykolwiek zauważyła, jak stał tu na balkonie, obserwował ją, czyhał na nią? Był jej strażnikiem. Ktoś musiał to robić. Ktoś musiał jej pilnować. Dziewczyny takie jak ona prowadziły niebezpieczne życie.

Ale go zabrakło. Nie było go tu tego wieczoru.

Za jej pieniądze kupił sobie piwo i jeszcze pokłócił się z właścicielem kiosku, bo nie chciał płacić kaucji za butelkę.

Zamiast niego przyszedł tu ktoś inny. Sęp ze snu. Przyleciał do niej, żeby zamiast jego ciała rozszarpać ją na strzępy.

Może Alex był naćpany, ale nie ślepy. Zauważył gościa, który wyglądał jak Pan Tau. Gdy tajemnicza postać mijała kiosk, narkoman początkowo nie miał żadnych skojarzeń.

Dlaczego Helena?

Zapomniał, jakim uczuciem jest kochać. Aż do tej chwili. Miłość jednak to także odpowiedzialność, a ten, kto się jej dopuszczał, musiał zostać osądzony – i odpokutować.

Alex wyczerpany oparł głowę o szybę, wpatrywał się w ciemny pokój i bezwiednie płakał.

13

Gumowa cela. Tego określenia używał Ron, mówiąc o biurze, które dzielił z Henrim na czwartym piętrze prezydium policji. Miriam nigdy nie potrafiła zrozumieć tego porównania.

Pociągnęła łyk herbaty. Mdły smak naparu pasował do letargu, który wisiał w powietrzu wraz z cienką, prawie niewidoczną smużką dymu, która unosiła się z papierosa Rona.

W biurach panował całkowity zakaz palenia, nikt jednak nie ważył się protestować, gdy w sytuacjach kryzysowych funkcjonariusze prowadzący dochodzenie sięgali po tytoń. Nie do wiary. W murach prezydium policji

świadomie łamano prawo. Ale któż im tego zabroni?

Dym przynajmniej odpędzał muchę, która uwzięła się na gumę do zucia przyklejoną do brzegu popielniczki. Monotonne bzyczenie działało Miriam na nerwy. Jednocześnie odczuwała podziw dla owada, który z głupią wręcz cierpliwością okrężał smugę dymu, by lądować na przeżutej gumie. Takiej wytrwałości brakowało Miriam, gdy patrzyła na Rona i Henriego. Walczyła z impulsem nakrzyczenia na nich obu.

Podczas gdy zmęczony Ron polegiwał na krześle z nogami na stole, robił kulki z papieru i nieprzerwanie wrzucał je do przepełnionego kosza, Henri z nieprzenikniętym wyrazem twarzy przeglądał pocztę. Rozrywał jedną kopertę po drugiej. Właściwie nie czytając treści, odkładał listy na bok. Teraz byłby odpowiedni moment, żeby opowiedzieć o telefonie. Zamiast tego rzuciła niecierpliwie:

- Zaczynamy. Mam mało czasu.

Żaden z nich nie zareagował, jakby chcieli jej dać do zrozumienia: „To sobie idź”.

W jej torebce znajdowało się jednak coś, co musiała im w końcu dać. *Le Sacre du printemps*.

Osiągnęli moment, w którym nikt nie wiedział, jaki powinien być następny krok. Brakowało im oglądu całości. Ważne mogło być wszystko. Albo nic. Musiał jednak istnieć jakiś ukryty sens. Coś w łańcuchu wydarzeń zdawało się prowadzić do eksplozji. W chaosie uczuć sytuacja wymykała się spod kontroli.

- Muszę wracać do sądu.

- Mnie wsio ryba - wymamrotał Ron. Jego kolejny pocisk wylądował na biurku Henriego, który w tej samej chwili podniósł się, by nalać sobie filiżankę kawy.

- A więc, co mamy? - zapytała uparta Miriam.

- Trupa - westchnął Ron.

- Martwą tancerkę - uzupełnił Henri.

- Nietkniętą martwą tancerkę - ciągnął sarkastycznie Ron. - Dokładnie rzecz biorąc, martwą dziewczinę, która na pożegnanie zatańczyła coś dla swojego mordercy. Która nie przestała płasnąć, mimo że ją okładał stalową liną i poszatkował jej ciało na strzępy. Tylko że niestety sadomasochistyczna teoria Wagnera stoi na słabych nogach, bo dziewczyna była dziewczyną.

- Może Jess właśnie to miała na myśli - rzuciła zamyślona Miriam.

- Co?

- Jess powiedziała, że Helena była nietknięta. Użyła dokładnie tego słowa, pamiętacie?

- Mówiła podobne bzdury, co ten Alex.

- Może Alex rzeczywiście widział tego człowieka - zaproponowała Miriam.

Ron ziewnął.

- Pana Tau? Wątpię. Był nawalony bardziej niż alkoholik, który widzi białe myszki.

- W takim razie powinniśmy trzymać się Jess - orzekła Miriam. - Ona coś ukrywa.

- Ja myślę, że to raczej podejście w stylu „nie gadam z glinami”. - Nie podnosząc wzroku, Henri sprawdzał swoje maile.

- Dziwki nigdy nie chcą współpracować - kiwnął głową Ron. - Znamy to przecież. Zawsze są na nas cięte.

- Czy musisz używać tego słowa? Nie można inaczej?

Rzucił jej poirytowane spojrzenie. Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Jak myślicie, czy ta zbrodnia była zaplanowana? - spytała.

Henri przez chwilę się wahał.

- Wagner ma rację. To wygląda na zabójstwo po jakiejś seksualnej zabawie. Wciąż jednak nie daje mi spokoju ta stalowa lina. Wagner wypatrył w sklepie różne rodzaje, ale żadnego o grubości opisywanej w raporcie Veita. W mieszkaniu Heleny Baarovej też nie znaleźliśmy niczego takiego.

- Sprawca przyniósł to więc ze sobą.

- Albo zabrał po wszystkim.

Utknęli w miejscu i zamilkli. Ron znów zaczął rzucać kulkami, a Henri załadował papier do drukarki.

- A co się dzieje z Davidem? Jest jeszcze w szpitalu? Rozmawialiście już z jego ojcem? - zapytała w końcu Miriam.

- Za godzinę umówiłem się z profesorem - odparł Henri, spoglądając na zegarek. - Wylądował rano i ma właśnie wykład.

- Tak, trzeba z nim pogadać - powiedziała Miriam - zanim znajdzie czas na rozmyślenia, gdzie był w piątek wieczorem.

- W domu. Tak przynajmniej twierdzi Justin Brandenburg - oznajmił Ron i ironicznie dodał: - Idealne alibi, jeżeli nie ma się żadnego.

- Nie rozumiem, dlaczego nikt z sąsiadów nic nie słyszał - powiedziała Miriam. - Ta dziewczyna musiała się drzeć wniebogłosy.

- To okolica, w której ciągle ktoś krzyczy - odparł beznamiętnie Ron. - Wagner wciąż jeszcze przesłuchuje sąsiadów. Trudno ustalić, kto w ogóle o tamtej porze przebywał w domu.

Miriam się zawahała, ale nie mogła już dłużej czekać.

- Znalazłam coś - sięgnęła po torebkę. - Poszłam jeszcze raz na miejsce zbrodni. Pomyślałam, że skoro tańczyła, to pewnie leciała przy tym jakaś muzyka. - Położyła CD na biurku. - W odtwarzaczu była ta płyta.

Ron wziął ją do ręki.

- Strawiński. *Le Sacre du printemps*. Pierwsze słyszę. Czy to ma jakieś znaczenie? A w ogóle to dlaczego podprowadzasz technikom dowody?

Popatrzyła na Henriego, czekała na jakąś oznakę zrozumienia z jego strony, bo on raz po raz zabierał dowody do domu, żeby pomagały mu w rozważaniach. Teraz jednak milczał jak kamień.

- Tłumaczenie tytułu to *Święto wiosny* - wyjaśniła Miriam. - Muzyka do baletu opowiadającego o starych mężczyznach. - Zamilkła na chwilę, a Ron

i Henri patrzyli na nią z niedowierzaniem. – Starcy, którzy przyglądają się tańcowi śmierci młodej dziewczyny, zanim zostaje złożona w ofierze. Czy to może być przypadek?

– Przypadek to tylko splot luźnych wątków akcji, których związek wydaje się nam niewytłumaczalny. – Henri wziął płytę od Rona.

– Również w naszym przypadku mamy tańczącą dziewczynę – zaproponowała Miriam – dziewczynę, która zatańczyła się na śmierć, a rzecz wydarzyła się wiosną. Związek jest tu oczywisty.

– Oko za oko. Ząb za ząb – powiedział Ron. – Ta reguła była jasna. Czasami za nią tęsknię.

Atmosfera w pokoju nagle się zmieniła. Papieros się wypalił. Mucha usiadła na gumie do żucia.

Nagle Miriam zrozumiała. To nie biuro było dla Rona gumową celą. Raczej poczucie bezsilności, obawa, że nigdy nie da się wyjaśnić danej zbrodni. Bał się, że po całych miesiącach, latach dochodzenia będzie musiał zamknąć teczkę z aktami, nie znalazłszy sprawcy. Do tego jeszcze panika, która dopada śledczych na początku takiej sprawy. Czas ucieka, a oni nie wiedzą, na czym się oprzeć. Człowieka nie można pochować, dopóki się nie zrozumie, dlaczego musiał umrzeć.

Obijali się o ściany własnego rozumu. Raz po raz. Jak w gumowej celi.

Nagle widok z okna już nie przypominał wewnętrznego dziedzińca więzienia. Miriam zauważyła natomiast, że świeci słońce. Cztery kondygnacje niżej kwitły pierwsze tulipany i hiacynty. Był maj, a ona tego nie zauważyła.

14

Jess nie przypilnowała Heleny tak, jak obiecywała, a teraz było za późno. Schyliła się, by wyjąć kamyk z czerwonych butów na koturnie. Nagle ujrzała przed sobą starannie zasznurowane adidasy. Popatrzyła w górę. Stał przed nią młody człowiek około trzydziestki. Patrzył na nią z niecierpliwością i zarazem onieśmieleniem. Wyprostowała się i poprawiła srebrny top włożony do czarnej spódniczki.

Młodzieniec miał na sobie biały podkoszulek wpuszczony w spodnie, które na dość szerokich biodrach przytrzymał pasek. Poza tym cała reszta ciała była wątła. Włosy, przypuszczalnie niegdyś blond, albo tak przynajmniej wydawało się Jess, były przerzedzone, jakby przetrzebiły je mole. Cera od miesięcy nie widziała słońca. Teraz w ciepłych promieniach chłopak mrugał oczyma skrytymi za szklami okularów, jakby nie mógł znieść jasnego światła.

Obserwowała z daleka Aleksa, który w swych rękawiczkach wyjmował właśnie z kontenera na śmieci plastikowy worek i skrupulatnie go przeszukiwał. Zdrajca. Rozmawiał z glinami.

Pokonawszy wczoraj wieczorem całe kilometry, chodząc tam i z powrotem po swym mieszkaniu, postanowiła dziś rano zająć miejsce przed barem, w którym jadało się na stojąco. Znajdował się dokładnie przed domem Heleny. I akurat tutaj napatoczył się jej ten żółtodziób.

- Czego chcesz? - westchnęła zniecierpliwiona, od razu wiedząc, że był typem, którego wciąż trzeba ośmielać.

- Ja...

- Mamy to zrobić w twoim samochodzie?

- Nie mam.

- Nie masz. Więc co teraz?

- Wolff - wyjąkał.

- Co?

- Wolff. Tak się nazywam.

- Wolff - powtórzyła Jess i krótko się zaśmiała. - Imię godne supermena. Ale imiona mnie nie interesują.

- Mam przyjaciela - zaczął, zająkując się - który mnie tu przysłał. Właściwie to nie jest przyjaciel. Raczej... no, ten tego... piszemy czasem do siebie przez internet.

Boże, śmierdział czosnkiem. Był jednym z tych typów, co wsuwają gotową pizzę do piekarnika, by potem pochłonąć ją przed monitorem. Jednym z tych, którzy nie patrzą, co jedzą, i pożarliby nawet zamrożone danie, gdyby im je zaserwowano przed komputerem.

- Wysłał cię do mnie? - Jess przyjrzała mu się z niedowierzaniem. Nie mogła uwierzyć, że stała się już tematem rozmów i wymiany doświadczeń przez internet. Preferowała anonimowość. Nie chciała, żeby ją znali i podawali dalej jej adres. Była na ten cyrk za stara. Sama wyszukiwała sobie klientów. Wolała wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Mówił, że czasami podsyłasz... no, ten tego... że masz przyjaciółkę. Tancerkę... Twierdzi, że ona potrafi człowieka totalnie nakręcić. Więc jak pytasz, czego chcę, to...

Jeszcze nie skończył, gdy już na niego krzyknęła:

- Tancerka! - Smutek po utracie Heleny ścisnął jej gardło. - Przychodzisz do mnie i pytasz o tancerkę? A może ja mam ci coś zatańczyć? - Przeszła kilka kroków i zakolysała biodrami. Kilka jej koleżanek po fachu roześmiało się. - To tego chcesz? - Potem gwałtownie się odwróciła, podeszła do niego i postukała palcem w jego kościstą pierś. - Siedzisz cały dzień przed ekranem i dziwisz się, gdy ci staje? Co z was za kolesie? Żeby coś się działo, potrzebujecie teatru? Kultury? Sztuki?

Młody człowiek cofnął się przestraszony, podniósł ręce w obronnym geście.

- Przepraszam!

Co to było? Łzy w oczach?

- Ach, przepraszasz? Zaraz się rozbeczysz? - eksplodowała. Zbyt wiele się wydarzyło. Za bardzo dręczyło ją poczucie winy. - Tancerka? Co za tancerka? Nie znam żadnej tancerki. Albo zrobisz to ze mną, tak jak Pan Bóg przykazał. Wkładasz i wyjmujesz. Albo spadaj, okej? Nie będzie efektów specjalnych.

Coraz więcej ludzi zaczęło zwracać na nich uwagę. Niektóre dziewczyny miały nadzieję, że interes przechodzi jej koło nosa. Młódki, które całymi dniami

paplały jej o tych - dobre sobie! - biednych facetach duszących w sobie pożądanie... uciekających tylko do kobiet takich jak one, bo w domu nie dostawali tego, czego potrzebowali. Jejku, niektóre z nich rzeczywiście czuły się jak boginie, tymczasem w rzeczywistości sprzedawały - tak jak Jess - tylko seks. Nic, tylko bajdurzenie o tym, że są terapeutkami. Jedyne istoty, które okazują mężczyznom zrozumienie.

Jess okazała tyle zrozumienia swojemu byłemu, że przypłaciła to istnieniem. Jej zrozumienie przegrywał w kasynie przy ruletce, a ona zarzynała się po uszy, siedząc przy kasie w domu towarowym, a wieczorami sprząając, żeby spłacać jego długi i utrzymać Marlenę. Tylko po to, żeby ta później umarła na białaczkę, bo ona, matka, zignorowała jej lamenty. Nie poszła z córeczką do lekarza, bo zwyczajnie brakowało jej czasu.

Co Helena zawsze mówiła? Mnie jest obojętne przed kim tańczę. Najważniejsze, że mogę to robić. Jakaż to różnica? Czy tańczę w teatrze, czy dla ulicy?

Gdy Jess po raz pierwszy zobaczyła Helenę, po latach znowu pomyślała o Marlenie. Może to te włosy i dziecinny wyraz twarzy przypomniały jej córkę. Helena stała w deszczu przed barem i wpatrywała się w drzwi wejściowe. Jess obserwowała ją. Nie mogła od niej oderwać wzroku. Od razu zrozumiała, że dziewczyna zamierza zrobić coś, przed czym się waha. A ponieważ Jess знаła tę knajpę i wiedziała, co się tam wieczorami działo, przemknęła jej przez głowę tylko jedna myśl: „Nie rób tego!”.

Nie żeby Jess była typem osoby, która usiłuje wybawiać innych. Z syndromu pomocnicy skutecznie ją wyleczono. Ratowanie innych oznaczało przeważnie taplanie się w gównie, i to po uszy. Nic jej to nie obchodziło, ani trochę, mimo to zagadnęła dziewczynę w jeansach i płaszczu przeciwdeszczowym.

- Po co chcesz tam iść?

Spojrzenie, jakie Helena rzuciła Jess, zdołałoby rozmiękczyć kamień. Było jednym z tych, które wywołują zimne dreszcze. Jess poznała smak desperacji. Wiedziała, jak wygląda. Widywała już wytrzeszczone oczy, drżenie rąk, bruzdy, które panika potrafiła wyryć na twarzy.

- Szukam pracy - odparła dziewczyna, kładąc rękę na klamce.

- Oni nie mają pracy dla takiej jak ty.

Nic nie odpowiedziała, ale zdjęła dłoń z klamki. Już tylko to zachowanie zdradziło Jess, że był to ktoś, kto da się każdemu wywieść w pole. Uosobienie bezwolności i strachu.

- Jeżeli teraz przekroczysz ten próg - powiedziała - nigdy już stamtąd się nie wyrwiesz.

- Nie pani sprawa.

- Może i masz rację, ale mimo to ostrzegam cię. Bezpлатnie. Skoro potrzebujesz pieniędzy, dlaczego nie pójdziesz gdzieś sprzątać? Wszystko jest lepsze. Wiem, co mówię.

- Ale...

Boże, mówiła tak cicho, że Jess prawie jej nie rozumiała. Tutaj na ulicy trzeba było głośno krzyczeć, jeżeli chciało się zyskać posłuch.

- Szukają tu tancerki. - Helena wyjęła z kieszeni kawałek papieru, ogłoszenie z gazety: „Poszukujemy tancerki do klubu nocnego” czy coś w tym stylu. - Jestem dyplomowaną tancerką. To mój zawód - oznajmiła.

- Tancerka - roześmiała się Jess. - Myślisz, że oni szukają kogoś takiego jak ty? Tutaj nie potrzebujesz dyplomu, tylko cycków! A tych nie masz, podobnie zresztą jak i tyłka, który rozruszałby salę. Jak sądzisz, co miałabyś tu tańczyć? Umierającego łabędzia?

Helena, bliska łez, milczała. Jess zabrała ją do kafejki dworcowej, gdzie kupiła jej colę bez lodu, którą dziewczyna przez godzinę sączyła przez rurkę.

A Jess przez cały czas nie mogła przestać myśleć o Marlenie. Byłaby teraz w tym samym wieku co Helena. I wtedy doznała olśnienia. Coś takiego rzeczywiście istnieje, pomyślała. Nazywano to przeznaczeniem, karmą, kismetem. Przedstawiła swój pomysł Helenie, a ta natychmiast go zaakceptowała. Niech ludzie mówią, co chcą, ale one właśnie tym były: idealnym duetem.

Tak, klienci byli gotowi płacić podwójnie za coś szczególnego. Chcieli coś przeżyć. Tani numerek mogli dostać na każdym rogu. Tymczasem szukali wyjątkowości. A one im ją dawały. Helena swoimi występami rozgrzewała facetów, a Jess dawała im potem to, czego potrzebowali. Dzięki temu Helena pozostawała nietknięta. Mężczyźni to uwielbiali. Jess & Helena, Maria Magdalena & Maryja Dziewica, Dziwka & Święta.

Idealny duet. Jak magicy Siegfried & Roy.

W ten sposób dorobiły się stałej klienteli i jeszcze niedawno Jess cieszyłyby się, byłaby wręcz dumna, gdyby mówiono o nich w internecie. Poczta pantoflowa to najlepsza i przede wszystkim najtańsza reklama. Czyż nie uważała, kogo wysłała do Heleny? Ostatecznie czuła się za nią odpowiedzialna.

Marlena byłaby teraz dokładnie w wieku Heleny, Jess jednak znowu nie upilnowała.

A jeżeli Helena miała tamtego wieczoru jakieś umówione spotkanie, o którym Jess nic nie wiedziała? Nie, nie potrafiła sobie tego wyobrazić, choć zaufanie było kruchym uczuciem, a nieufność parasolem chroniącym przed rozczarowaniem.

- Spadaj - powiedziała do cherlaka.

Odwrócił się i rzeczywiście sobie poszedł.

Niektórzy z nich, pomyślała, to takie mięczaki. Boją się nawet, gdy mają spojrzeć w oczy sobie samym.

Alex przeszedł teraz przez ulicę i zmierzał wprost do kamienicy, w której mieszkała Helena. Przez chwilę zatrzymał się po drugiej stronie i gapił na fasadę, której tynk tak bardzo się wykruszył, że miejscami widać było cegły. Sprawiał wrażenie, jakby usilnie nad czymś główkował, jeśli jego rozmiękły mózg był w ogóle do tego zdolny. Potem odwrócił się w prawo i zniknął

na tylnym podwórku.

Opowiedział policji o mężczyźnie w kapeluszu. Jess nie mogła się zdecydować, czy nie powinna złożyć owemu jegomościowi wizyty. Czemu nie? Czy tak jak ona nie zasługiwał na cierpienie?

15

Miriam tu nie pasowała. Nie tylko dlatego, że była za stara, ale również dlatego, że stała na drodze studentom, którzy przeważnie w grupach przepychali się przez zatłoczony hall.

Nie była naiwna. Oczywiście wiedziała, że ani Ron, ani Henri nie chcieli, by towarzyszyła im podczas pierwszej rozmowy z profesorem Milanem Husem. Jako prokurator miała jednak prawo być obecna podczas przesłuchań najważniejszych świadków. Z drugiej strony przez cały dzień nie zdążyła jeszcze zajrzeć do biura, co przypuszczalnie skończy się naganą Hillmera. Po dwóch wolnych dniach na pewno chciał omówić najważniejsze wydarzenia długiego weekendu i przypuszczalnie wytknie jej, że nie siedziała nad aktami, by przygotować się do procesu w sprawie trójkąta bermudzkiego.

Miriam niecierpliwie spojrzała na zegarek. Ani śladu dwóch komisarzy. Pewnie się cieszyli, że pozbyli się natrętnej prokuratorce, i gdzieś pili kawę.

Śmierć Heleny Baarovej należała do spraw, które nie dawały Miriam spokoju. Czuła to. Takie sprawy zdarzały się rzadko. Nie musiała wpisywać ich do planu dnia. Jaką rolę w tym dramacie odgrywał profesor literatury Milan Hus? Helena Baarová mieszkała w jego domu, co pozwalało wnioskować, że znał ją lepiej niż wszyscy, z którymi policja dotychczas rozmawiała.

Przed bezpośrednią konfrontacją Miriam lubiła tworzyć sobie jakieś wyobrażenie na temat przyszłego rozmówcy. Jednak na pomysł wejścia na jego zajęcia wpadła zdecydowanie za późno. Wykład kończył się za piętnaście minut.

Rzut oka na tablicę informacyjną zaprowadził ją na pierwsze piętro, gdzie przez kilka sekund stała pod zamkniętymi drzwiami, zza których nic nie było słyhać. Wahała się, czy wejść, czy nie. W końcu postanowiła wybrać to pierwsze i otworzyła drzwi. Obawa, że zwróci się ku niej sto twarzy, nie potwierdziła się. Jej obecność nie wywołała niczyjzego zainteresowania.

Wsunęła się do ostatniego rzędu ławek i zaciekawiona wyprostowała plecy, by zobaczyć mężczyznę, który przemawiał. Oceniała, że Milan Hus dobiegał pięćdziesiątki. Ciemne włosy nosił zaczesane do tyłu. Wyglądał imponująco dobrze. Z jedną ręką w kieszeni spodni przechadzał się tam i z powrotem, nie odrywając wzroku od słuchaczy. Zarówno jego postawa, jak i głos emanowały pewną arogancją, należał jednak do ludzi, którym na to przyzwalano, bo posiadali naturalny autorytet, swoistą nonszalancję czy wręcz charyzmę. Stwarzał wrażenie człowieka nawykłego do występów przed dużą publicznością, który nie wątpi, że wszyscy go słuchają.

Miriam jeszcze nigdy nie spotkała nikogo, do kogo pasowałoby słowo „dzentelmen”. Jeżeli jednak okazy tego gatunku w ogóle chodziły po ziemi, Milan Hus był ich godnym reprezentantem. Krótka mówiąc, Miriam była profesorem

oczarowana.

Chociaż literatura nie należała do jej hobby, usiłowała skoncentrować się na jego słowach. Przychodziło jej to jednak z trudem. Germanistyka stanowiła w jej oczach jedną z tych ozdobnych dziedzin, które nie miały żadnego znaczenia dla rozwiązywania prawdziwych problemów realnego świata.

- Dotychczas bez jakichkolwiek zastrzeżeń uważano, że Kafkowski *List do ojca* stanowi dobitne świadectwo dramatycznego konfliktu między ojcem a synem. Tekst ów to zarazem oskarżenie i autoanaliza. Z jednej strony wysuwane są zarzuty pod adresem silnego ojca - tyrana, z drugiej zaś broniona jest wysoce neurotyczna uczuciowość bardzo wrażliwego syna, wiecznej ofiary. Dzieci, czego zresztą wszyscy państwo doświadczyli, zawsze są ostatecznie ofiarami swoich rodziców.

Wśród słuchaczy rozległ się stłumiony śmiech.

- Oczywiście wiele przemawia na korzyść tej interpretacji. Tyle samo argumentów wskazuje jednak, że Kafka rozlicza się w tym tekście z przeznaczeniem i jego najslawniejszym przedstawicielem: Bogiem. - Hus zamilkł na chwilę. - Może zresztą państwo mi zaprzeczą, twierdząc, że nie znaleźliście nic na ten temat w literaturze przedmiotu i że ta interpretacja to tylko mój wymysł. Ale... - profesor uderzył dłonią w pustą tablicę - zapomnijcie o literaturze sekundarnej. Każę wam wyrzucić ją do śmieci. Zamiast niej zaufajcie swoim uczuciom, głębi własnej duszy. A ta wam potwierdzi: skoro uważamy Kafkę za bodajże najważniejszego pisarza pierwszej połowy dwudziestego wieku, a może nawet całego tamtego stulecia, to czy naprawdę powinniśmy zakładać, że ten geniusz zniżałby się do takiego poziomu, godnego dorastającego nastolatka, tylko po to, by publicznie przetrwać swój konflikt z ojcem? Czy rzeczywiście postrzegamy Kafkę jako autora, który emocjonalnie szantażuje czytelników, wyciska z nich łzy, tylko dlatego, że cierpi na kompleks Edypa?

W sali ponownie rozległ się śmiech.

Miriam się rozejrzała. Na wykładzie było wyjątkowo dużo studentów. Chyba około dwustu. Wszyscy bez wyjątku w napięciu słuchali. W powietrzu nie latały żadne papierowe samoloty, nikt nie miał na uszach słuchawek od MP3, ale też nikt - co rzucało się w oczy - nie robił notatek.

- Nie - ciągnął Hus - ten list to oczywiście parabola na temat wielkich życiowych kwestii. Żaden teolog, filozof ani psycholog nie zanalizował ich lepiej niż Kafka. Tak, Kafka zagląda wprost do naszego wnętrza, zagląda do naszych dusz i przeprowadza sekcję naszych obaw. „Niekiedy - pisze w *Liście do ojca* - wyobrażam sobie rozwieszoną mapę kuli ziemskiej i Ciebie rozciągniętego na niej w poprzek” . - Hus odczekał chwilę, by cytat osiągnął efekt, a potem podszedł do mównicy: - No, jeżeli to nie jest fantazjowanie o Bogu, to już nie wiem co. Przy tych słowach Bóg od razu przychodzi na myśl. Ciekawe, czy państwo, pan Brandenburg, jeśli w ogóle zamierza się jeszcze pojawić, dojdziecie do takiego samego wniosku. Dziś jak zwykle powiem na zakończenie:

Przemyślcie to!

Wy łączył wąż lampkę przy pulpicie mównicy, z której prawie nie korzystał. Był to retoryczny gest symbolizujący, że dziś nie ma nic więcej do powiedzenia.

Oklaski studentów rozlegały się jeszcze długo po tym, jak Hus wyszedł z sali.

Kilka minut po wykładzie Miriam napotkała Henriego i Rona, którzy czekali już przed gabinetem profesora.

- Gdzie was wzięło? - zapytała.

- Czekaliśmy na ciebie przed budynkiem - oznajmił Ron, zerkając na Henriego, który znów ją ignorował.

- Weszłam na wykład Milana Husa. Facet robi wrażenie - dodała. - Dokładnie w moim typie.

Zanim zdążyli zapukać, drzwi się otworzyły i pojawił się w nich młody mężczyzna z dużą stertą papierów. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, liliowy krawat i śnieżnobiałą koszulę. Obrzucił ich przestraszonym spojrzeniem.

- W czym mogę państwu pomóc?

- Komisarz Henri Liebler. To mój kolega Ron Fischer i prokurator Miriam Singer. Jesteśmy umówieni z profesorem Husem.

Młodzieniec popatrzył na zegarek.

- Profesor powinien zaraz przyjść. Właśnie skończył wykład.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, aż wreszcie Ron zrobił zdecydowany krok do przodu:

- Mogę zapytać, kim pan jest?

- O, przepraszam. Paul Olivier. Asystent profesora. - Podał rękę najpierw Ronowi, potem Henriemu i na końcu Miriam. Szybko zdał sobie sprawę z niewłaściwej kolejności. - Pani wybaczy... - wyjąkał.

- A w czym mu pan asystuje?

Miriam skarciła Rona wzrokiem. Czasami pragnęła, by tymi swoimi ironicznymi lub nieufnymi komentarzami nie utrudniał przesłuchań już na wstępie.

Paul Olivier chciał udzielić wyjaśnień, ale zerknąwszy ponad ramieniem Miriam na koniec korytarza, z ulgą stwierdził:

- O proszę, profesor Hus już idzie.

Miriam się odwróciła.

Profesor szybkim krokiem zmierzał do gabinetu. Nie zauważył ich jeszcze czy celowo nie podnosił wzroku? W każdym razie sprawiał wrażenie całkowicie zatopionego w myślach. Może tak było, a może świadomie przybierał tę zamyśloną, prawie nieobecną postawę. Podniósł wzrok dopiero, gdy stanął tuż przed nimi.

- Ach - powiedział - zakładam, że państwo z policji.

- Miriam Singer, prokuratura. - Jego uśmiech od razu zbił ją z pantafyku.

- Niemiecki wymiar sprawiedliwości ma widać więcej gustu, niż sądziłem. Zakładam, że przed panią delikwenci chętniej przyznają się do winy.

Mówił z wyraźnym czeskim akcentem, konsekwentnie akcentując pierwszą sylabę wszystkich wyrazów. Zaraz potem z szarmanckim uśmiechem nachylił się do pocałunku w rękę, czym ponownie wprowadził Miriam w zakłopotanie. Dowodziło to, że wpadła mu w oko, postanowiła więc cieszyć się tym małym flirtem. Ostatecznie zdawała sobie sprawę, że Henri śledził to zdarzenie z uwagą. Niech zobaczy, że znacznie atrakcyjniejszy mężczyzna traktuje ją z szacunkiem.

- Niestety - odpowiedziała - powab i uroda niewiele pomagają przed sądem.

- Tak, a państwo nie przyszli tu po to, by prowadzić dyskusję o pięknie i brzydocie.

Ron niecierpliwie wyciągnął rękę.

- Ma pan rację. Jesteśmy tu, by porozmawiać o Helenie Baarovej.

Teraz, jak dostrzegła Miriam, w oczach Milana Husa pojawił się wyraz - nie, nie smutku - tylko raczej bolesnego zdziwienia.

Gdy odpowiadał, jego głos zabrzmiał ochryple:

- Oczywiście. Proszę wejść. Korytarz nie jest właściwym miejscem do rozmów o śmierci.

Hus otworzył drzwi, żeby wpuścić Rona, Henriego i Miriam. Z atmosfery tętniącej życiem, jaka panowała w gmachu uniwersyteckim, weszli w ciszę pomieszczenia, które przez wysokie regały z książkami wydawało się jeszcze mniejsze. Prawie nie było tam miejsca, niemal całą powierzchnię wypełniało ogromne biurko.

Książki od razu przykuły uwagę Henriego. Odwrócił się i przeglądał grzbiety woluminów.

W ślad za jego spojrzeniem podążył wzrok Milana Husa.

- „Książka musi być siekierą dla zamarznętego morza wewnątrz nas” - oznajmił. - Wiedzą państwo, czyje to słowa?

Cisza.

- To cytat z Franza Kafki - wyjaśnił. - Mam nadzieję, że kiedyś w szkole spotkali się państwo z tym autorem.

Nikt nie odpowiedział.

Gestem profesor wskazał jedyne miejsce siedzące w gabinecie, zapraszając Miriam, by je zajęła. Klapnęła na niewygodne krzesło.

- Zaraz poproszę sekretarkę, by przyniosła dwa krzesła dla panów. - Hus pochylił się i sięgnął po telefon.

- Nie trzeba - odparł Ron. - Nie zostaniemy długo.

Henri nagle się odwrócił i zapytał:

- Czy pan wie, że Helena Baarová została zachłostana na śmierć? Stalową liną?

Na chwilę zapadła w pokoju grobowa cisza.

- Co? - Hus sprawiał wrażenie szczerze przerażonego. - Nie, nie wiedziałem. Myślałem, że...

- Że co?

- Zakładałem, że została zgwałcona.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - zdumiony Hus powtórzył pytanie. - Okolice, w której mieszkała...

- Nie - odparł Henri z wyraźną surowością w głosie. - Nie zgwałcono jej. Jej zabójca ją wychłostał, pozwolił, by pomału się wykrwawiła.

Profesor milczał. Nie dlatego, że był wstrząśnięty... zdawał się raczej zastanawiać, co go to wszystko obchodzi.

- Czy może pan sobie wyobrazić jakiś powód, dlaczego ktoś miałby to zrobić? - zapytał Ron.

Hus powoli pokręcił głową.

- Nie! A jaki powód wchodziłby przy takiej zbrodni w grę? Kto miałby zrobić coś takiego?

- Niech pan to powie. Ostatecznie dobrze znał pan Helenę Baarovą.

- Ja? Niezupełnie.

- Dlaczego ma pan klucz do jej mieszkania? - rzucił Ron. - Coś takiego daje się tylko osobie, której się ufa.

- Klucz? - Hus popatrzył na niego zmieszany.

- Pański syn powiedział, że Helena Baarová dała panu zapasowy klucz na wszelki wypadek - wyjaśniła Miriam.

- Ach tak, to możliwe. Przepraszam, zapomniałem. To było kilka miesięcy temu.

- David - Ron przejął prowadzenie rozmowy - powiedział, że był pan ponoć zaprzyjaźniony z Heleną Baarovą.

- Zaprzyjaźniony... - Milan Hus zająknął się. - Nie, nie nazwałbym tego przyjaźnią. Niemniej, owszem, gdy za granicą spotyka się kogoś z rodzinnego miasta, czuje się z nim szczególną więź. Tak było ze mną i Heleną. Znałem jej matkę, albo mówiąc dokładniej, moja nieżyjąca już żona przyjaźniła się z nią. Pewnego dnia Helena pojawiła się tu, na uniwersytecie, i poprosiła o pomoc w znalezieniu mieszkania.

- Pomógł jej pan? - zapytał Henri.

- Ależ oczywiście. Nawet ją poprosiłem, żeby wprowadziła się do nas. Mój syn przeniósł się właśnie do mnie, do Niemiec. Dogadaliśmy się. Helena opiekowała się Davidem i w zamian mogła u nas bezpłatnie mieszkać.

- To było krótko po śmierci pańskiej żony?

- Tak. Byłej żony. Byliśmy po rozwodzie.

Hus przetarł prawą dłońią oczy. Miriam zauważyła duży czarny sygnet na palcu serdecznym.

- Na co zmarła? - indagował Henri.

- Na co zmarła? - Hus zmarszczył czoło.

- Tak.

- Dlaczego pan pyta?

- A dlaczego mam nie pytać? - odbił piłeczkę Henri. - Jest jakiś powód?

- Nie. Oczywiście, że nie. Tylko że... to było dla nas wszystkich bardzo bolesne przeżycie.

- Pełniła samobójstwo, prawda?

W tym momencie Miriam uświadomiła sobie, że Henri wiedział o tym samobójstwie, ale dotychczas trzymał tę informację dla siebie. Przez chwilę czuła złość. Dochodzeniu nie wróżyło dobrze, jeżeli śledczy nie mieli do siebie zaufania.

- Tak. - Profesor skinął głową.

- Jak się zabiła?

Hus odchrząknął i przeniósł wzrok na Miriam.

- Nie mam pojęcia, dlaczego miałoby to mieć znaczenie dla prowadzonej przez państwa sprawy, ale proszę bardzo. I tak zakładam, że już to wiecie. Mam tylko nadzieję, że nie pytali państwo o to Davida. Bardzo cierpiał z powodu samobójstwa matki, przez wiele miesięcy nie mógł spać.

- Nie - uspokoiła go Miriam.

- Moja żona, matka Davida, na oczach przechodniów wspięła się na balustradę mostu Karola i skoczyła do lodowatej wody. W samym środku zimy, przy temperaturze minus dziesięciu stopni. Nikt nie zdołał jej pomóc.

- Czy zrobiła to, bo pan ją opuścił? - zapytał Henri.

On chce dopiec Husowi, pomyślała Miriam. Tylko dlaczego?

- Czy świat wydaje się panu tak prosty? - zapytał Hus. - Czy pan naprawdę myśli, że ktoś się zabija tylko z powodu nieszczęśliwej miłości? Bo zostaje przez kogoś opuszczony? Nie, moja była żona cierpiała na silną depresję i uparcie odmawiała przyjmowania odpowiednich leków.

Miriam wyczuła w pokoju napięcie. Hus odebrał słowa Henriego jako zarzut. Należał tymczasem do najważniejszych świadków. Nie mogli go stracić.

- Helena Baarová mieszkała zatem u pana jako niania? - zagaiła.

- Tak można to określić. Tak. - Profesor nieco się odprężył.

- Dlaczego się wyprowadziła? - Henri nie odpuszczał. - Czy warunki pracy były u pana tak złe?

Co mu się stało? Przeważnie tę rolę pozostawiał Ronowi. Najwyraźniej jednak nie ufał profesorowi, mimo że ten chętnie odpowiadał na wszystkie pytania i zachowywał uprzejmą postawę, nawet gdy Henri go atakował. Owszem, w zachowaniu Husa była pewna arogancja, ale to akurat Miriam rozumiała. Jej ostatecznie też takową zarzucano.

- Dlaczego się wyprowadziła? Chciała... miała zamiar skupić się na swojej karierze tancerki.

- W takiej sytuacji mogła przecież dalej u pana mieszkać.

Hus wzruszył ramionami.

- Nie chciała.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Czy przeniosła się bezpośrednio do mieszkania w dzielnicy dworcowej? -

zapytał Ron.

- Chyba tak.

Henri ma jednak rację, coś tu nie gra, pomyślała Miriam. Jaka dziewczyna w obcym mieście opuszcza dobrą dzielnicę, by przeprowadzić się w okolice dworca?

- Może kogoś poznała? - rzuciła dociekliwie. - Jakiegoś mężczyznę?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Ale po wyprowadzce Heleny Baarovej miał pan jeszcze z nią kontakt? - indagował Henri.

- Tylko od czasu do czasu. Nie znaliśmy się aż tak dobrze.

- Jeżeli u pana mieszkała...

- Tylko przez krótki czas.

- Jak krótki?

- Kilka miesięcy.

- A dokładniej?

- Sześć, może siedem. - Milan Hus tracił cierpliwość. - Boże, nie wiem, czego państwo ode mnie chcą. Znałem Helenę na tyle dobrze, na ile zna się kogoś, kto jest dużo młodszy.

- Była przecież jedną z pańskich studentek. Znaleźliśmy jej legitymację. Znajdowała się na liście słuchaczy pana wydziału - oznajmił Ron.

Profesor potrząsnął głową.

- Ach, to... myślałem, że dawno już ją skreślili z listy studentów. Helena nie miała niemieckiego paszportu, ale jako studentka mogła bez problemu otrzymać zaświadczenie o zarejestrowaniu pobytu. Tak to się chyba nazywa.

- To znaczy, że nie chodziła na pańskie wykłady ani ćwiczenia?

Hus pokręcił głową.

- Nie. Chodziło jej wyłącznie o to, by jakoś przetrwać do czasu, kiedy znajdzie zatrudnienie. Dlatego przyjechała do Frankfurtu. Chciała zrealizować swój cel: tańczyć u Forsythe'a.

- U kogo?

- Forsythe. William Forsythe. Jeden z najsłynniejszych choreografów w Niemczech. To on kieruje baletem we Frankfurcie. Państwo chyba nie interesują się życiem kulturalnym tego miasta.

- A czy pan interesuje się mordowaniem i zabójstwami? - odparował Ron.

Hus podniósł rękę.

- Oczywiście. Ma pan rację. Każdy jest specjalistą w swojej dziedzinie.

- A pańską działką jest literatura? - wtrącił się znów Henri.

- Historia literatury europejskiej.

- Gdzie pan był, gdy zamordowano Helenę Baarovą?

- W Pradze - oświadczył spokojnie profesor. Pytanie Henriego zdawało się nie wzbudzać w nim niepokoju.

Henri powoli pokręcił głową.

- Nie. W Pradze był pan, gdy znaleziono ciało. Ale Helena Baarová zmarła

w przeddzień wieczorem, dwanaście godzin przedtem, zanim znalazł ją pański syn.

- O tym nie wiedziałem.

- Nie rozmawiał pan z synem?

- Nie, nie widziałem się jeszcze z Davidem. Nie było mnie w domu, nocował więc u Simona.

- Znaleźliśmy dowody wskazujące na to, że Helena Baarová pracowała jako prostytutka - przerwał mu Ron.

- Helena? - Hus potrząsnął głową. - Nie, to niemożliwe.

- Mamy świadków, którzy to potwierdzają.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego nie? W kamienicy, w której znajduje się jej mieszkanie, nie byłaby jedyną. A jej sytuacja finansowa nie wyglądała najlepiej.

- Sądzę, że wystarczająco znam się na ludziach, by...

- Z czego w takim razie żyła? - zapytał Henri.

- Nie wiem. Mówiłem, że po jej przenosinach prawie nie mieliśmy kontaktu.

- Czy zbiegło się to w czasie, gdy wprowadził się do pana Justin Brandenburg? - uśmiechnął się ironicznie Ron.

Coś w twarzy Milana Husa drgnęło.

- Justin Brandenburg?

- Tak. Czy to z jego powodu Helena Baarová się wyprowadziła?

Miriam odniosła wrażenie, że profesor chciał coś powiedzieć, potem jednak zmienił zdanie i milczał.

Uśmiech, który teraz pojawił się na ustach Henriego, można było nazwać wręcz złośliwym, rzecz raczej do niego niepodobna.

- Jakim człowiekiem była Helena Baarová?

- Helena? - Hus się zastanawiał. - Młoda, ambitna, pełna nadziei. Miała tylko jeden cel.

- Dla którego brała na siebie wszystko? - zapytał Henri. - Nawet ryzyko, że zostanie zamordowana?

Na kilka chwil w gabinecie zapadła cisza. Cisza, w której było zbyt wiele niedomówień. Miriam wyraźnie czuła, że Henri nie ufał Husowi, najwyraźniej jednak postanowił na razie odpuścić.

- W porządku, profesorze... - Sposób, w jaki wypowiedział słowo „profesor”, pomijając grzecznościowe „pan”, równał się pogardzie. - Myślę, że to wszystko.

Hus wstał jednocześnie z Miriam.

- Jeżeli będą jeszcze państwo mieli pytania, proszę w każdej chwili się do mnie zwracać. Chcę przez to powiedzieć, że ta sprawa jest naprawdę... - szukał przez chwilę właściwego określenia - straszna, to chyba odpowiednie słowo, prawda?

Popatrzył na Miriam, która nie знаła odpowiedzi na to pytanie, więc tylko kiwnęła głową.

Henri odwrócił się nagle ku książkom.

- Wie pan, czasami myślę, że powinienem więcej czytać. Czy Helena Baarová dużo czytała?

- Helena? Nie sędzę.

- Też tak uważam. - Henri znów gwałtownie się odwrócił. - Tym bardziej byłem zaskoczony, gdy obok jej ciała znalazłem pewną lekturę, która szczególnie pana zainteresuje. - Sięgnął ręką na półkę, żeby wyjąć stamtąd cienki tomik. Uniósł go w górę niczym materiał dowodowy prezentowany przed sądem.

- To była dokładnie ta książka: *Lekarz wiejski*. Opowiadania Franza Kafki. Hus nie odpowiadał.

Henri odstawił tomik z powrotem na półkę.

- Poza tym to ciekawe, że książka była otwarta w miejscu, gdzie znajduje się pewne opowiadanie. Na pewno zgadnie pan które. To przecież obszar pańskiej specjalizacji.

- Co pan ma na myśli?

- *Na galerii*.

Po raz pierwszy Milan Hus okazał strach. Twarz mu pobladła, a wąskie dłonie nerwowo przesunęły się po włosach.

- Czy może pan streścić, o co w nim chodzi? - Henri wyzywająco patrzył na profesora.

- Opowiada ono o wołyżerce cyrkowej, która...

- ...która pejczem jest przez dyrektora cyrku zmuszona do kręcenia się w kółko. Zgadza się?

- Tak.

- Dziękujemy za rozmowę.

Jego zachowanie najwidoczniej zupełnie zbiło profesora z pantałyku. Zirytowany patrzył na Henriego, aż zdał sobie sprawę, że w tych pytaniach wcale nie chodziło o zbieranie informacji na temat Heleny Baarovej. Tylko raczej o to, że stał przed nimi jako podejrzany. Przez chwilę Miriam wyczuwała nerwowość Husa, aż wyraz jego twarzy uległ zmianie. Profesor przybrał maskę chłodnej arogancji.

- Naprawdę nie wiem, czego pan ode mnie chce.

- Szczerości - odparł Henri. - Otwartości. Krótko mówiąc, prawdy.

- Powiedziałem prawdę.

Henri nie odpowiedział, tylko szybko wyszedł z pokoju.

Miriam jako jedyna podała profesorowi rękę na pożegnanie. Nie miała wrażenia, że Hus kłamie. W jej oczach zdawał się raczej nie pojmować, co się działo. Jakaś część jego świadomości najwyraźniej wzbraniała się przed zrozumieniem, jak okrutną śmierć poniosła Helena Baarová. W tym momencie coś jej się przypomniało.

- Pańska uwaga na temat Justina Brandenburga podczas dzisiejszego wykładu...

Rzucił jej poirytowane spojrzenie.

- Powiedział pan, że ma nadzieję, iż następnym razem się pojawi. Co pan miał na myśli?

- Ach to. Miał dziś wygłosić referat, ale nie przyszedł.

- A gdzie jest?

- Nie wiem.

- Myślałam, że u pana mieszka?

- Już nie - odpowiedział Hus. - Wyprowadził się.

- Wyprowadził się? - zapytała z niepokojem Miriam. - Kiedy?

- Nie mam pojęcia. Gdy wróciłem z Pragi, już go nie było.

- Może pan mi powiedziec, gdzie teraz mieszka?

- Nie. Nie zostawił adresu.

- Kłamie - orzekł Henri zaraz po wyjściu z gabinetu Husa.

Z trudem przeciskali się pomiędzy grupkami studentów tłoczących się na korytarzach uniwersytetu. Podczas gdy koledzy rozmawiali o wiarygodności profesora, Miriam zastanawiała się, dlaczego Henri wszelkimi sposobami próbował sprowokować Milana Husa. To do niego nie pasowało. Ron, owszem, zawsze wprawiał świadków w zakłopotanie. Stanowiło to niemal jego hobby i zarazem było źródłem ciągłych sprzeczek między nią a nim, ale Henri tak nie postępował. Jedynym wytłumaczeniem mogło być to, że widział w profesorze podejrzanego.

- Dlaczego uważasz, że kłamie? - zapytała, zwracając się do Henriego.

- Wie o Helenie Baarovej więcej, niż nam powiedział.

- Skąd masz tę pewność?

- Coś w głębi serca mi tak mówi - oznajmił z ironią w głosie, nie patrząc na Miriam.

Chce mnie zranić, pomyślała. Nic nie mogło dać jej wyraźniej odczuć, że ich związek dobiegł końca. A sposób, w jaki zaakcentował „głębnię serca”, pokazywał, że te słowa odnosiły się także do niej.

Znali się od prawie dwóch lat. Przez rok byli parą. Rozumieli się jak bliscy przyjaciele. Tak, Henri znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Nigdy przedtem nie otworzyła się w takim stopniu przed drugim człowiekiem. Udało mu się uwolnić ją od tego strachu. Od strachu przed wewnętrzną pustką, która zawsze przeszkadzała jej czuć się wolną.

A teraz przyszła pora na karę za to jej zaufanie. Tymi słowami powiedział jej, że przez cały czas miała rację. Że w głębi jej serca panowała uczuciowa pustka.

- Nie sądzę, żeby kłamał - stwierdziła. - Milczenie nie musi równać się kłamstwu. A o co chodziło z tym opowiadaniem Kafki?

- Ta książka leżała na podłodze w pobliżu ciała Heleny Baarovej.

- I co z tego?

- Zawierała dedykację, własnoręcznie napisaną przez Milana Husa: „Miłość polega na tym, że jesteś dla mnie nożem, którym przeszywam siebie”.

Gwałtownie się odwrócił i pozostawił ją z poczuciem, że tym cytatem wyraził

Po dwóch godzinach przy komputerze Miriam postanowiła dla odprężenia poczytać kodeks karny. Nie, to nie było przesadne poczucie obowiązku, tylko jej małe dziwactwo. Precyzyjny, nakierowany na jednoznaczność język prawa oczyszczał szare komórki i sprowadzał z powrotem na ziemię. Wydawało się jej to szczególnie ważne w te dni, kiedy nie mogła się skupić, myśli chaotycznie się kotłowały, a ona prawie namacalnie czuła brak logiki wydarzeń.

Szufladki z aktami stały przed nią wypełnione po brzegi. W tym tygodniu było pięć procesów, które musiała przeprowadzić. Trzy sprawy o umyślne zabójstwo oraz morderstwo na właścicielu restauracji. Miejsce zbrodni: restauracja indyjska w parku Taunus. Poza tym jeszcze ciężkie uszkodzenie ciała, przy którym sprawca, dwudziestopięcioletni student, pobił ochroniarza na stadionie piłkarskim. Otrzeźwiawszy, próbował popełnić samobójstwo. Abstrahując od tego, nie podjęła jeszcze decyzji, jaką linię oskarżenia przyjąć w sprawie trójkąta bermudzkiego. Wiedziała tylko jedno: wniesie o najwyższy wymiar kary.

Niecierpliwie czekała na telefon z policji kryminalnej. Uzgodnili, że będzie na bieżąco informowana o postępach dochodzenia w sprawie Heleny Baarovej. Do tej pory jednak się nie odezwali. Przez chwilę nosiła się z myślą, czy samej nie zadzwonić do prezydium, ale natychmiast zarzuciła ten pomysł. Zinterpretowano by to jako wtrącanie się i przekraczanie kompetencji. Teraz, po rozstaniu z Henrim, obowiązki i odpowiedzialność były znów jasno podzielone: tutaj śledczy, zgraja wilków, która trzymała się razem, a tam prokuratorka, „żelazna dama”.

Podniosła kubek i pociągnęła łyk kawy. Napój zdążył już wystygnać. Nie zauważyła tego, albo też było jej to obojętne.

Nie, nie zgadzała się z decyzją śledczych, by najpierw skupić się na Milanie Husie.

- Brakuje punktu zaczepienia - powiedziała im.
- Dwudziestolatka wprowadza się do prawie pięćdziesięcioletniego faceta - odparł Henri. - W takiej sytuacji włączają mi się wszystkie dzwonki alarmowe.
- Insynuujesz więc, że miał romans z Heleną Baarovą?
- Widać przecież, że to podrywacz.
- Nie wolno nam zbyt wcześnie się zafiksować.
- Ale musimy od czegoś zacząć, a przecucie mi podpowiada, że tam coś nie gra. On znał tę dziewczynę lepiej, niż próbuje nam wmówić.
- Przecucie? - odparowała kpiarsko. - Od kiedy to intuicja jest uznaną metodą śledczą?

Westchnęła na przypomnienie sobie tej rozmowy i sięgnęła po pierwsze akta ze sterty. Czas zacząć.

Pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, sekretarka Cordula wsunęła głowę między framugę drzwi.

- Ojej, to pani jednak jest - zmartwiła się.

- A gdzie miałabym być?

- Hillmer chce z panią mówić.

Miriam jęknęła. Cordula wzruszyła tylko ramionami.

- Niebawem kupię sobie metrówkę, żeby odliczać jego dni do emerytury - stwierdziła. - Powieszę ją tutaj z przodu, zaraz obok drzwi. I z dziką przyjemnością będę odcinać każdy centymetr. Dzień po dniu, aż ten człowiek na zawsze opuści te mury.

- Czy mam ją dla pani kupić? - zapytała Cordula, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Nie. Nie sądzę, żeby tak długie metrówki w ogóle istniały.

- Tak czy inaczej, ma pani jak najszybciej zjawić się u Jego Wysokości. Pieni się. Chyba pani wie, co mam na myśli.

Miriam aż za dobrze wiedziała. Gdy Hillmer się pienił, to słowo nie tylko opisywało jego wściekłość, lecz także oznaczało, że podczas mówienia pluł śliną na wszystkie strony. Rozmówca miał więc przyjemność zakosztować zarówno jego długich tyrad, jak i dodatkowego bonusu w postaci darmowego prysznica.

Podniosła się, wzdychając.

- Wie pani, o co chodzi?

- Proszę mi wierzyć, nie chcę być osobą, która panią o tym poinformuje - skrzywiła się Cordula.

- Aż tak źle?

- Jeszcze gorzej.

Pokonując schody na górę, Miriam usilnie się zastanawiała, co zrobiła nie tak. Szczerze mówiąc, nic nie przychodziło jej do głowy.

Hillmer nie tylko się penił. Jego usta ociekały wściekłością.

- To jakaś nowa moda? - Walnął pięścią w stół.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi - odparła Miriam zdumiewająco opanowanym tonem w nadziei, że uda jej się zachować ten spokój przez całą rozmowę.

Mimo że przełożony nie zachęcił prokurator do zajęcia miejsca, usiadła na krześle. Już od dawna ignorowała nieuprzejmość szefa. Na swój sposób zbijała go wtedy z tropu, nonszalancko zakładając na przykład nogę na nogę, krzyżując ramiona i patrząc mu prosto w oczy, co przeważnie wywoływało w nim nerwowość. Dzisiaj jednak zignorował jej spojrzenie. Zamiast tego wstał i oparłszy ręce na biurku, oznajmił:

- A więc teraz odbiera pani kolegom sprawy?

- O czym pan mówi? - zapytała osłupiała Miriam.

- Zakończyłem właśnie rozmowę z Kellermannem, prokuratorem naczelnym w Sądzie Krajowym. Powiedział mi, że przechwyciła pani to morderstwo prostytutki.

- Jakie morderstwo prostytutki?

- Tej tancerki.

- Ach tak, nie, ona nie była prostytutką.

- Ale...

- Według doktora Veita była jeszcze dziewicą. - Miriam nie mogła opanować uśmiešku.

Hillmer odwrócił głowę w bok, jakby nie chciał nic o tym słyszeć.

- To nie ma znaczenia...

- Jeśli zakładamy, że pracowała jako prostytutka, to powiedziałabym, że to raczej ważny szczegół - zadrwiła.

- Ta sprawa nie jest w pani gestii! - zagrzemiał Hillmer.

- Ale Kellermann... - zaproponowała Miriam. - Porozumieliśmy się. Nie odebrałam mu tej sprawy, jak to pan określa. On z radością się jej pozbył.

Hillmer nachylił się nad biurkiem. W jego prawym kącie ust zgromadziła się biała ślina.

- Jestem pani przełożonym i z tej pozycji wzywam panią do przestrzegania moich poleceń.

- Ale Kellermann woli prowadzić sprawy niespektakularne.

- Nieważne, co woli Kellermann. W weekend to on miał dyżur, pani jednak nie uznała za konieczne, żeby do niego zadzwonić.

- Powiadamanie go nie należy do moich obowiązków. Wyszłam z założenia, że kryminalni go powiadomili i że zrezygnował z pojawienia się na miejscu zbrodni. To przecież nic nadzwyczajnego. Poza tym - dodała - przypadkiem akurat tam byłam.

- Przypadkiem?

- Ponadto - przerwała mu Miriam - od lat ustalamy z kolegami, kto zajmuje się którą sprawą. - Powoli zaczynała tracić cierpliwość. - Do tej pory miał to pan w dupie. Skąd więc to nagle zainteresowanie?

- Bo wszyscy robią tu, co chcą! - ryknął.

- Tymczasem pana obchodzi tylko zbawienie pańskiej duszy.

- Niech pani natychmiast stąd wyjdzie!

- Z przyjemnością. - Wstała. W drzwiach jeszcze się odwróciła. - Wie pan co, pan wcale nie musi ze mną rozmawiać. Jeżeli pan uważa, że na mocy swojego urzędu musi się pan wtrącać do mojej pracy, to w przyszłości proszę wysyłać mi polecenia drogą pisemną. Jestem urzędniczką. Wiem, że muszę ich przestrzegać. - Z hukiem zatrzasnęła drzwi i pośpiesznie ruszyła w stronę swojego biura.

Gdy pokonywała pierwsze stopnie na dół, poczuła w kieszeni wibrowanie komórki. Jeszcze zanim spojrzała na wyświetlacz, wiedziała, że to mógł być tylko Henri. Ich prywatne problemy były teraz całkowicie nieistotne.

- Gdzie jesteś? Dostaję szału! - krzyknęła, żeby skompensować złą jakość połączenia.

- W samochodzie. Mam nowe informacje.

- Oczywiście! Ja też!

Henri zignorował jej uwagę.

- Tamtego popołudnia Helena Baarová uczestniczyła w castingu.

- W jakim castingu?

- Szukano tancerek do musicalu.

- I myślisz, że ktoś z nich...

- Casting odbywał się w hotelu Arabella. Wysłaliśmy tam Wagnera z paroma ludźmi, żeby zebrał zeznania.

- Powinniście pozbyć się Wagnera.

- Na to nie możemy sobie pozwolić. Tam było około stu kandydatek, do tego jeszcze cała ekipa, która ten casting organizowała. Wyślę ci listę tych osób.

- Od razu mówiłam, że nie powinniście skupiać się tylko na Milanie Husie.

- Co ty w nim widzisz?

- To, czego nie widzę u innych facetów.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

- Przepraszam - powiedziała Miriam, chociaż trochę ją to kosztowało - ale...

- Okej, w porządku, doceniam twoją szczerłość.

- Nie, Henri, to tylko... - wyjąkała. - Wypadłam z gry.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Hillmer odebrał mi tę sprawę. Wypadłam z gry.

Henri zamilkł na krótką chwilę.

- Trudno. Nic się nie da zrobić - rzucił w końcu.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Wszyscy mamy szefów. Wszyscy musimy się trzymać reguł.

- Dobrze ci mówić. Ostatecznie świetnie dogadujesz się z Faberem.

- Do tanga zawsze trzeba dwojga.

Miriam odebrała słowa Henriego jak zdradę. Jakże często dyskutowali o Hillmerze i zgadzali się w kwestii jego niekompetencji.

- Czyli uważasz, że jego decyzja jest w porządku?

- A czego się spodziewasz? Jak Hillmer da ci inną sprawę, to ja nic na to nie poradzę i ty też nie. Kto się teraz tym zajmuje? - Głos Henriego brzmiał rzeczowo, wręcz neutralnie.

Dobrze, skoro rozmawiał z nią tym tonem, niech mu będzie.

Na schodach zbliżali się z przeciwka dwaj młodzi mężczyźni z gładko ogolonymi głowami. Miriam poczuła, że robi się jej gorąco. Oblał ją pot. Czy wydali się jej znajomi? Czy może wszyscy neonaziści wyglądali tak samo? Od czasu ubiegłorocznego napadu każda łysa głowa wywoływała u niej panikę. Minęli ją, a ona znowu poczuła ten natarczywy zapach wody po goleniu, którego nigdy nie zapomni. Woń zepsutej ryby i kocich szczyn. Zaczęła drżeć. Ze złości, z wyczerpania, a także ze strachu.

- Jesteś tam jeszcze? - usłyszała głos Henriego. - Pytałem, kto się tym teraz zajmuje.

- Kellermann - odparła bezbarwnie.

- Okej.

- Dziś wieczorem przyjadę po moje rzeczy - powiedziała cicho Miriam. -

Wystaw je po prostu za drzwi.

- To twoja decyzja - odparł Henri.

- Dokładnie. - Nacisnęła czerwony klawisz.

Oto zakończył się kolejny rozdział w jej życiu.

Znowu została sama.

Z poczuciem upokorzenia i wściekłości zamasyście otworzyła drzwi sekretariatu.

- Akta sprawy Heleny Baarovej?

- Odebrano je i zanesiono do Kellermanna - odparła Cordula.

Hillmer nie tracił czasu.

Miriam obróciła się na pięcie. Współczujące spojrzenia szeregowych pracownic biurowych były ostatnią rzeczą, jaka mogła się jej teraz przydać.

PRAGA, ULICA BENEDIKTSKĄ

PIĄTEK, 4 MAJA

Głodomór

Szkic IV 1922

Sędzia przeraził się na widok bladej twarzy głodomora, straszliwie wystających żeber i tego zamroczonego spojrzenia, które zdawało się wydobywać z głębin jego duszy.

W ostatnich latach zainteresowanie głodomorami bardzo osłabło. Jednak w tych zgaszonych oczach tkwiła silna, dumna wola, aby głodować dalej.

Sędzia podał mu rękę, nie dając po sobie poznać, że wstrząsa nim słabość kościstych palców. Wiedział jednak, że ta słabość jest tylko pozorem. Kryła się za nią niesamowita siła.

Jego zadanie polegało na tym, by pomóc skazanemu przejść samego siebie. Tak by jego najskrytsza wola doznała spełnienia, za którym tęsknił.

Bicie zegara wyrwało go z tego przeczucia i przypomniało, że czas działać.

- Jestem tu, by ci pomóc - rzekł sędzia i odniósł wrażenie, że po zapadniętych policzkach rozmówcy przemknęła ulga.

- Dlaczego?

- To zadanie, które sam sobie postawiłem.

- Jakie zadanie?

- Pomogę ci, czuwając nad tobą. - Potem ruszył przodem, a tamten podążył za nim, i zanim wszedł do pokoju, rzucił przez ramię: - To będzie najprostsze na świecie, uwierz mi. To tylko tak trudno wygląda, a ty o tym wiesz.

Wskazał zimną posadzkę w kącie pokoju.

- Tutaj.

- Dlaczego to robisz?

Sędzia nie odpowiedział. Zamiast tego podał mu z uśmiechem małą szklanekę wody. Tamten, rad z pomocy, znużony osunął się na podłogę, czując ulgę, że nie jest sam. Z wdzięczności, że ktoś dał mu wiarę, w oczach stanęły mu łzy. Potem zapadł w podobny do omdlenia półsen, tymczasem sędzia przystąpił do wykonywania swojego wyroku.

Nie słuchał bicia zegara.

Nie zważał na to, że księżyc zaszył się w szarości poranka i światło dnia utorowało sobie drogę do kąta pokoju, w którym tamten spał.

Sędzia obserwował, jak znikająca siła głodomora, jak ciało stawało się słabsze, jak kości jeszcze mocniej się uwypuklały, jak szkielet prześwitywał przez cienką warstwę bladej skóry, by w końcu stać się jedynym wcieleniem. Krótko mówiąc, sędzia widział, jak ustępuje życie.

Nic nie mogło uratować głodomora. Ten zresztą tego nie chciał.

Nareszcie odzyska spokój i za niczym nie będzie tęsknił. O to postarał się sędzia, ten zaś był pewny, że właściwie czyni.

Nikt się nie przyglądał.

Sędzia nad tym czuwał. To ważne, żeby odchodzić z tego świata, nie mając obserwatorów. Umieranie było sztuką, która dokonywała się w ukryciu. Nie była pożegnaniem z nami samymi, tylko z innymi.

Jeżeli ktoś tego nie czuje, nikt nie zdoła mu tego wytłumaczyć.

Sędzia marzył: Minęło wiele dni, ale i te dobiegły końca. Kiedyś ktoś zauważył, że tamtego brakuje. Zaczęto go szukać i znaleziono leżącego w kącie. Skulony szkielet, którego szczątki rozsypały się na podłodze. Sterta gnatów jak drwa na opał.

Sędzia miał nadzieję, że to się wkrótce stanie. Cały świat powinien zobaczyć, jak tamten cierpiał, i go podziwiać. Będą długo stali przed tym, co z niego zostało, ba, nie będą się nawet chcieli ruszyć z miejsca.

Będą płakali, nie wiedząc dlaczego.

Na to sędzia skazał żyjących.

Życie bowiem jest karą, nie śmierć.

K.

17

Filip Černý stał w przejściu między biurem a sklepem i wpatrywał się w żonę, której słowa w niewiarygodny, szalony sposób kontrastowały z jej urodą. Za jego plecami widniał chaos zakurzonych książek, przed nim zaś rozgrywał się rodzinny dramat.

- Jak to wygląda?! - krzyczała Dora. Nie, wrzeszczała: - Nic dziwnego, że nikt do tego sklepu nie przychodzi. Niczego tu nie można znaleźć! Na książkach nie zbija się kokosów. Nie możesz sprzedawać czegoś innego zamiast książek?

- Co niby mam...

- Płyty. Komputery. Cokolwiek. Możesz otworzyć nawet sex shop.

Nie, ona tego nie mówiła poważnie.

- Poza tym moglibyśmy sprzedać kamienicę - oznajmiła.

- Ale ten antykwariat znajduje się w posiadaniu mojej rodziny od dziesiątek lat. Gdybym z niego zrezygnował, zabiłbym mojego ojca.

- To wiek go wpędza do grobu, nie ty! Myślisz, że on będzie żył wiecznie? A co z twoim synem? Też chcesz mu zostawić w spadku ten sklep? Zawsze już ma tak być? Ja żyję teraz. Teraz, rozumiesz? Te pieniądze tak bardzo by się nam przydały.

Filip chciał coś powiedzieć, wyjaśnić, ale żona nie dała mu dojść do głosu.

- Widzisz przecież, że z ojcem jest coraz gorzej. Zapomina, kim jesteś, a ty nadal robisz to, czego on od ciebie wymaga. Człowieku, on ma alzheimera, rozumiesz? - Postukała się palcem w czoło. - Mózg mu rozmięka, robią się w nim dziury.

- Nie mów tak o moim ojcu. - Czuł, że wzbiera w nim gniew. Od podniesienia głosu powstrzymywała go tylko obecność Pavla. - Mamy przecież wszystko, czego...

- Ty, owszem, ty masz to, czego ci potrzeba. Święty spokój. Dlatego tu przychodzisz. Żeby mieć spokój.

- To się wkrótce zmieni.

- Nic się nie zmieni. Nic. Ten wielki biznes, interes stulecia, o którym mówiłeś w ciągu ostatnich dni, istnieje przecież tylko w twojej upartej makówce!

- Jeszcze nic się nie rozstrzygnęło.

- Nic, tylko urojenia! Pomysły! Obietnice! Mam tego dość! - Położyła rękę na klamce.

Na ulicy sklep mijali przechodnie. Żaden z nich nawet nie popatrzył na wystawę.

Dora miała rację. Tylko od czego zacząć?

Na chwilę ogarnął Filipa impuls, żeby wstać, minąć ją w drzwiach, zamknąć je i już nigdy nie wracać. Kto mu w tym przeszkodzi? Nikt.

Zrobił krok do przodu. Zaraz jednak znieruchomiał, napotkawszy wzrok syna. Ten wyraz ufności w jego twarzy. Cicho siedząc na podłodze, przeglądał stare czasopisma o lataniu.

Latać. Pozostawiać wszystko za sobą.

Czy to możliwe, że przekazywało się potomkom marzenia? Tak jak kolor oczu? Kształt ust? Długość palców? Czy w kodzie genetycznym istniało miejsce zarezerwowane dla świadomości? Gen, w którym przodkowie pozostawiali swoje wizje, swoje powołania? Jeżeli tak, powinien teraz wstać i zabrać się za te marzenia.

Nadal jednak się nie ruszał. Co takiego go powstrzymywało? Sam nie wiedział. Brakowało mu sił, by zmienić swoje życie.

- Chodź - powiedziała Dora do Pavła, który natychmiast zerwał się z podłogi. Dzwonek cicho zadźwięczał, gdy zamykały się za nimi drzwi.

Filip poczuł ulgę, gdy nareszcie zniknęli.

Godzinę później antykwariusz nadal tkwił na swoim krześle. Z nogami opartymi na biurku i z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni wpatrywał się w pustkę.

Mailem przysłano mu kolejny manuskrypt. W odpowiedzi na pierwszy elektroniczny list napisał, że nie sporządzi ekspertyzy, nie zobaczywszy oryginalnego rękopisu. Zamiast reakcji na to zastrzeżenie przyszedł drugi tekst. Adres mailowy nie pozwalał wysnuć żadnych wniosków na temat nadawcy: 03-07-1883@gmx.net. Czy ktoś zamierzał go sprowokować, dręczyć, ostatecznie zrujnować jego opinię na rynku? Zastanawiał się, czy miał jakichś wrogów, którzy chcieliby mu zaszkodzić. Ale nikt nie przychodził mu na myśl.

W głowie Filipa wytwarzała się coraz większa pustka. Alkohol i ta pajęczyna niewiary we własne możliwości, niezdecydowanie, wątpliwości. Ta mglistość, która go paraliżowała. Nie wiedział, co ma zrobić z tymi manuskryptami.

Przez sklepową witrynę paliło słońce. Praskie śródmieście zalewali ludzie, którzy byli zajęci. Tak niesamowicie zajęci.

Powinien stąd wyjść. Teraz, natychmiast. Zamknąć za sobą drzwi. To byłoby takie proste.

Podniósł się gwałtownie, przewracając opróżnioną do połowy butelkę. Zapach czerwonego wina mieszał się z wonią kurzu unoszącą się w powietrzu. Filip sięgnął po klucze i już się nie rozglądał.

Mógłby pracować jako sprzedawca w dużych księgarniach, skończyć studia, jako przewodnik oprowadzać po Pradze grupy turystów. Nagle ujrzał przed sobą zaskakującą gamę różnorodnych możliwości. Dora nie musiałaby już być kelnerką, mogliby pozwolić sobie na jeszcze jedno dziecko.

Czy powinien wydzierżawić sklep? Należał do niego, podobnie jak kamienica. Prawie o tym zapomniał. Niektórzy lokatorzy mieszkali tu jednak od ponad czterdziestu lat, dlatego płacili czynsz niewiele wyższy niż w czasach socjalizmu. Filip nie miał pieniędzy na modernizację mieszkań. Może Dora miała rację. Może sprzedaż była najlepszym wyjściem. A potem... Ameryka! Żadnego oglądania się w przeszłość.

Przy drzwiach głęboko odetchnął. Oślepiło go słońce. Po niebie nad Hradczanami płynął ogromny chrzaszcz. Atrakcja dla turystów. Przemierzali Pragę śladami Kafki i próbowali odkryć przynajmniej cień literackich korzeni, które naznaczyły miasto.

Filip chciał już przekręcić klucz, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Drgnął. Przez cały dzień nic i akurat teraz ten telefon.

Dzwoniący nie dawał za wygraną. To musiało być coś ważnego. Może Dora, której zrobiło się przykro. Syn, by zapytać, kiedy przyjdzie do domu. Ojciec, by się dowiedzieć, jak szły interesy.

Dobrze, tato. Wszystko w porządku.

Ile czasu jako chłopiec spędził z nim tu w sklepie? Czyżby był sentymentalny? Dlaczego nie pozostawiał za sobą przeszłości, rzucającej kłody pod nogi przyszłości? Póki żył ojciec, przeszłość była jeszcze w zasięgu ręki. Dopiero gdy umrze, Filip będzie wolny.

Drzwi się za nim zatrzasnęły. Podbiegł do telefonu i chwycił słuchawkę.

- Antykwariat Černý i Synowie. Starodruki, rzadkie wydawnictwa, artykuły bibliofilskie, ekslibrisy. W czym mogę pomóc?

- Milan Hus. Chciałbym kupić od pana ten manuskrypt, jeżeli da mi pan kontakt do osoby wystawiającej go na sprzedaż.

- Dwa manuskrypty - oznajmił nerwowo Filip. - Dostałem jeszcze jeden.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Gdy Milan Hus wreszcie odpowiedział, Filip Černý tak wyraźnie wyczuwał jego strach, jakby profesor siedział tuż obok niego.

- Jak brzmi tytuł?

Filip gorączkowo szukał w komputerze pliku. Znalazł go w kilka sekund.

- Głodomór - powiedział głośno. - Szkic z kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego.

Co miała oznaczać ta cisza w słuchawce?

- Niech pan mi to przyśle - odezwał się w końcu ochryplym głosem profesor.
- Hm, proszę mi dać trochę czasu, sprawdzę to...
- Nie mamy czasu - przerwał mu Milan Hus. - Myślę wręcz, że jest już za późno.

FRANKFURT NAD MENEM

SOBOTA, 5 MAJA

18

Siąpił deszcz, krople były jednak tak drobne, że Justin prawie ich nie zauważał. Brnął przez plac budowy do wieżowca. Wyasfaltowana droga tonęła w błocie. Buty miał już kompletnie ochlapane. Wyczerpany przytrzymał się parkanu, odchylił głowę do tyłu i spojrzał w górę. Potem ruszył dalej.

Sporo trudu kosztowało go przytrzymanie drzwi wejściowych, kiedy wsuwał do środka obydwie kartony. Usłyszał terkot windy w szybie. Gdy dotarła na dół, drzwi rozsunęły się, nikt jednak z niej nie wysiadł. Wybrał mieszkanie na siódmym piętrze, bo lubił napawać się uczuciem bycia ponad innymi rzeczami. Przynajmniej przez krótki czas. Jak pustelnicy, którzy zaszywali się w jaskini, by odnajdywać samych siebie.

Podobno z tego mieszkania wyskoczył kiedyś przez okno jakiś siedemnastolatek. Stąd tak trudno jest je wynająć, dowiedział się od pracownika spółdzielni podczas podpisywania umowy najmu.

- W tym domu mieszkają obcokrajowcy, rozumie pan - dodał urzędnik, nie zaliczając przy tym Justina do tego typu cudzoziemców. - Tkwią po uszy w przesądach. Myślą, że wprowadzenie się do mieszkania, w którym ktoś się zabił, przynosi pecha.

Jego śmiech napawał Justina odrazą.

- Mam nadzieję, że wy w Ameryce nie myślicie, że śmierć jest zaraźliwa.

I znowu ten śmiech. Justin przytaknął tylko z tego powodu, że nie chciał już dłużej nocować w hotelu.

Mieszkanie było dokładnie tym, czego szukał. Jedno pomieszczenie, w którym mógł się zabarykadować i żyć według własnego rytmu. Te mury oznaczały bezpieczeństwo i izolację, których potrzebował, by się uspokoić. Nikt z sąsiadów nie będzie się nim interesować. Mógł nareszcie zacząć pisać. Milan zawsze twierdził, że ma do tego talent.

Leżeli obok siebie w łóżku. Justin oparł głowę na ramieniu Milana, który tymczasem mówił o tym, że w pisaniu nie jest ważna umiejętność doboru właściwych słów, lecz coś innego. Potrzebowało się pewnej formy wewnętrznego szaleństwa, które on, Justin, w sobie miał.

Tak, Milan wyczuwał w nim ten rodzaj myślowego mroku, jakiego potrzebowali wielcy pisarze.

Mieszkając u niego, Justin nie napisał ani linijki. Teraz jednak zdawało mu się, że nadchodzi właściwy moment.

Drzwi windy znów się otworzyły. Tym razem wyszedł z niej młody mężczyzna, co najwyżej osiemnastoletni, przypuszczalnie arabskiego pochodzenia. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Justin poczuł znajomy dreszczyk. Serce szybciej mu zabiło. Dopóki młodzieniec nie odwrócił wzroku. Pomylił się. Przez chwilę myślał, że się rozpoznali.

Justin wniósł jedną z paczek do windy. Cały jego dobytek składał się z dwóch kartonów i plecaka turystycznego. Tylko tyle. Milan mu tego zazdrościł, bo naprawdę wolnym jest się ponoć tylko wtedy, gdy nie ma się niczego. Ani rzeczy, ani ludzi, którzy trzymali się człowieka i ciągle wysuwali pod jego adresem żądania.

W tej jednak chwili, wpychając nogą drugie pudło do windy, Justin czuł się po prostu beznadziejnie. Kompletnie do dupy. To było właśnie to uczucie, gdy nie miało się niczego.

W końcu udało mu się z trudem wsunąć pakunki do windy. Teraz tylko czekał, aż drzwi się zamkną, a dźwig powoli ruszy w górę.

Ponieważ od dwóch dni nic nie jadł, znajdował się w stanie podobnym do delirium. Tak dalej być nie mogło. Musiał się zmobilizować i odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Pieniądze Milana w plecaku. To go gryzło. Dlaczego – jak jakaś dziwka – je zatrzymał? Gdy winda dojechała na miejsce, Justin znów z mozołem zdołał przytrzymać drzwi, by wyciągnąć na korytarz pudła. Oblał go pot. Kiedy wreszcie zamknął za sobą drzwi mieszkania, był zupełnie wykończony.

W łazience odkręcił kran i zaczął szybko, łapczywie pić, aż poczuł, że ma coś w żołądku. Potem poszedł do sypialni, by położyć się tam na wykładzinie.

Musiał coś zjeść, w przeciwnym razie padnie. Z trudem wydobył z kieszeni spodni dziesięć euro. Wystarczy, by gdziekolwiek dostać coś do jedzenia. Przypomniawszy sobie, że w pobliskim pasażu handlowym widział grecką restaurację.

Chyba na chwilę zasnął. Przestraszony poderwał się z podłogi. Ktoś dzwonił do drzwi.

Nikt nie wiedział, że tu zamieszkał. Nigdzie nie zostawił swojego adresu. Nie chciał być odnaleziony.

Drżąc z głodu i wyczerpania, wstał. To mógł być tylko któryś z sąsiadów. Albo ten młody mężczyzna z dołu.

Przez wizjer nie zdołał niczego dojrzeć. Zdziwił się, gdy otworzył.

- Czego chcesz?

Nieoczekiwany gość z uśmiechem uniósł w górę dwa kartony z pizzą. W drugiej ręce trzymał butelkę wina.

- A co, myślałeś, że zostawię cię na lodzie?

Justin poczuł, jak bardzo był głodny.

- Wejdz.

Gość minął go i z ciekawością się rozejrzał.

- Załatwić ci jakiś materac?

- Poradzę sobie.

- Jesteś pewien?

- *It's okay.*

Postawiwszy wino na parapecie, rozmówca wyjął z plecaka korkociąg.

- Zakładam, że nie masz szkła.

- Nie.

- To nie problem. Pomyślałem o wszystkim. - Wydobył dwa kieliszki do wina. Justin nerwowo go obserwował.

- Dlaczego przyszedłeś?

- Żeby z tobą pogadać.

- O czym?

- O Helenie i o Paulu. Najpierw jednak się napijmy.

Nalał trunku.

Justin przyjął pełny kieliszek.

- Za co pijemy?

Niespodziewany gość roześmiał się i odpowiedział:

- Za miłość? Tę spełnioną i niespełnioną?

Justin wznosił do góry lampkę. Już sama woń przyprawiała go o zawrót głowy. Wypił.

Rozmówca się roześmiał. Justin zaraził się tym śmiechem i poczuł radość, że nie musi spędzać tego wieczoru samotnie.

Znów nabrał nadziei. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł ulgę - i cholerne zmęczenie. Nogi ugiwały mu się z wyczerpania. Czuł, jak osuwa się w dół, i ucieszył się, że może się po prostu rozłożyć, nie zauważył nawet twardości podłogi. Tylko to wybawienie, że wreszcie znowu jest w stanie spać.

Gdy się obudził, było ciemno. Z trudem się orientował. W głowie dudniło mu z bólu. Nie mógł oddychać. Jakby ktoś zatykał mu usta. Wrażenie, że się dusi, wywołało w nim panikę. Musiał otworzyć okno. W ciemności nie był w stanie niczego dojrzeć. Rękoma wybadał podłogę, aż dotarł do okna. Coś tu nie pasowało. Ten niemożliwy ból, gdy próbował otworzyć usta. Wargi zdawały się opuchnięte. I to pieczenie wysuszonego gardła.

Uniósł rękę, by przetrzeć usta. Oszołomiony zauważył drżenie palców, jakby już wiedziały więcej niż on sam.

Próbował krzyknąć, ale wydał z siebie tylko zwierzęcy jęk, który nie mógł należeć do niego. Ból niczym nóż przeszywał mu twarz i rozłupywał głowę, która też nie była jego. Nie mogła być.

Znów spróbował otworzyć usta. Teraz ból promieniował w dół szczęki. W jego wargach musiały tkwić długie ostre igły niczym zszywki spinające mocno ściśniętą ryzę papieru.

Przesunął palcem wskazującym po wargach. Usta zdawały się już nie istnieć, nie, rozrosły się, nabrzmiały i zmieniły w złośliwy guz. Całe jego ciało ociekało zimnym potem.

Wyczuł coś twardego. To było jak... nie potrafił tego zdefiniować. Mimo piekielnego bólu podniósł się, z ogromnym trudem przezwyciężając słabość.

Przypomniał sobie o lustrze w łazience. W mroku dotarł po omacku do drzwi i zamarł, gdy uderzył ręką w coś zimnego. Zamiast gładkiej powierzchni drzwi

dotykał czegoś innego.

Przyptyw zwątpienia. Wzdrygnął się. Metal. Metalowe pręty.

O mało co się nie roześmiał, bo przecież nie mogło być to nic innego niż jakiś sen? Nigdy jednak, nawet w najgorszych koszmarach, nie czuł takiego strachu. Przez chwilę miał wrażenie, że omdlewa, tak, nawet tego zapragnął.

Znów wyciągnął przed siebie ręce. Pustka. Dalej szukał po omacku czegoś, co pozwoliłoby mu nabrać pewności, i ponownie natknął się na metal.

Żelazne pręty. To nie mogło być jego nowe mieszkanie.

Pojękując, powlókł się z powrotem do okna, gdzie w panice zaczął szukać paska od żaluzji. Początkowo nie mógł go znaleźć, aż wreszcie jego dłoń dotknęła taśmy. Rozpaczliwie szarpnął. Żaluzja z łoskotem się uniosła.

Było późno w nocy. Tylko w jednym mieszkaniu w bloku naprzeciwko paliła się lampka. I uliczne latarnie daleko w dole, które rzucały rozproszone światło. Teraz jednak dojrzał też w szybie swoją twarz.

To nie był on. Tylko jakiś grymas. Zniekształcony uśmiech klauna.

Znów chciał krzyknąć, ale to było niemożliwe. Nie mógł otworzyć ust. Wydał z siebie tylko stłumiony jęk. Głuchy dźwięk, który odbił się echem od pustych ścian.

Justin leżał we własnych odchodach. Nie wiedział, jak długo. Słońce wschodziło i zachodziło. Biel dnia przeplatała się z czernią nocy, jakby istniały tylko te dwa kolory. Czarny i biały. Jasny i ciemny. Co dziwne, nie przeszkadzało mu to. Już nie. Ani to, że leżał we własnych brudach. Ani to, że zatracił wszelkie poczucie czasu.

Spał albo nie. Nie potrafił już stwierdzić, kiedy znajdował się w stanie czuwania, a kiedy nie. Wyraźnie czuł gorączkę, która przynajmniej tłumiała udrękę bólu.

Tylko głódówka przychodziła mu łatwo. To była najprostsza rzecz na świecie.

Czterdzieści dni, pomyślał, czterdzieści dni próby. Mógłby przetrwać ten czas. Wiedział to. Miał taką nadzieję. Gdy ścisnął mocno nogi, czuł kości, które ocierały się o siebie.

Potrafiłby przeżyć, gdyby nie potrzeba picia. Odwodnione ciało trawiła gorączka i pragnienie. Jego skóra była jak kruchy stary papier. Próbował łykać własną ślinę. Wysuszony język bez przerwy lizał podniebienie, aż wewnątrz ust przemieniło się w roztartą ranę. Zęby coraz bardziej wydawały mu się ostrymi kolcami.

Wyrwał się z przypominającego omdlenie półsnu, by doczołgać się do drzwi. Nie ze strachu czy nadziei na ratunek, tylko z głębokiego poczucia smutku zaczął jak zwierzę szarpać kraty. Wiedząc, że nie ma to sensu. Na dworze wył wiatr. W powietrzu unosił się stłumiony lament, przeszywający trwogą skowyt.

Nikt go nie słyszał. Wycieńczony osunął się na podłogę. Nic już nie mogło go uratować. Co mu pozostało? Nic. Nawet nie nadzieja na łagodną śmierć.

FRANKFURT NAD MENEM

WTOREK, 15 MAJA

19

Pogodny majowy poranek z czystym niebem, łagodnym powietrzem i słońcem, które obiecywało tak wiele; neurotyczne szczebioty zakochanych kosów; kwitnące brzozy i katar sienny Corduli. Miriam słyszała, jak jej sekretarka kicha w coraz krótszych odstępach.

Prokurator Singer ugryzła rogalik z marmoladą. Czerwone nadzienie kapnęło jej na białą bluzkę. Próbowwała wytrzeć plamę chusteczką higieniczną, ale tylko pogorszyła sytuację. Nieważne, pomyślała, i tak przez cały dzień siedzę tylko za biurkiem. Jakby to w ogóle odgrywało jakąś rolę, co na sobie mam albo nie. Jedna plama mniej czy więcej nikogo nie zainteresuje. A jeśli nawet, to włożę po prostu toge.

Miriam brakowało czasu, żeby przejmować się takimi błahostkami. Tkwiła po uszy w ostatniej fazie przygotowań do procesu trójkąta bermudzkiego i powoli odnajdywała nowy rytm, który składał się z akt i telewizji. Gdy tylko wchodziła wieczorem do mieszkania, czuła się zbyt zmęczona, by robić cokolwiek poza nurkowaniem w stertę DVD, które zamawiała przez internet i oglądała do późnej nocy. Co wieczór pochłaniała dramaty rozgrywające się na odludnych wyspach, szpitalne romansidła i rodzinne opery mydlane. Krótko mówiąc, była na najlepszej drodze, by stać się serialoholiczką. Jej świadomość oddaliła się od reszty świata. Próby jakiegokolwiek kształtowania życia lub jego wzbogacenia były niweczone przez system prymitywnych rytuałów, w które wtłaczała ją codzienność. Istniało tylko życie innych dozowane w tanich serialach.

A jednak brakowało jej tego, co odkryła w ciągu ostatniego roku: radości życia. Owszem, kiczowate spostrzeżenie. Co dziwne, sypiała teraz twardo, bardzo twardo. Miała wrażenie, że zapadła w swoisty zimowy sen. I że kiedyś obudzi się jako rencistka.

Potrząsnęła głową, by odpędzić te myśli, i ponownie skupiła się na aktach. Ciało zamordowanej żony zniknęło gdzieś w niebycie miasta. Na pytanie o to, gdzie ukrył zwłoki, mąż niezmiennie odpowiadał bezwstydnym uśmiechem i plótł coś o trójkacie bermudzki.

Miriam niemalże go podziwiała. Za tę wytrzymałość, inteligencję i tupet.

On jednak nie zasługiwał na podziw, a już na pewno nie stanowił uosobienia jednego z tych antybohaterów z jej seriali, którzy mimo wszystko wciąż jeszcze potrafili wzbudzić jakąś sympatię albo czymś zafascynować. Nie, ten mężczyzna należał po prostu do ludzi, którzy nie znali żadnych uczuć ani empatii. Zrozumienie, litość były mu obce. Nie potrafił nawet cieszyć się własnym okrucieństwem.

Mimo to jako prokurator miała obowiązek znalezienia okoliczności łagodzących. Ów pracownik administracji zakładów transportu publicznego był

dotychczas obywatelem bez skazy. Wydawał się ideałem. Aż do chwili, w której odkrył, że żona go zdradza. Od tamtego dnia nie pokazał się już w pracy. Miał tylko jeden cel: zemstę. I jedyne uczucie, które odtąd kierowało jego życiem: palącą zazdrość.

Cholera, pomyślała, czy moim zadaniem jest naprawdę analizowanie jego życia uczuciowego? Rozumienie jego depresji? Uwzględnianie jego wielomiesięcznej bezsenności? Jeżeli Miriam czegoś nie cierpiała, to właśnie bezkrytycznego przyjmowania rzekomo naukowych ekspertyz. Wyroki powinny zapadać tylko na podstawie poszlak i dowodów rzeczowych.

Zabójstwo. Morderstwo. On zabił żonę. Koniec. Kropka.

Nieważne, jak bardzo ją kochał albo jak bardzo gryzła go ta wszechmocna zazdrość.

Powinno się tylko czytać dokumenty. Mail zapowiedział śmierć kobiety. Czyn posiadał wszelkie znamiona tego, co czyniło zabójstwo morderstwem: wynikał z żądzy zabijania, z chciwości, nastąpił przy użyciu niebezpiecznych narzędzi i tak dalej. Poza tym delikwent przyznał się do winy, ze stoickim spokojem rekonstruując tok zdarzeń. Z tym samym złośliwym uśmiechem na ustach. Śledztwo zakończono i wyjaśniono przebieg zbrodni. Do czasu rozprawy wszystko toczy się teraz swoim rytmem. Ciała jednak dotychczas nie odnaleziono.

Hillmer upierał się, żeby z nim negocjowała. Oskarżony mógłby się spodziewać łagodniejszego wyroku, gdyby wykazał miejsce ukrycia zwłok.

Nie. Zatrzasnęła teczkę. W to absolutnie nie będzie się wdawała. Tutaj ona dyktuje warunki, a nie Hillmer.

Wyjęła z torebki kolejną chusteczkę higieniczną, owinęła nią rogalik i akurat miała go w ustach, gdy zadzwonił telefon.

- To ja.

Prawie już nie rozmawiała z Henrim i rzadko go widywała. Czasami krótko na korytarzu w gmachu sądu. Pytał wtedy, jak się miewa. A ona zwyczajnie szła dalej. Posyłała mu tylko skinienie głową. Przelotnie. Jakby był kimkolwiek.

Była konsekwentna. Oczywiście. Jak zawsze. I nienawidziła go, ale przede wszystkim siebie samej. Nie robi więc nic, by wyjść mu naprzeciw, pytając, po co dzwoni.

- Wiesz, gdzie jest Kellermann? - usłyszała jego spokojny głos.

- Ma chyba akurat rozprawę.

Myślała, że się rozłączy, ale tego nie zrobił.

- Dzwoniłem już do Hillmera, ale nie ma go w sądzie.

- Potrzebujemy tutaj kogoś z prokuratury.

- A co mnie do tego?

- Mamy tu... - zająknął się - naprawdę paskudne morderstwo.

- Morderstwo zawsze jest paskudne.

- Tym razem jest inaczej.

Coś w głosie Henriego sprawiło, że nadstawiła uszu. Napięcie

i zdenerwowanie. Odebrała nawet chyba lekkie drżenie głosu.

- Ciało - powiedział i po krótkiej przerwie ciągnął dalej - leży tam już na pewno półtora tygodnia. Nie sposób tego sobie wyobrazić. Musiało wydarzyć się coś makabrycznego.

Miriam przełknęła ślinę. Półtora tygodnia. Faza, w której ciało nie przypomina już człowieka, ale nie jest jeszcze szkieletem. Gdy niszczycielskie dzieło śmierci ukazuje swoją moc, która niczym nie imponuje, tylko na srebrnej tacy prezentuje żyjącym naszą żalną powłokę, ową taną przemijalność.

- Gdzie? - zapytała.

- Nieder-Eschbach, Ben-Gurion-Ring sto pięćdziesiąt osiem. Siódme piętro.

- Przekażę to Kellermannowi...

- Miriam, nie możesz przyjechać? Nie prosiłbym cię, gdyby to nie było ważne. Ale ktoś z prokuratury powinien zobaczyć miejsce zbrodni.

- Mogę znaleźć kogoś innego - zaproponowała.

- Nie - sprzeciwił się Henri. - Chcę, żebyś to ty przyjechała!

- Dlaczego?

Henri jednak już się rozłączył.

Chociaż było to jedno z tych osiedli, w których szybko traciło się orientację - wszystkie bloki wyglądały tak samo, na wszystkich podwórkach bawiły się takie same dzieci, a na każdym balkonie była zamontowana taka sama antena satelitarna - nie mogła przeoczyć domu numer 158. Miriam była urzędniczką i dlatego musiała stosować się do służbowych poleceń swojego przełożonego. Tak brzmiała litera ustroju sądów. Hillmer wprawdzie przekazał sprawę Kellermannowi, ale jeżeli funkcjonariusze śledczy domagali się obecności prokuratury, musiał istnieć jakiś powód.

Z trudem przedarła się przez leniwy tłum gapiów, dla których obecność policji zdawała się nie być niczym szczególnym. Obserwowali rozwój wydarzeń z raczej miernym zainteresowaniem, jakby chodziło o nudną operę mydlaną, podczas której można wyłączyć myślenie, bo to i tak kto inny wiódł życie, którego samemu się nie miało. Miriam dokładnie rozumiała, co czuli.

W małym zatecznym korytarzu na parterze roiło się od policjantów i techników. Miriam natychmiast uderzyło przygnębienie kolegów. Brakowało panującej zwykle gorączkowej krzątaniny. Wszyscy wręcz snuli się ze zmęczonymi minami. Dostrzegła coś jeszcze. Szok. Przewrzenie, wstrząs, które malowały się na ich twarzach. Nikt nie ważył się głośno mówić ani oddychać. Czegoś takiego jeszcze nie widziała. Musiało wydarzyć się coś, co przekraczało zakres jej doświadczeń.

Drzwi windy otworzyły się i usłyszała, że ktoś za nią gwałtownie się dławi. Z przerażeniem rozpoznała Katję Weiss, która wybiegła na powietrze, gdzie na oczach mieszkańców zwymiotowała na trawnik.

Spojrzenie Miriam padło na Wagnera, który obserwował specjalistkę od zabezpieczania śladów, i usłyszała jego drwinę:

- Najpierw zgrywa twardzielkę, żeby na koniec zarzygać całą chałupę. To tyle co do sensowności parytetu bab. - Śmiejąc się, krzyknął do młodej kobiety: - Jak chcesz puszczać pawie, to przynajmniej noś przy sobie torebki na wymioty. To jest miejsce zbrodni.

Miriam rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, on jednak nie przestał się śmiać. Odsunęła ten problem na później. Teraz musiała się przyszykować na to, co ją czekało. Nie była to zwykła adrenalina, której doświadczała na każdym miejscu zbrodni, tylko coś innego.

Gdy tylko wsiadła do windy, a ta ruszyła w górę, ucisk w piersi zaczął się nasilać. Zdawało się, jakby cały budynek był pusty poza tym jednym mieszkaniem, w którym leżał nieboszczyk. A może chodziło o kobietę? Zapomniała zapytać o to Henriego.

W otwartych drzwiach windy ujrzała Rona.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

- Henri chciał koniecznie mieć tu kogoś z prokuratury.

- Nie wiem, czy powinnaś to oglądać - wymamrotał prawie bezgłośnie.

Wykonał rękoma bezradny gest. W tym ruchu zauważyła ledwie dostrzegalne drżenie. Co tu się, do cholery, działo? Jej wzrok skierował się na otwarte drzwi mieszkania i wtedy po raz pierwszy poczuła woń, która unosiła się w korytarzu.

Okej, teraz zobaczysz coś, co porazi cię aż do szpiku kości. Możliwe, że się rozbeczysz, że będziesz musiała puścić pawia, że...

- Ten widok - usłyszała głos Rona - jest naprawdę... dosłownie rzygać się chce. Koledzy stoją już w kolejce do kibla, dobrze się zastanów, czy na pewno chcesz tam wejść.

Już prawie nie słuchała, co mówił Ron. Wcisnął jej coś do ręki i westchnął:

- Weź przynajmniej to. Niewiele pomoże, ale zawsze coś.

Kątem oka rozpoznała piersiówkę, w której niewątpliwie znajdował się wysokoprocentowy alkohol. Krok za krokiem Miriam szła dalej. Nie, nie wahała się. Stąpała powoli, ale stanowczo. Nie mogła zawrócić, również dlatego, że w korytarzu wyszedł jej na spotkanie Henri.

- Przykro mi, że do ciebie zadzwoniłem. - To był jego dawny ton. Pobrzmiwające w nim zatroskanie i - czyżby to sobie wmówiła? - czułość zdenerwowały ją. Nie miała już do tego prawa. Dlatego jak najchłodniej odpowiedziała:

- Wykonuję tylko swoją pracę. Chodźmy.

Wziął ją pod ramię i popchnął do przodu, wprost w otwarte drzwi.

- Jestem za tobą - powiedział. - W razie, gdybyś mnie potrzebowała.

W pokoju panował półmrok. Przez szpary w żaluzji wpadały pojedyncze promienie słońca. Pomieszczenie wiało pustką, znajdował się tam tylko plecak. Nie było nawet żarówki pod sufitem.

Smród stał się nieznośny, czyniąc zgniliznę wręcz namacalną. Jakby gniło całe powietrze. Rozkładające się ciało pełne czerwi, brzęczące muchy, wszędzie

ekskrementy, uryna i kał.

Żołądek podszedł jej do gardła. Ron miał rację, nie można było powstrzymać mdłości. Natychmiast się im poddała. Torsje były gwałtowane. Miriam nie zdążyła nawet pomyśleć, gdy rogalik już opuszczał jej wnętrzności. Zatkąła ręką usta i zauważyła, że ktoś – Henri – podsunął jej pod twarz wiadro, do którego wypluła resztki pieczywa. Co dziwne, miała wrażenie, że w szoku jest tylko jej ciało, a nie ona sama. Zachowała w pełni klarowną świadomość i, gdy tylko w miarę zapanowała na swoim żołądkiem, węchem, drżeniem rąk i kolan, skupiła się na tym, co widziała.

Postać pod oknem. Coś bezkształtnego, ledwie widocznego w panującym tu półmroku.

– Dlaczego rolety oprócz tej jednej są wciąż opuszczone? – zapytała energicznie.

– Jeszcze nie daliśmy rady zabrać się do roboty.

– Dlaczego nie?

– Poczekaj, aż zobaczysz najgorsze.

– Co masz na myśli?

– Sama popatrz.

Miriam zrobiła krok w kierunku trupa, ale nie mogła niczego dojrzeć, jedynie domyślała się, w jakim stanie znajdowały się zwłoki. To rozedrgane ciało, którego nie można było już takim nazwać, przekształciło się przy udziale robaków w zielonkawą masę. Do tego jeszcze to natrętne brzęczenie much.

Czy o to Henriemu chodziło? To nic wyjątkowego, nic, czego jeszcze nigdy nie oglądała. Skąd więc to przerażenie, które wypełniało ten pokój?

– Boże, odsuńcie wreszcie żaluzje, żebym mogła coś zobaczyć – wyrzuciła z siebie.

Henri podszedł do okna, tymczasem Miriam nachyliła się nad trupem. Pomimo że podniósł tylko jedną żaluzję i tylko o zaledwie kilka centymetrów, wpadło do pokoju dość słońca, by oświetlony widok odepchnął Miriam.

Oparty o ścianę mężczyzna gapił się bowiem wprost na nią. Uśmiechał się. Nie, to nie był uśmiech. Tylko złośliwy grymas śmierci.

Usta. Szerokie wielkie usta na twarzy, która przestała już takową być. Tylko skóra, która rozkładała się na kościach policzkowych, żuchwie i nosie. Tym bardziej absurdalne wrażenie sprawiał ów uśmiech. Jak z parady Halloween. I oczy: dwie głębokie czarne przepaście.

– Co to jest? – zapytała przerażona Miriam.

– Co to jest? – Usłyszała za sobą głos Henriego. – Przyjrzyj się dokładnie.

– Dlaczego nie zamkniesz mu w końcu oczu? – zapytała.

– Bo nie mogę. Bo chcę, żeby każdy, kto wchodzi do tego pokoju, najpierw spojrzął mu w oczy, żeby wiedział, o co chodzi.

Miriam podeszła krok bliżej i dostrzegła to, co sparaliżowało Henriego, Rona i wszystkich kolegów, którzy naprawdę byli przyzwyczajeni

do najpotworniejszych widoków z miejsc zbrodni.

Ktoś zaszył nieboszczykowi usta. Toporne, nieporadne nakłucia. Wzdłuż warg ciągnął się zygzakowaty wzór wyszyty czarną grubą nicią. Groteskowy widok. Makabra: Ktoś zrobił to własnymi rękami, przekłuwając wargi ostrą igłą i systematycznie zeszywając usta, jakby były po prostu kawałkiem dermy.

- O Boże!

- Wiesz oczywiście, co to oznacza?

Miriam odwróciła się. Stał przed nią Henning Veit i wymownie na nią patrzył.

- Co to oznacza?

- Tych ust nie zeszyto po śmierci, tylko jeszcze za życia.

Gapiała się na niego z przerażeniem.

- Ale...

- Nie mógł jeść ani pić. Nie mógł mówić, a już na pewno nie był w stanie wezwać pomocy. Musiał oddychać przez nos.

Spojrzenie Miriam przeniosło się z powrotem na groteskową postać opartą o ścianę.

- I nie domyślasz się, kto to jest? - Ron stanął obok niej.

- Nie!

- Naprawdę go nie poznajesz?

Potrząsnęła głową.

- Nie przypominasz sobie Justina? Justina Brandenbura?

Miriam błyskawicznie uświadomiła sobie, co to oznacza: Helena Baarová i Justin Brandenburg. Dwie ofiary w ciągu jednego miesiąca. Znali się. Istniał między nimi związek. Nie tylko w życiu, lecz także w makabrycznym sposobie, w jaki umierali.

Henning Veit miał rację. Podpis nie był przypadkiem. Ten sprawca był okrutny. Bezwzględny. Bestialski. Lubował się w powolnym zadawaniu śmierci, inscenizował ból, nie znał litości.

- Znowu nie ma śladów, które wskazywałyby na walkę pomiędzy zabójcą a ofiarą - oznajmił Henri.

- Ale nikt nie da sobie zaszyć ust, nie broniąc się - sprzeciwiła się.

- Musiał go uśpić - wyjaśnił Ron.

- Kto odkrył ciało?

- Dozorca. Sąsiedzi uskarżali się na smród.

- Jak długo już tu leży?

- Dobre dziesięć dni - odparł Henri.

- Dlaczego nie wyszedł z mieszkania? Nie sprowadził pomocy? - krzyknęła oszołomiona.

- Dlaczego? Spójrz tutaj! - zawołał Ron.

Odwróciła się i dopiero teraz zauważyła kratę na ścianie.

- Co to znaczy?

- Przerobione ogrodzenie z budowy. Ten pokój stał się klatką, w której Justin Brandenburg powoli umierał. Nie miał szansy ucieczki.

PRAGA, ULICA HUSOVA

ŚRODA, 16 MAJA

20

Filip Černý wyprostował się w fotelu i odłożył na bok gazetę. Delektował się spokojem w mieszkaniu, wyobrażał sobie, jak wyglądałoby życie w pojedynkę. Może, gdy umrze stara Hodrova, mógłby przeprowadzić się do mansardy nad sklepem. Znudzony wlepił wzrok w telewizor, gdzie nadal leciała ulubiona audycja Pavla.

Sprawy się pokomplikowały. Było dwóch zainteresowanych: Lionel Rostenberg i Milan Hus. Sprzedający jednak przysyłał tylko zdawkowe odpowiedzi: Jeszcze nie nadszedł czas, żeby obwieścić światu prawdę.

Zrezygnował z zamiaru sprzedaży? Czyżby chciał podbić cenę? Filip Černý był skołowany. Nie wiedział, jak powinien zareagować.

Dawno już miał odwiedzić ojca, czekał jednak, by móc oznajmić mu sensację. Gdy już doprowadzi sprawę do szczęśliwego zakończenia. Milan Hus chciał koniecznie nabyć te manuskrypty. Czy mogło to oznaczać coś innego, niż że były autentyczne?

W małym antykwariacie na ulicy Benediktskiej w Pradze pojawiły się nieznane dotąd wersje dwóch opowiadań Kafki. Przez wiele lat leżały na strychu domu, w którym niegdyś mieszkał Max Brod.

No, tato, jak to brzmi? A twój syn to wytropił.

Prawdziwość manuskryptów potwierdza renomowany profesor Milan Hus z Uniwersytetu im. Goethego we Frankfurcie, jeden z największych znawców twórczości Kafki w świecie literaturoznawstwa. Jak ujął to w wypowiedzi dla prasy, odkryte wersje opowiadań są sensacją również pod względem treści. W przyszłości Kafka będzie musiał być interpretowany w całkowicie nowy sposób. Nie można go już postrzegać jako introwertycznego, wyciszonego autora, tylko jako pisarza, który przepowiedział epokę neurotyczną, erę agresji i przemocy.

Głowa Filipa pochyliła się do przodu. W półśnie pisał felietony do gazet, artykuły do poważnych naukowych czasopism. Może rzeczywiście nieźle by było, gdyby znalazca pozostał anonimowy. To nadałoby całej sprawie tajemniczości. Tajemnice miały swój urok. Przynajmniej przez jakiś czas. Dlaczego ten nieznajomy nie miał odwagi sam upublicznić tych manuskryptów? Nie, był przecież uzależniony od oceny ekspertów. Jeżeli Milan Hus uzna teksty za prawdziwe, nikt nie odważy się zaprzeczyć. A Hus - to przynajmniej było pewne - chciał koniecznie mieć te rękopisy. Bo niby dlaczego miałby codziennie dzwonić, żeby pytać, czy Filip zdołał skontaktować się z oferentem?

Ocknął się, zbudziła go przesadnie dramatyczna melodia, która towarzyszyła telewizyjnej zapowiedzi plotkarskiego magazynu *Bulevarny Kus*. Z irytacją spoglądał na dziewczynę, którą pokazywano na ekranie. Miała na sobie biały kostium baletowy i stała, przyjąwszy skomplikowaną pozycję. Chodziło o znaną

ponoć czeską tancerkę, o której jednak on, Filip, nigdy nie słyszał.

Ponownie zamknął oczy, chcąc wykorzystać czas, gdy Dora i Pavel byli jeszcze w mieście po sprawunki. Już prawie udało mu się zasnąć, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Co powiedział ten spiker?

Odszukał pilota i nacisnął klawisz regulacji dźwięku.

Pokazywano kolejne zdjęcie dziewczyny. Tym razem w krótkiej czerwonej sukience, nie dłuższej niż koszula. Tańczyła na mrocznej scenie, pośrodku której buchało sztuczne ognisko.

- Fotografia przedstawia Helenę Baarovą podczas spektaklu baletowego *Sacre du printemps* Strawińskiego w dwa tysiące drugim roku na deskach Opery Narodowej w Pradze - mówił spiker.

Helena Baarová. Nie, nie znał tego nazwiska.

- Tragiczna śmierć Heleny Baarovej - ciągnął prezenter - wstrząsnęła praską sceną baletową tym mocniej, że tancerka padła we Frankfurcie ofiarą seryjnego mordercy. Obiecująca artystka została zachłostana na śmierć, tańcząc przed swoim oprawcą.

Filip poczuł, jak krew odpływa mu z ciała. Palce mu drżały, gdy próbował jeszcze bardziej zwiększyć głośność.

- Ta straszliwa zbrodnia na pierwszy rzut oka nie ma nic wspólnego z morderstwem na Justinie Brandenburg. Student z Philipsburga, New Jersey, został w męczarniach zagłodzony na śmierć. Pomiędzy obydwoma sprawami istnieje jednak makabryczny związek. Obydwie ofiary mają na karku charakterystyczne oznakowanie. Sprawca wyrył na ciałach obu ofiar podpis. Według niepotwierdzonych źródeł chodzi ponoć o literę K.

Wyprostowany jak struna Černý nie odrywał oczu od ekranu, gdzie teraz nadawano wywiad z matką tancerki. Krzykliwie ubrana kobieta szczyciła się, że sama wykształciła córkę, czego Filip nie potrafił sobie wyobrazić w zestawieniu z gabarytami jej ciała.

- Wróciliśmy - rozległ się beztroski głos Pavla z przedpokoju.

Ktoś zachłostał dziewczynę na śmierć. A student? Zagłodzono go. Paralela do obydwu manuskryptów, które otrzymał, wydała mu się w tej chwili ewidentna. Zerwał się z fotela.

- Jesteś głodny? - zapytała Dora.

Nie odpowiedział.

- Co się dzieje?

Zignorował ją.

Teraz już nie chodziło o to, by dowieść, że chodzi o nieznane wersje lub szkice dwóch opowiadań. To stało się nagle nieważne. Liczyła się już tylko treść i to, że w obydwu manuskryptach, które przesłał mu nieznany nadawca, były opisywane morderstwa, które wykazywały frapujące podobieństwo z tymi we Frankfurcie.

- Dlaczego telewizor gra tak głośno?! - dobiegł go z oddali krzyk Dory.

I co z tym, jak nazwał to spiker, podpisem? Według niepotwierdzonych

źródeł chodzi ponoć o literę K – głos wciąż jeszcze dźwięczał mu w uszach.

K jako podpis? Czy to przypadek? Nie! Skoro obydwie manuskrypty były rzekomo wersjami dwóch spośród najważniejszych opowiadań Kafki, to ta cała zbieżność nie mogła być przecież dziełem przypadku, nieprawdaż?

Serce waliło mu jak młotem. Nie wiedział, czy to podniecenie, czy strach.

– Mówię do ciebie. – Przeraził się, widząc nagle obok swoją żonę. – Już nawet nie odpowiadasz na moje pytania?

– Muszę iść do sklepu.

– Teraz?

Odgłos zatraskujących się za nim drzwi skojarzył mu się z domkiem z kart, który się walił. Widział, jak rozsypują się karty, które z takim trudem ustawiał.

FRANKFURT NAD MENEM

CZWARTEK, 17 MAJA WNIEBOWSTĄPIENIE

21

Kiedy Miriam wróciła do domu, było około dziesiątej. Spędziła wieczór u ojca, gdzie musiała wysłuchać wielogodzinnych tyrad swojej siostry. Dom rodziców najwyraźniej się sypał. Sara szczegółowo wyliczała wszystkie defekty, aż Miriam doszła do wniosku, że trzeba tę szeregówkę wyburzyć. Jakby tego było mało, siostra zapytała jeszcze, czy mógłby się tym zająć Henri.

Boże, jakie znaczenie miało to, że odpadał tynk z fasady albo że kominek był nieszczelny? Na myśl o gruntownym remoncie i o tym, jak zniósłby to ojciec, przechodziły ją ciarki. Jak długo tato jeszcze pożyje?, zapytała szeptem. Wyrzuty sumienia gryzły ją jednak niczym polne myszy, które dostawały się ponoć do domu przez piwniczne drzwi.

Problemy. Sara ich potrzebowała. Teraz, kiedy zatrudniły pomoc, rzetelną opiekunkę, która przez całą dobę troskliwie zajmowała się ich ojcem, siostra Miriam szukała nowych wyzwań, przy których mogłaby się wykazać swoją zaradnością.

Miriam położyła torbę na komodzie w przedpokoju i rzuciła płaszcz na szafkę z butami.

Markotnie ruszyła do pokoju dziennego, gdzie włączyła telewizor i zmęczona klapnęła na sofę. Nie powinnam była mówić tego Sarze, pomyślała. Kurka wodna, nie mam czasu na ten cyrk. Z drugiej strony oznaczało to przyjemną ciszę w eterze w ciągu najbliższych tygodni.

O zatrzymaniu Milana Husa usłyszała, gdy zapadała w drzemkę. Natychmiast całkowicie oprzytomniała i wzburzona przełączała telewizor z jednego kanału na drugi, bo wszędzie powtarzano to samo: renomowany profesor literatury Milan Hus został oskarżony o zamordowanie czeskiej tancerki Heleny Baarovej i studenta Justina Brandenburga.

Relacje mówiły same za siebie. Media bezlitośnie i z wyraźną lubością pławiły się w okrutnych szczegółach ubiczowania tancerki i okropnego zagłodzenia utalentowanego studenta, który pisał wiersze. Sam zaś Milan Hus przedstawiany był jako biseksualny profesor, który uwodził swoich studentów.

Musiały się pojawić nowe dowody, których Miriam nie знаła. Kellermann nie mógł podjąć takiej decyzji bez wystarczających podstaw, bez szczególnych podejrzeń o popełnienie zbrodni.

Telefon odnalazła na sofie, pod stertą niezliczonych pustych opakowań DVD. Wybrała numer Rona i już chciała się rozłączyć, gdy zgłosiła się zdyszana Berit.

- Miriam? - Berit zareagowała zaskoczeniem, ale najwyraźniej jeszcze nie spała. Jej głos brzmiał przytomnie i świadczył o dobrym nastroju.

- Muszę natychmiast pogadać z Ronem.

Zapadło kłopotliwe milczenie, tymczasem w tle usłyszała głośną rozmowę, a potem śmiech.

- Przeszkadzam? Macie gości? - zapytała.

- Chwileczkę, zawołam Rona.

- Czy jest u was Henri?

- Czy ty nie chcesz...?

- W porządku, powiedz Ronowi, że muszę z nim pilnie porozmawiać.

Miriam była pewna, że usłyszała głos Henriego, co boleśnie ją ukłuło. Wezwał ją na miejsce zbrodni, pokazał ciało Justina Brandenburga, a teraz nawet nie uznali za konieczne, by ją powiadomić o tym, że Milan Hus został osadzony w areszcie śledczym.

- Kim ja dla was jestem? - Eksplodowała z wściekłością, gdy tylko zgłosił się Ron. - Tylko kimś, kto wypełnia instrukcje policji kryminalnej? Zawsze myślałam, że jest chyba odwrotnie. Nie będę waszą dziewczyną na posyłki i gównu mnie obchodzi, co powie na to Hillmer. Nie możecie mi tego robić.

- Uspokój się, Miriam...

- Aresztowaliście Milana Husa? Dlaczego? Jakie macie dowody?

- Kellermann ci to jutro...

- Teraz, chcę to wiedzieć teraz...

- Nie prowadzisz tej sprawy!

- Ron, nie wyjeżdżaj mi tu z formalnościami. Widziałam ciało Heleny Baarovej. Wciąż widzę ten okropny uśmiech Brandenburga. Chciałabym wiedzieć, co jest grane.

- Pojawiła się nowa okoliczność.

- Jaka nowa okoliczność?

Ron nie udzielił odpowiedzi, zamiast niej usłyszała krótką dyskusję w tle i zaraz potem głos Henriego w słuchawce.

- Miriam?

Poczuła, jak wszystko się w niej skręca, ale nie, nie okaże mu swojego rozczarowania.

- Na podstawie jakich dowodów aresztowaliście Milana Husa?

- Porozmawiajmy o tym jutro. Jest już późno.

- Nieważne, która jest godzina.

- Miriam, pogadaj z Kellermannem. Nie mogę ci tego przez telefon...

Rozłączyła się, zanim Henri zdołał dokończyć. Wkurzona rzuciła telefon w kąt sofy, skąd się odbił i z pełnym impetem huknął o parkiet, tak że wypadły z niego baterie. Była wściekła. Cholernie wściekła. Do głosu doszła agresja, która przez cały wieczór zbierała się podczas męczącej dyskusji z Sarą.

Czyli siedzieli sobie tam razem, gawędzili, śmiali się. O, tak, naturalnie, z niej. Nie była naiwna. Jej osoba nie podlegała immunitetowi.

Żaden z nich nie uznał za konieczne, żeby powiadomić ją o aresztowaniu Husa. Oczywiście nie musieli. Nie prowadziła tej sprawy. Nadawała się co najwyżej do odwalania ohydnej czarnej roboty na miejscu zbrodni i pisania szczegółowego raportu dla Kellermanna.

Spławił ją nie tylko Henri, lecz także Ron i Berit. A ona uważała ich

za przyjaciół.

FRANKFURT NAD MENEM

PIĄTEK, 18 MAJA

22

Drzwi w Sądzie Krajowym nie były dźwiękoszczelne. Miriam stała pod drzwiami Kellermanna i słyszała, jak rozmawia przez telefon. Nie pukając, weszła, cisnęła torbę na jego biurko i w demonstracyjnej pozie obronnej skrzyżowała ręce na piersi. Jej wściekłość jednak szybko opadła, gdy zauważyła mizerny wygląd prokuratora. Kellermann sprawiał wrażenie, jakby nie spał całą noc. Wyglądał na zmachanego, a na jego twarzy malował się zamęt. Wyczerpanym głosem oznajmiał właśnie rozmówcy:

- Nie mam w tej sprawie nic więcej do powiedzenia.

Nastąpiła dłuższa przerwa, po której osoba po drugiej stronie dalej przekonywała Kellermanna, aż wreszcie ten bezsilnie odparł:

- Musi się pan z tym pogodzić.

Przez chwilę jeszcze niecierpliwie słuchał, zaciskając palce wokół długopisu tak mocno, że aż pobielwały mu kostki.

- Ja już podjąłem decyzję.

Rozłączył się i drżącą ręką nerwowo przetarł twarz.

Miriam badawczo się mu przyglądała. Jej gniew, który żywiła przez całą bezsenność, uleciał w jednej chwili. Zastąpił go ból głowy. Twarz Kellermanna sprawiała ponure wrażenie. Był chory. Darzyła go szczególną sympatią, bo w starciach z Hillmerem regularnie stawał po jej stronie. Gdy za rok przejdzie na emeryturę, znacznie osłabi to jej pozycję w sądzie. Poza tym podziwiała jego spokojną wyniosłość. Miriam sama chciałaby mieć takie opanowanie. Kellermann zawsze powtarzał: „Na to jesteś jeszcze za młoda, dziewczyno. To kwestia wieku, a nie woli”.

- Coś nie tak? - zapytała teraz. - Jakieś kłopoty rodzinne?

Potrząsnął głową, potem powoli się podniósł i obszedł stół, by się z nią przywitać. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego i zdruzgotanego. Gestem wskazał jej krzesło, potem wrócił na swoje miejsce i usiadł.

- Kiedyś jest koniec - powiedział. - I trzeba zaakceptować, że osiągnęło się limit, że nie można już znieść tego wszystkiego, że traci się umiejętność rozróżniania tego, co właściwe, a co błędne.

Zmieszana Miriam usiadła. Nigdy jeszcze nie widziała Kellermanna w tak beznadziejnym wydaniu.

- Ale ty... - popatrzył na nią stanowczo - ty nie dotarłaś jeszcze do granic swoich możliwości. I nawet chcesz brnąć dalej i je sprawdzać. Wiesz, że ci tego zazdrościć?

Miriam pokręciła głową.

Skinął.

- Tak, naprawdę. Takich ludzi jak ty jest zbyt mało, zwłaszcza w wymiarze sprawiedliwości, gdzie wszyscy wyobrażają sobie, że są półbogami. - Roześmiał

się. – A przy tym to tchórze, którzy podkulają ogon przed Hillmerem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Miriam, nic nie rozumiejąc, potrząsnęła głową.

Gdy ciągnął dalej, głos mu trochę drżał:

– Owszem, przyznaję, że czuję się stary. Nie mogę odczytać drobnego druczku w umowach i już nie pierwszy raz błędnie zacytowałem nazwisko z akt. Nie przejmuję się też tym, że w sali sądowej potrzebuję aparatu słuchowego, by śledzić zeznania świadków. Tymczasem... każdy telefon prowadzących dochodzenie przeraża mnie, na widok zdjęć z miejsc zbrodni oblewają mnie siódme poty... – Pokręcił głową. – Znasz sprawy, które w ciągu tych wszystkich lat trafiały na moje biurko. Prostytutki w sierpniu dziewięćdziesiątego czwartego. Pięć zastrzelonych kobiet. – Zamilkł na chwilę. – Naprawdę wszystko już widziałem, wszystko przeżyłem, myślałem, że nic więcej nie zdoła mnie przestraszyć. A jednak...

– Do czego zmierzasz?

Wahał się, nabrał głęboko powietrza.

– Mieliśmy wczoraj telefon z Pragi.

– Telefon?

– Właściciel antykwariatu. W czeskich wiadomościach usłyszał o śmierci Heleny Baarovej i Justina Brandenburga.

– I?

– Potem przesłał nam to!

Kellermann wyjął z teczki kilka kartek, które podał jej nad biurkiem. Miriam rzuciła na nie okiem, przeczytała pierwsze słowa.

Sędzia przeraził się na widok bladej twarzy głodomora, straszliwie wystających żeber i tego zamroczonego spojrzenia, które zdawało się wydobywać z głębin jego duszy.

– Co to ma być?

– Czytaj dalej!

W pokoju zapadła cisza, tymczasem Miriam usiłowała odnaleźć sens w tym, co czytała. Dopiero z czasem zaczęło do niej docierać, że ten tekst ujawnia głębokie okrucieństwo. W jego słowach znalazła swój wyraz owa niesamowitość, atmosfera nierealności, która wisiała w powietrzu od śmierci Heleny Baarovej.

Będą płakali, nie wiedząc dlaczego.

Na to sędzia skazał żyjących.

Życie bowiem jest karą, nie śmierć.

Gdy przeczytała do końca, nabrała głęboko powietrza, milczała parę sekund i w końcu zapytała:

– Co to ma wspólnego z zatrzymaniem Husa?

Kellermann podniósł rękę.

– Obok ciała Heleny Baarovej leżała książka Kafki. Była otwarta w pewnym miejscu, co uznaliśmy za przypadek.

Przypadek, powiedział Henri, to tylko splot luźnych wątków akcji, których związek wydaje się nam niewytłumaczalny.

- Pamiętam - kiwnęła głową Miriam. - Chodziło o jedno z jego opowiadań.

- Dokładnie. Tytuł brzmi *Na galerii*.

- I co w związku z tym?

- Taką samą książkę znaleźliśmy również na miejscu zbrodni obok Justina Brandenburga. Tyle że tym razem otwarta była w innym miejscu, a mianowicie na opowiadaniu *Głodomór*.

- *Głodomór*? - Miriam nigdy tego tytułu nie słyszała, ale czy kiedykolwiek przeczytała jakiś utwór Kafki?

Kellermann przez chwilę zwlekał, potem rozparł się w fotelu.

- Facet w cyrku każe się zamknąć w klatce i dobrowolnie zagłada na śmierć. Tak to można streścić.

Miriam stopniowo pojmowała. Te opowiadania i morderstwa były ze sobą w jakiś sposób powiązane, a łączący je element musiał prowadzić do Milana Husa.

- Ale co to ma wspólnego z Milanem Husem?

- Sprezentował tę książkę zarówno Helenie Baarovej, jak i Justinowi Brandenburgowi i wpisał im następującą dedykację: „Miłość polega na tym, że...”.

Miriam przerwała Kellermannowi, kończąc cytat:

- „Jesteś dla mnie nożem, którym przeszywam siebie”.

Nie zapomniała. Weszła tego ranka do gabinetu Kellermanna, by wyrzucić z siebie gniew, tymczasem została skonfrontowana z nieoczekiwanym zwrotem wydarzeń. Powinna była to wiedzieć. Kellermann nie był prokuratorem, który pochopnie ogłaszał kogoś podejrzanym o popełnienie zbrodni. Kimże była, by stawiać go pod pręgierzem?

- Obydwa zdarzenia wykazują paralele do opowiadań Kafki i w tym upatrujecie wskazówek, że to Milan Hus?

Kellermann przygładził brew palcem wskazującym prawej ręki.

- Na krótko przed śmiercią Heleny Baarovej i Justina Brandenburga podesłano Filipowi Černemu, właścicielowi małego antykwariatu gdzieś na małej praskiej uliczce, rzekomo autentyczne manuskrypty Kafki. Były to ponoć nieznanne dotąd wersje wspomnianych opowiadań. Černý natychmiast zaoferował pierwszy rękopis Milanowi Husowi, ten jednak kategorycznie oznajmił, że to falsyfikat.

- No widzisz!

Kellermann podniósł rękę.

- Wkrótce potem Hus zadzwonił do Černego i koniecznie chciał kupić ten manuskrypt.

- Dlaczego zmienił zdanie? - zapytała Marion.

- Nie mam pojęcia, ale nie to mnie martwi. Sprawy pokomplikowały się jeszcze bardziej, niż myślisz. Obydwa manuskrypty wysłano za pośrednictwem

adresu mailowego, który, jak ustalili nasi technicy, należy do Husa.

Miriam wykonała gwałtowny ruch i uderzyła ręką w stertę akt, przewracając ją. Kellermann nadaremnie usiłował powstrzymać rozsypujące się papiery.

- Rozmawialiście o tym z Milanem Husem?

- Jasne. Od razu.

- I co?

- Odmawia składania zeznań.

- Ma do tego prawo. Nie musi pogarszać swojej sytuacji. Co na to jego adwokat?

- On nie chce adwokata.

W gabinecie nie było zegara, ale Miriam usłyszała jego tykanie. Głośne i wyraźne.

- Nie wierzę. - Pokręciła głową, nic nie rozumiejąc.

- Takie są fakty - odparł Kellermann.

- To wszystko czyni Husa podejrzanym, ale czy to naprawdę wystarczy, by uzasadnić wydanie przez ciebie natychmiastowego nakazu aresztowania? Czy przeprowadzono rewizję w jego domu?

- Wczoraj wieczorem.

- Znaleźliście maile albo manuskrypty?

Kellermann potrząsnął głową.

- Nie, ale koledzy zarekwirowali twardy dysk i laptopa. Obydwa urządzenia są teraz u techników.

Kellermann podsunął jej teczkę z aktami.

- Wszystkie tropy prowadzą do Milana Husa. Przejrzyj to sobie na spokojnie. Wiem, że potem i tak powiesz, że te dowody nie wystarczają. Znaleźliśmy jednak jeszcze coś. I to naprawdę mnie smuci. Justin Brandenburg miał na karku ten sam podpis co Helena Baarová. Kartkuj dalej, to zobaczysz kopię.

Przerzuciwszy kilka stron, natknęła się na białą kartkę, na której widniał czarny znak. Utkwiła wzrok w ilustracji.

- To krzyż, prawda? - zapytała w końcu.

- Nie.

- A jak myślicie, co to jest?

- A co ty myślisz?

Miriam od razu wiedziała, co ma przed oczyma. Uświadomiła to sobie natychmiast, bo taka była logika tej historii.

- K. K jak Kafka?

Kellermann skinął głową.

- Veit mówi, że za pierwszym razem sprawca jeszcze wprawiał się w podpisie. Niełatwo jest, nawet przy użyciu ostrego noża, wyciąć w skórze literę. Ludzka skóra to nie pergamin. Za drugim razem jednak udało mu się idealnie.

- Ale nie rozumiem, dlaczego ten podpis ma być dowodem, którego można użyć przeciw Husowi.

- To proste! Nie mogę ryzykować. Nawet jeżeli istniejące poszlaki nie wystarczają, by mówić o uzasadnionym podejrzeniu, to ten podpis i manuskrypty dają podstawy do podejrzenia wstępnego. Muszę zakładać stwarzanie zagrożenia dla zdrowia lub życia osób trzecich i dlatego wydałem nakaz aresztowania. Mamy do czynienia z psychopata. Być może wybrał już następną ofiarę.

Dokładnie to samo przepowiadał Henning Veit.

- Rozmawiałeś z Hanną Roosen? Zasięgnęliście opinii zespołu psychologów?

- Dziś wysłałem im akta.

- Powinieneś to zrobić na samym początku!

- Nie mów mi, jak mam pracować.

- Skoro sam nie wiesz...

Kellermann podniósł się i spojrzał na nią. Co dziwne, nie zdawał się dotknięty tymi zarzutami.

- Więc sama to zrób.

- Co?

- Przekazuję ci tę sprawę.

Kellermann spakował torbę i sięgnął po kurtkę.

Miriam też wstała.

- Ale Hillmer...

- Już to załatwiłem. Nie będzie ci wchodził w paradę. Każę przenieść te akta do twojego gabinetu. - Wskazał rozsypaną stertę papierów na swoim biurku. - Teraz należą do ciebie.

Nie, nie mogła uwierzyć, że Kellermann naprawdę odchodzi. On jednak był już w drodze do drzwi, przy których ponownie się zatrzymał.

- Przekonasz się, że materiał dowodowy jest bardzo liche, ale nie miałem wyboru, musiałem zamknąć Milana Husa w areszcie śledczym.

- Dlaczego?

- Bo Kafka nie napisał tylko dwóch utworów. Fantazja nie ma granic, rozumiesz? To jedyny ludzki zasób, który jest niewyczerpany. Musisz liczyć się z kolejnymi morderstwami.

Chwilę później Miriam pozostała sama. Przytrzymała się krzesła, patrząc na otwarte drzwi i czując, jak ból głowy przekształca się w kleszcze, które opinają jej skronie.

No to mam za swoje, pomyślała. Bo nie potrafię dać sobie spokoju z testowaniem granic własnych możliwości. Nie mogę sobie wmawiać, że tylko ja dostrzegam niepojętą arogancję będącą źródłem obu tych morderstw.

Wyprostowała się, zebrała akta z biurka i już stojąc w drzwiach, jeszcze raz się odwróciła. Może Kellermann i Hillmer mają rację, a ja się myślę co do Husa. Skoro jednak nie mogę już ufać sobie i nie znam się na ludziach, to jak mam dalej pracować?

Opierając się o okno w gmachu sądu, Henri patrzył Miriam prosto w twarz.

Podczas gdy uważnie słuchał jej słów, jego spojrzenie było zarazem stanowcze i zamyślane. Od wielu tygodni po raz pierwszy prokurator miała wrażenie, że coś dla niego znaczy. Naszło ją pragnienie, by dotknąć jego dłoni i oprzeć czoło na jego ramieniu.

Zapach jego wody kolońskiej, jego wargi tuż przy jej ustach, nieogolona broda, uścisk...

Wzięła się w garść, odwróciła się i popatrzyła w głąb długiego korytarza, gdzie Ron chodził nerwowo tam i z powrotem, rozmawiając przez telefon z Berit. Chyba jedno z dzieci było chore.

- Tak, rozumiem, że Milan Hus jest jedyną osobą, która miała jakiś związek i z Heleną Baarovą, i z Justinem Brandenburgiem.

Henri znużony skinął głową.

- Z Brandenburgiem łączył go na pewno seks.

- Ale nie z Heleną Baarovą.

Wzruszył ramionami.

- Może nie pozwalała mu się do siebie zbliżyć. W każdym razie u niego mieszkała. I dlaczego on odmawia zeznań? Uparcie milczy. Nie mówi nawet, że jest niewinny.

- Nie jest kimś, kto robi, czego od niego oczekują. Jest inny.

- Czego chcesz? Żebyśmy go wypuścili, bo to geniusz? Jeżeli szaleństwo geniusza bywa motywem, to powiedziałbym, że Hus na pewno jest sprawcą - roześmiał się gorzko Henri.

- Szaleństwo? Co masz na myśli?

- Powinnaś posłuchać, co mówią jego koledzy. On najwyraźniej dał się ponieść swoim teoriom. Kafka psychopata. Jego twórczość jako fantazje o przemocy niespełnionego seryjnego mordercy. - Parsknął ironicznym śmiechem.

- Ale... - Miriam szukała właściwych słów. - Owszem, on chce tym prowokować, ale to jeszcze nie oznacza, że urzeczywistnia rzekome fantazje Kafki.

Henri przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

- Obydwa morderstwa odpowiadają jednak fantazjom o przemocy w prozie Kafki. A miejsca zbrodni zostały zainscenizowane na podstawie jego opowiadań.

Kolega, który ich mijał, posłał im ciekawskie spojrzenie. To potwierdzało przypuszczenie Miriam, że ultimatum Henriego stało się już tajemnicą poliszynela.

- Wejdźmy do mojego biura - poprosiła.

Henri podążył za nią. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, oznajmił z przekonaniem:

- Wiesz przecież, że niektórzy ludzie są urodzonymi aktorami. Kłamią, zwodzą, mydlą oczy. Nikt nie uwierzyłby, że mogliby zabić człowieka. Hus jest kimś takim. Uwierz mi, coś z nim jest nie tak. Zapominasz, że jego żona popełniła w Pradze samobójstwo. A wiedziałaś, że on nawet nie pojechał na jej

pogrzeb? No i dlaczego milczy?

- Milczenie nie oznacza przecież od razu kłamstwa.

- Pamiętaj, że mamy dowody: maile, klucz do mieszkania Heleny Baarovej i brak przekonującego alibi.

- Ale to zbyt oczywiste! - zawołała.

- Czy dlatego nie wchodzi w rachubę jako sprawca?

- Dokładnie tak.

- Co jest grane, Miriam? - Henri zaśmiał się ironicznie. - W takim razie nie musimy już wzywać ekipy od zabezpieczania śladów. Poza tym jest jeszcze coś: tego wieczoru, gdy zamordowano Helenę Baarovą, widziano Husa w pobliżu miejsca zbrodni.

- Kto go widział?

- Alex.

- Alex? - powtórzyła Miriam. - On widział mężczyznę w kapeluszu i czarnym garniturze! To ćpun. Miewa halucynacje.

Henri potrząsnął głową.

- Mówię ci, Hus to uwodziciel. Otacza się wybranymi studentami niczym jakiś przywódca sekty. Lista lektur obejmuje tylko pozycje z biblioteki Kafki, książki, które posiadał Kafka. Cała reszta jest zakazana. Seminaria odbywają się wieczorami. Często u niego w domu. Wtedy czytuje im na głos Kafkowskie teksty w... uważaj... czarnym garniturze i tym osobliwym kapeluszu. Coś ci świta? Pan Tau! Już same tematy tych tajnych kompletów: „Metody tortur w twórczości Kafki”, „Pisarz jako sędzia”, „Mroczna strona opowiadań Kafki”, „Zło przyczajone w fantazji”, „Fantastyczne zbrodnie”, „Zabójcze umysły”, „Radykalne zło”. Nie widzisz związku?

- Nie, nie widzę. To przecież wszystko spekulacje, i to szyte grubymi nićmi. Że też akurat ty przy tym obstajesz! Mordercy, zwłaszcza ci seryjni, cieszą się dużą popularnością w świecie ludzkich fantazji. Hus wykorzystuje ten temat, by zrobić na nim karierę. Może to i populistyczne podejście, może nie, ale nie musi od razu oznaczać, że sam jest sprawcą.

Henri milczał kilka minut, zanim odparł:

- Hus siedział już kiedyś w więzieniu.

- Tak, czytałam akta. To było całe lata temu i miało tło polityczne w zbrodniczym systemie. To przemawia akurat na jego korzyść.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Ron. Najwyraźniej słyszał ostatnie słowa Miriam, bo zapytał:

- Co ty w nim właściwie widzisz?

- Sugerujesz, że daję się zwodzić uczuciom?

- Nikt nie ma wypisane na czole, że jest mordercą. Wiesz, co mawiają psycholodzy kryminalni. Przestępcy to całkiem zwyczajni ludzie, jak ja albo ty.

- Ach, daj sobie spokój z tymi dyrdymałami - syknęła Miriam - nie mogę ich już słuchać. Jeżeli każdy z nas w najgłębszych zakamarkach swojej duszy mógłby stać się mordercą, Hillmer już dawno wachałby kwiatki od spodu.

Własnoręcznie bym go udusiła, zastrzeliła, zadźgała, zabiła. I możecie mi wierzyć, ja dokładnie wiem, jak zaciera się ślady.

- No widzisz... - zauważył ironicznie Ron.

- Ale tego nie robię. To jest ta mała różnica. My tego nie robimy. - Podniosła się z krzesła, chciała przejść się tam i z powrotem, ale jej biuro było za małe. Znowu usiadła.

- Dlaczego ufasz Husowi? Bo przepuszcza cię w drzwiach? Prawi komplementy?

Sarkazm Rona doprowadził Miriam do prawdziwej pasji.

- Dlaczego Milan Hus miałby być taki głupi i serwować nam siebie na srebrnej tacy? Przecież jest na coś takiego zbyt inteligentny.

- Może chce przejść do historii. Dostać Nagrodę Nobla... - spekulował Ron.

- Za morderstwa nie dają Nobla - prychnęła.

- Albo próbuje dostarczyć ostateczny dowód - zauważył spokojnie Henri.

- Jaki dowód?

- Na potwierdzenie swojej rewolucyjnej teorii, że Kafka nie był skrupowanym, zmieszanym, nadwrażliwym pisarzem, za którego wszyscy go uważają, tylko psychopata...

- Psychopata... - przerwała mu Miriam. - Psychopata jest dziś przecież każdy.

Henri nie dał się jednak zbić z tropu.

- Że Kafka nie był zakompleksionym, zmieszanym, nadwrażliwym pisarzem, za którego wszyscy go uważają, tylko psychopata, człowiekiem targanym napadami agresji, niezdolnym do miłości, przepełnionym podświadomą nienawiścią. W zasadzie, jak pisze w jednym ze swoich artykułów Hus, to ekscentryczny pomylenie, którego utwory pozornie nie mają sensu. - Wydobył z kieszeni cienki zeszyt i zacytował: - „W Kafkowskim świecie czytelnik czuje się zagubiony w surrealistycznym świecie koszmarów, który uzmysławia mu jego własną absurdalną błałość. Nikt nie potrafiłby tak chłodno i szczegółowo opisać tego straszliwego przeświadczenia w takim opowiadaniu jak *Kolonia karna*, gdyby nie czuł w sobie tego chłodu”.

Miriam chciała zaproponować, ale Henri uciszył ją gestem.

- Przejrzałem te opowiadania Kafki, przeczytałem fragmenty jego dzienników... i szczerze mówiąc, dostrzegam w nich jakąś chorobliwą fantazję.

- Co Hus ma z tym wspólnego?

- Semestr w semestr profesor daje każdej grupie seminaryjnej tę samą listę lektur. Na tej liście znajdują się tylko książki, które posiadał i czytał Kafka. Dokładnie ten księgozbiór Hus próbuje zrekonstruować, gromadząc odpowiednie oryginalne wydania. Te zaś przeważnie nabywał za pośrednictwem antykwariatu Černego w Pradze. To ten sam księgarz, któremu zaoferowano mailowo manuskrypty.

- Od kiedy to specjalizujesz się w literaturze? Przecież czytujesz co najwyżej to swoje czasopismo wędkarskie „Ryba i Haczyk”!

- Żaden normalny człowiek czegoś takiego nie robi. - Henri nachylił się do przodu i spojrzał Miriam w oczy. - Nawet seryjny morderca. Przykro mi, ale jak sama widzisz, to są czyny intelektualisty, który intensywnie zajmował się Kafką.

- Czy to koniec twoich punktów oskarżenia? - zapytała Miriam, a gdy Henri nie odpowiedział, ciągnęła dalej: - Odwaliłeś naprawdę kawał solidnej roboty. Nic z tego jednak nie nadaje się na dowód przed sądem.

W gabinecie zapadła na chwilę cisza.

- Hus nie uznał pracy magisterskiej pewnego studenta, bo ten w swojej pracy zacytował literaturę sekundarną spoza świętej listy. Chłopak z tego powodu nie zdał.

- Jak nazywa się ten student? - zapytała w końcu Miriam. - I dlaczego nie zaskarżył Husa?

- Dlaczego? - Henri nachylił się do przodu. Tak blisko niej nie był od wielu tygodni. Miriam poczuła mrowienie.

Te jego dłonie, które pieściły jej ciało.

Nie pora na to. Nie to miejsce.

- No właśnie chcę ci powiedzieć dlaczego. Bo potem Sebastian Wolff próbował popełnić samobójstwo, skutkiem czego wylądował na kilka miesięcy w szpitalu psychiatrycznym.

- Sebastian Wolff? Tak nazywa się ten student?

- Tak. Poza tym Milan Hus sypiał z Justinem Brandenburgiem.

- To już wiem.

Ron uniósł ręce.

- Nie żeby podrywał wszystkich słuchaczy bez względu na płeć, i mężczyzn, i kobiety. On się przystawia do studentów, rozumiesz? A ci, którzy okażą przychylność, otrzymują, jak głoszą plotki, lepsze oceny.

- To jest powszechnie wiadome - dodał Henri.

Miriam pokręciła głową. Nie wiedziała już, co myśleć.

- Sprawcą mógłby być równie dobrze któryś z jego studentów. Na przykład ten Sebastian. Mówiłeś, że był w szpitalu psychiatrycznym. Albo Olivier? Do niego wszystko pasuje tak samo, jak do Husa. Miał dostęp do jego komputera. Zajmuje się Kafką. Może był zazdrosny o Helenę albo Justina.

Ron rzucił Henriemu spojrzenie, które momentalnie zaniepokoiło Miriam.

- Co? - zapytała.

- Był już karany - powiedział Henri, ociągając się.

- Kto?

- Paul Olivier.

- Karany? Za co?

- Ciężkie obrażenia ciała.

- Dlaczego nie ma nic o tym w aktach?

- Bo to nowa wiadomość. Również dla nas.

- Czemu więc Milan, a nie Paul Olivier?

- Bo dowody obciążają Milana Husa. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Jeżeli Hus pozostanie w areszcie śledczym, będziemy mogli prowadzić dochodzenie tylko w tym kierunku. A co, jeżeli się mylicie? Nie mogliście po prostu kazać go śledzić?

Nie, Miriam nie umiała odpuścić. Chciała sprzeciwić się Henriemu. Zranić go. Urazić jego ego. Obalić jego przewagę.

- Niczego nie wiesz - odparł Henri i wstał. - Prowadzisz tę sprawę dopiero od godziny, a już znowu odwracasz kota ogonem.

- Nieważne, jak długo się tym zajmuję, ale nie ustąpię: uwierzę w to, że Milan Hus jest sprawcą, dopiero wtedy, gdy zdołasz mi to udowodnić.

24

Jess postanowiła pójść do sądu piechotą. Wiał ciepły wiatr, a gdy z turkotem mijał ją tramwaj, kurz uliczny wzbił się w powietrze tak gęsto, że zaczęła kaszleć. Przed pójściem na, jak to nazywała, dyżur, będzie musiała znowu wziąć prysznic. Wciąż próbowała zmienić swoje życie, ale jej się to nie udawało. Zarabiała lepiej, niż sprzątając. Potrzebowała pieniędzy, by spłacać długi byłego męża, za którego kiedyś poręczyła i który jeszcze dziś czasami ni stąd, ni zowąd, pojawiał się, by coś od niej wyłudzić. Poza tym mijał jeden cholerny rok za drugim, a ona wciąż sobie powtarzała, że już i tak za długo w tym zawodzie nie powojuje. Musiała więc w końcu kiedyś dać sobie samej odprawę.

Już z daleka widziała, jak ludzie tłumnie opuszczają gmach. Fajrant. Wpół do piątej. Miała nadzieję, że nie przyszła za późno. Niepewnie zatrzymała się przed głównym wejściem.

Długo się przedtem zastanawiała, co zrobić. Kto będzie miał z tego jakiś pożytek, jeśli ona opowie, co wie? Nikt! A już na pewno nie pomoże to Helenie, która jako jedyna się w tym wszystkim liczyła. Ale gdzieś w głębi serca Jess nie dawało spokoju to poczucie winy. Drobne ukłucia niczym szpileczki. Czy mogła zapobiec śmierci Heleny? Nic nie wskazywało na to, że miała umrzeć.

Powietrze było suche i duszne. Przyglądziwszy spódnicę, Jess sprawdziła, czy jej pachy nie śmierdzą potem. Podwiązki jej cienkich czarnych pończoch lepiły się do ud jak taśma klejąca. Wieczorem na pewno będzie miała znowu wysypkę. Już teraz czuła znajome swędzenie. Trzeba przepchnąć tę sprawę.

Portier nie zareagował, gdy zagadnęła go przez okienko. Siedział na krześle z telefonem przy uchu i choć patrzył w jej stronę, ani drgnął.

Chroniczny paraliż urzędników, zdiagnozowała Jess. Dożywotni niedowład. Zniecierpliwiona zastukała w szybę. To przecież oni chcieli czegoś od niej, a nie na odwrót.

Dalej się nie ruszał. Napotkała tylko jego znużone spojrzenie.

Okej, nie to nie. Odwróciła się i stanowczo ruszyła w stronę schodów. Jakoś sama się dowie, gdzie znaleźć tę prokuratorkę.

- Ej - usłyszała w końcu głos portiera za sobą - nie może pani tak po prostu...

Już miał swoją szansę. Zrezygnowała z jego pomocy. Jej buty stukały

na kamiennych stopniach, gdy pośpiesznie wchodziła na górę, aż ktoś zatrzymał ją na półpiętrze.

- Czego pani tutaj szuka?

To był jeden z tych gliniarzy, z którymi rozmawiała, a dokładniej mówiąc, ten wysoki blondyn. W ostatnich latach przyzwyczaiła się do zapomniania nazwisk mężczyzn, bo nie miały dla niej znaczenia.

- Jestem umówiona.

Chciała porozmawiać z prokuratorem w cztery oczy.

- Umówiona? Z kim?

Przyglądał się jej nieufnie, ale najwyraźniej nie należał do tych, co mają świra na punkcie kontrolowania wszystkiego. Świadczyło o tym to, że nie nosił koszuli w spodniach. Na pewno podejrzewał, do kogo szła, w chwilę później jednak jego komórka rozdzwijała się melodią, która wydała jej się znajoma.

- Aha - uśmiechnęła się wyniośle - *I can get no satisfaction*. Zajrzyj do mnie kiedyś. Zaczynam dyżur, gdy kończycie pracę.

Ale on jej nie słuchał. Całkowicie skupił się na rozmowie telefonicznej. Najwyraźniej chodziło o jakiś napad w metrze.

Skoro biuro prokuratora znajdowało się na samym końcu długiego korytarza, nie była chyba powszechnie lubiana. Podobnie rzecz się miała w zawodzie Jess. Żółtodzioby musiały ustawiać się w ostatnim szeregu.

Chciała akurat zapukać, gdy drzwi z impetem się otworzyły i stanęła z nią oko w oko.

- Jejku, tylko niech mnie pani nie pobije! - powiedziała Jess.

Kobieta popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Pani do mnie?

- Rwała się pani przecież do rozmowy ze mną, prawda? - Jess wkurzyła się jej tonem głosu. Przecież chodziło o coś ważnego. To nie czas na luźne gadki. Przyszła tu, bo liczyła się prawda.

Przez chwilę stały naprzeciw siebie i taksowały się nieufnie. Jess zauważyła, że miały coś wspólnego: niezłomną wolę we wszystkim, co robiły. To mogła być dobra cecha, ale czasami bywała zwyczajnie niebezpieczna.

Kobieta odsunęła się na bok.

- Proszę wejść.

Jess od razu zauważyła, że gabinet był urządzonej po spartańsku, gorzej niż cela klasztorna. Tam przynajmniej znajdował się jeszcze jakiś krzyż albo figurka Madonny. Tu nie było prywatnych zdjęć, pamiątek na biurku, kwiatów w doniczkach ani kalendarza. Tylko akta, grube tomiska kodeksów prawnych, komputer i zakurzona fotografia prezydenta. Zero przytulności.

- Niech pani siada - usłyszała głos prokuratora.

Przed biurkiem stało proste drewniane krzesło. Jess przyglądała spódnicę, zanim usiadła. Nagle poczuła się niepewnie.

- Może kawy? Herbaty? Wody?

- Nie, chyba że jestem u fryzjera.

Kobieta nie zareagowała, tylko wsunęła się za biurko, skąd wyczekująco obserwowała Jess.

Ludzie, to ona powinna mówić. Zadawanie pytań to jej praca. Po to się uczyła. Studiowała.

Jess też miała maturę. Czy ta Singer to wiedziała? Dlaczego wylądowała na ulicy? Matura to przecież potwierdzenie jakiejś inteligencji, no nie? Tylko że z maturą bywało tak jak z betonem: zależy, co się z nim zrobi. Ona nie zrobiła nic. Zakochała się w hazardziście, poręczyła za niego, straciła pieniądze i naraziła życie dziecka.

Tyle. Krótka historia, która wlokła się przez całe długie życie. Gratulacje, Jess. To naprawdę pełnia sukcesu.

Prokurator niespokojnie kręciła się na krześle. Okej, Jess musiała sama zacząć. Tyle że nie wiedziała jak. Wtedy właśnie Miriam Singer odezwała się z wyraźną rezerwą, żeby nie spieszyć swojej rozmówczyni:

- Dlaczego pani przyszła?

Teraz Jess mogła coś powiedzieć, ale nie zdołała wydusić z siebie ani słowa.

- Ze względu na Helenę, prawda?

Jess skinęła głową, odchrząknęła i spytała:

- Wiecie już, kto...

- Nie.

Jess znowu kiwnęła.

- Ten profesor...

- Milan Hus?

- Zapuszkowaliście go, tak?

- Tak, a dlaczego pani pyta?

O, w oczach urzędniczki pojawiła się nagle pazerność, której Jess nie cierpiała. Prokurator wyglądała teraz jak ci klienci, którzy byli niecierpliwi. Od razu powróciło zdenerwowanie. Może przyjście tu nie było takim dobrym pomysłem.

- Przyjaźniła się pani z Heleną? - zapytała prokurator. Przyczajony sęp w spojrzeniu znikł.

- Ja się z nikim nie przyjaźnię - odparła Jess - ale czułam się za nią odpowiedzialna.

- A to nie to samo?

- Nie. Ale ona o wszystkim mi mówiła. O swoim życiu, marzeniach i tak dalej.

Kobieta przyglądała się jej z zaciekawieniem, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś dobrowolnie zwierzał się Jess ze swoich tajemnic.

- Była dla mnie jak córka... nie, kto by tam chciał mieć taką matkę jak ja - poprawiła się po chwili. - W każdym razie ja tylko starałam się jej pilnować. - Wzdrygnęła się na dźwięk własnych słów, spodziewała się zarzutu, że nie udało się jej upilnować Heleny, prokurator jednak milczała. - Ale, cholera, nie dałam rady - wyznała w końcu sama.

- To nie pani wina.

- Może nie, może tak... - Jess zająknęła się na kilka sekund, aż w końcu wyrzuciła z siebie: - Ona dla mnie tańczyła. Ja... ja wysyłałam do niej facetów.

- Tyle już wiemy.

Jess poczuła, jak wzbiera w niej lekka agresja. Teraz chciała szybko wszystko opowiedzieć, byle nikt jej nie przerywał.

- A więc tańczyła dla pani klientów? - zagaiła prokurator.

- Tak. Ale tylko tańczyła - wyjaśniła Jess. - Wiem to na pewno.

Po paru minutach milczenia prokurator zapytała:

- Stąd ta czerwona bielizna?

Jess skinęła głową.

Miriam Singer wstała, żeby przejść się tam i z powrotem po malutkim gabinecie.

- Dlaczego mówi mi pani o tym?

- To nie był żaden z nich. Oni nie są tacy. Zawsze uważałam, kogo do niej wysyłam.

- Gwarancji nie ma.

- Ale ja znam się na ludziach. Niech mi pani wierzy, ja się sporo nauczyłam.

- Tak też myślałam - odparła prokurator.

- Ale nie po to przyszłam.

- A po co?

- Jest coś, co muszę pani opowiedzieć. Chodzi o ojca Heleny. To może być ważne.

25

Z doświadczenia Miriam wiedziała, że niektórzy więźniowie zdawali się czuć za kratkami bezpieczni. Ale nie on. Nie, Hus nie pasował do tego otoczenia.

Mimo to może było to jego miejsce. Po tym, co opowiedziała jej Jess, nie była pewna, czy nie myliła się co do tego człowieka. Mając za sobą gwałtowną sprzeczkę z Henrim, nie wspomniała mu o rozmowie z prostytutką. Tak, wszyscy mieli swoje słabostki, starali się bronić własnej pozycji. To z pewnością był błąd, ale tym razem chciała najpierw porozmawiać z Husem.

- Piękna pani prokurator - rzucił Hus ze znużonym uśmiechem, rozpoznawszy ją.

Począł, aż Miriam usiadzie. Kilka dni w więzieniu nie zdążyły pozbawić go manier.

- Jak się pan miewa? - zapytała i spojrzała mu w oczy. Czasami bezpośredni kontakt wzrokowy pomagał w powstrzymaniu rozmówcy od wymówek lub bezczelnych kłamstw.

- Dobrze - odparł - bardzo dobrze.

Na jego ustach znów pojawił się znużony uśmiech. Doskonale opanował reguły small talk i nie zamierzał z nich rezygnować niezależnie od tego, jak podle się czuł. Nie zarzuciłby uprzejmości tylko dlatego, że siedział w areszcie śledczym.

- Cieszy mnie to - odpowiedziała. Odstawiwszy torbę, podała mu rękę. Następnie wyjęła segregator, gdzie znajdował się akt oskarżenia, który Kellermann, jak się zdążyła w krótkim czasie zorientować, skonstruował równie obszernie, jak poprawnie. - Potrzebuje pan czegoś? - zapytała. - Może papierosów?

Milan Hus obdarzył Miriam rozbawionym spojrzeniem.

- Nie palę. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby mogła pani zwrócić mi wolność.

Niezły początek rozmowy. Dokładnie do tego przecież zmierzała.

- Nie wiem, czy ta informacja już do pana dotarła - oznajmiła - ale prowadzenie dochodzenia w sprawie morderstw popełnionych na Helenie Baarovej i Justinie Brandenburgu przekazano mnie. - Otworzyła akta. - Dotychczas odmawiał pan zajęcia stanowiska w sprawie pańskiego zatrzymania. Nie wziął pan sobie też adwokata.

Nie spuszczał z niej oczu i jednocześnie pocierał jedna o drugą dłoń, co było jedyną oznaką zdenerwowania. Skąd on brał ten spokój? Miriam nie miała pojęcia. Dlaczego milczał?

Postanowiła, że nie będzie długo owijać sprawy w bawełnę, i zadała pytanie, które miała na końcu języka:

- Dlaczego?

- Dlaczego co? - zapytał. - Dlaczego milczę czy dlaczego najpierw torturowałem, a potem zabijałem? A może dlaczego sprawy mają się tak, jak się mają, a my mimo to je znosimy?

- Nie wiem - odparła Miriam. - Może wszystko. Powiem panu teraz coś, czego z punktu widzenia prawa nie wolno mi mówić, bo w ten sposób denuncjuję kolegów. Gdybym to ja prowadziła dochodzenie od początku, nie siedzielibyśmy teraz tutaj. Nie dlatego, że nie mamy dowodów przeciwko panu, ale dlatego, że wierzę w pańską niewinność.

- Skąd ta pewność?

- Nie powiedziałaś tego po to, żeby skłonić pana do mówienia, chociaż może tak... Chciałabym zrozumieć, jak doszło do tego, że pan tu trafił.

- Ja sam tego nie rozumiem - odparł. - Nigdy w życiu nie byłem tak zdezorientowany. A przecież niepojętość zdarzeń zawsze stanowiła temat literacki. Rozszyfrowywanie treści to moja praca. Ale cóż, może tak mi było pisane.

Miriam nie zgłębiała tej uwagi.

- Materiał dowodowy opiera się w znacznej mierze na manuskryptach, które przez jeden z pańskich adresów mailowych zostały wysłane do antykwariatu w Pradze. Właścicielem jest - zerknęła do notatek - Filip Černý. Zna go pan?

Hus skinął głową.

- Czy napisał pan te maile? Chciał pan nimi podkreślić swoją karierę? - Hus nie reagował, więc mówiła dalej: - Tak myśli policja. Uważa, że to wszystko stanowi pańską kampanię medialną.

- Przechodzi pani od razu do rzeczy, prawda?

- Z nas dwojga to pan jest tym, kto nie ma czasu do stracenia.

Chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i milczał.

- No co? - indagowała. - Wy tłumaczy mi to pan? Nie mogę sobie wyobrazić, że używa pan takich środków tylko po to, żeby przejść do historii kryminologii jako „Kafkowski morderca”.

- Skoro nie może sobie pani tego wyobrazić, dlaczego w ogóle mnie pani o to pyta?

- Bo chcę pana stąd wyciągnąć, a to będzie możliwe tylko wtedy, gdy znajdę dowody odciążające. Nie potrafię też zrozumieć, dlaczego nie chce pan adwokata. Sam nie da pan rady.

Wzruszył jedynie ramionami.

- Jestem w pani rękach. - Krótko się roześmiał. - A to jest uczucie... może nie jest pani w stanie tego zrozumieć, ale... Wie pani, kto przedstawiał to uczucie zdania na czyjąś łaskę tak wiarygodnie i prawdziwie, raz po raz, że można by pomyśleć, że siedzi tutaj zamiast mnie?

Miriam wiedziała, że mówi o Franzu Kafce, ale nie reagowała.

- Kafka. Kafka wciąż o tym pisał. I czy to nie jakiś obłąd, że akurat mnie przytrafia się coś, co spotyka Józefa K. w powieści *Proces*? - Przerwał na chwilę i z niedowierzaniem pokręcił głową. - Zatrzymano mnie z dnia na dzień tak jak Józefa K.

Milczała.

- Wie pani, ja od wielu lat zajmuję się tym tematem.

- Jakim tematem?

- Tym, że my, ludzie, jesteśmy tylko pionkami. Że w dobrej wierze służymy jakiejś obcej złej sile. Wmawia się nam, że istnieje swoboda myślenia... - gorzko się roześmiał. - Ta swoboda to kłamstwo. Nie, my jej nie mamy. Wszyscy jesteśmy więźniami. Franz Kafka to dostrzegał. Ja sam przed laty doświadczyłem tego na własnej skórze w Pradze. Pani koledzy uważają, że jestem prototypem obłąkanego profesora. Może i mają rację. Może rzeczywiście człowiek popada w obłąd, gdy tak wyraźnie widzi przed sobą prawdę i ma wrażenie, że wystarczy tylko ją pochwycić, by własnoręcznie zgnieść.

Miriam na chwilę zaparło dech. Dla niej rzeczywiście zabrzmiało to tak, jakby Milan Hus był obłąkany.

- Albo jest się winnym, albo nie - ciągnął. - W świetle pani praw nie istnieje żadna inna możliwość, nieprawdaż? Ale wina jest bardziej skomplikowana! Właśnie dlatego, że wina, podobnie jak niewinność, jest kryterium ludzkim... - zawahał się - a nie boskim.

Teraz znów był profesorem snującym teorie. Czy te myśli kiedykolwiek przyniosą światu pożytek? Pewnie nie, a mimo to ujawniały jakiś ukryty sens.

Nie, Miriam, powiedziała sobie w duchu. Nie wdawaj się w te gierki myślowe.

Próbowała mu przerwać, ale on nie dawał się powstrzymać. Nie przestawał

mówić o winie i niewinności, tymczasem ją ogarniał coraz większy niepokój.

- Od zarania dziejów - wtrącała się w końcu energicznie - ludzkość bez przerwy się spiera. Cholernie dużo czasu potrzebowała, żeby dogadać się, co jest prawem, a co bezprawiem. Myślałam, że wszyscy zdołaliśmy pojąć różnicę. - Zrobiła przerwę, a potem mówiła dalej, żeby zmienić bieg rozmowy. - Słyszałam, że zabrania pan studentom czytać literaturę sekundarną na temat Kafki. Szczerze mówiąc, wydaje mi się to arogancją.

- Możliwe, a jeśli ja mam być szczerzy, to nie pozyskałem sobie tym zbyt wielu przyjaciół. Jestem niemniej głęboko przekonany, że literatura powstaje ze spotkania jednostki z tekstem. Nie ma przypisanego efektu. Literatura wywołuje w każdym z nas coś innego.

- W tym wypadku - stwierdziła Miriam - dwa morderstwa. - Nie odpowiedział, ciągnęła więc dalej: - W jednej kwestii przyznaję panu rację. Gdy sprawa staje na ostrzu noża, dla mnie też liczy się tylko oryginał. Dziesięć przykazań. A one mówią: „Nie zabijaj”. Zakładam, że człowiek o pańskim umyśle jest w stanie jasno powiedzieć, czy zabił Helenę Baarovą i Justina Brandenburga, czy nie.

Wykonał obojętny gest ręką. Miriam nabrała głęboko powietrza, nie spuszczając z niego oczu:

- Ktoś mi powiedział, że Helena uważała pana za swojego ojca i że to, a nie kariera tancerki, było powodem jej przyjazdu do Frankfurtu.

Zerwał się gwałtownie, uderzając przy tym o stół, mebel jednak ani drgnął, był przymocowany do podłogi.

- Wiedział pan o tym, prawda? - zapytała Miriam.

Nie odpowiadał, unikał jej wzroku.

Przez pewien czas panowała cisza. Usiadł z powrotem, by dalej wpatrywać się w blat dzielącego ich stołu.

- Nie może mi pani pomóc - powiedział w końcu. - Nikt nie może.

- Niech pan mi powie, czy pan o tym wiedział, czy nie. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego Helena się od pana wyprowadziła.

- To już nie ma znaczenia.

- Owszem, ma, dla naszego śledztwa. Próbowaliśmy ją uwieść, a gdy pan nie odpuszczał, poinformowała pana o tym. Nie chciał pan jej uwierzyć i ją wyśmiał.

Nie odpowiedział, wstał i podszedł do drzwi. Zapukał trzy razy. Otworzył mu wartownik.

Na odchodnym odwrócił się na moment.

- Jeden człowiek odwiedza drugiego, który zadaje mu pytania. Gdy nie może odpowiedzieć na żadne z nich, pyta: „Żałujesz, że mnie zaprosiłeś?”. Drugi jednak odpiera: „To był tylko test. Ten, kto nie odpowiedział na pytania, zdał test”... - Zamilkł na chwilę i w końcu stanowczo oznajmił: - Chce pani przyznania się do winy? Proszę bardzo. Jestem winien.

za nimi zniknęło. Niebo nad Frankfurtem, dopiero co tak jasne i błękitne, szybko przemieniło się w mroczne tło. Wyglądało to, jakby przestworza się barykadowały.

Chce pani przyznania się do winy? Proszę bardzo. Jestem winien.

Miriam raz po raz analizowała te zdania w myślach, doszukując się niuansów i podtekstów. Może coś przeoczyła? Może coś jej umknęło?

Nie wierzyła Husowi, a zarazem była przekonana, że mówił prawdę. Tak, był winien. W pewnym sensie. Ale nie zabił ani Heleny Baarovej, ani Justina Brandenburga. Sama nie wiedziała, skąd brało się w niej to przekonanie.

Mógł sobie milczeć tak długo, jak chciał. Nie musiał siebie obciążać przed sądem. Do jej zadań jako prokuratora należało dociekanie, na czym polegała wina, o której mówił. Może chodziło mu o to, że pozostanie winien dopóty, dopóki ona nie udowodni mu niewinności?

Wbiegała po schodach do swojego mieszkania i jeszcze na klatce schodowej usłyszała automatyczną sekretarkę. Sygnał na zakończenie powitalnego komunikatu rozległ się akurat w chwili, gdy otwierała drzwi. Mimowolnie przystanąła, by posłuchać, co ma do powiedzenia dzwoniący, ale rozległo się tylko piszczenie. A potem ktoś długo i nieustannie dyszał.

Drzwi się zatrzasnęły. Automat wciąż jeszcze nagrywał wiadomość. Szum, świst i trzask łączyły się z przeciągłym oddechem, tworząc dziwną scenerię dźwięków.

To, że ten ktoś nic nie mówił, że milczał, wzbudziło w Miriam wrażenie, że rzeczywiście mógł ją obserwować. Czy stał tam gdzieś przyczajony i się jej przyglądał? Czy śledził każdy jej ruch?

Jedno było pewne, odnajdywał przyjemność w jej strachu. Delektował się nim. Nadal był na linii. Miał nadzieję, nie, on wiedział, że była w domu. Wcale nie chciał z nią rozmawiać, wystarczyła mu cisza.

- Ty gnoju! - krzyknęła. - Ty zboczony gnoju!

W pustym mieszkaniu zabrzmiało to śmiesznie.

A potem usłyszała głos, który zaklął:

- Cholerna komórka. Ocipieć można... - Znowu gwizd. - Brak połączenia.

Mówi Sara.

Rozległ się sygnał kończący nagranie. Automatyczna sekretarka wyłączyła się, zapadła cisza. Miriam jednak nie była w stanie się roześmiać.

Sprawię sobie psa, pomyślała. Wszyscy samotni ludzie przysposabiają sobie zwierzęta. Żeby ktoś był w domu, gdy się do niego wraca. Ktoś, z kim można pogadać, kto na ciebie popatrzy, gdy do niego mówisz, kto odpowie, chociażby tylko cichym warczeniem. Krótko mówiąc, ktoś, kto cię pilnuje, jeśli coś ci grozi.

Rzuciła torbę na podłogę, ściągnęła buty i poszła do kuchni, gdzie otworzyła lodówkę, by stwierdzić, że jest pusta. Zapomniała o zrobieniu zakupów. Nie, nie zapomniała. Głodowała, bo nieważne było, czy jadła, czy nie. Pomyślała o Justinie Brandenburgu. Nikt nie powinien tak umierać.

W końcu znalazła jeszcze jedno opakowanie rurek, których termin ważności

upływał za kilka dni. Tak jak ultimatum Henriego.

Wrzuciła makaron do zimnej wody i dopiero później uświadomiła sobie błąd. Trzeba przecież najpierw zagotować wodę. Nie wiedziała jednak, jak naprawić przeoczenie.

- Nieważne - powiedziała głośno do siebie i wymyślanego psa, kręcącego się pod nogami. - Zamówimy sobie pizzę.

Ruszyła do przedpokoju z mocnym postanowieniem, że wkrótce zrobi porządne zakupy. Spokojna co do tego, że nigdy nie jest za późno, by zmienić swoje życie, chwyciła telefon i wybrała numer pizzerii, by zamówić swą ulubioną Margheritę. Margherita. Piękne imię. Jeżeli kiedykolwiek będzie miała córkę, tak ją nazwie.

Margherita. Wymówiła imię z włoskim akcentem. A może to hiszpańskie imię? Trzeba sprawdzić.

Czy to była dziewczynka? Czy chłopczyk? Nigdy nie odważyła się nad tym zastanawiać. Ani wtedy, gdy podejmowała decyzję o pójściu do lekarza, ani wtedy, gdy leżała na tamtym fotelu. Istniały rzeczy, których rozwiązanie tylko z pozoru było łatwe. Odpowiednio wcześniej, stwierdził lekarz, to będzie tylko drobny zabieg. Poszła tam sama. Nikt o tym nie wiedział. Nigdy o tym nie mówiła. Upłynęło dziesięć lat, ale poczucie winy nadal ją dręczyło. Nie wiedziała, wobec kogo czuła się winna.

Drobny zabieg? Nie!

Wyskrobano jej z podbrzusza coś żywego i zabrano przy tym kawałek jej serca. Teraz czegoś jej brakowało. Wiedziała to. Przez te wszystkie lata to czuła. Koniec z kłamstwami, postanowiła.

Jak już idziesz przez piekło, to brnij dalej. O to przecież chodziło. W każdym życiu. Chciała sprzątnąć. Nie, żeby kiedykolwiek zaprowadzała w ten sposób porządek. Po prostu przenosiła rzeczy z jednego miejsca w drugie. Pełne wiadro ze śmieciami z kuchni do sieni, kiedyś zabierze je w drodze na podwórko. A może i nie. Odkurzacz do pokoju dziennego, gdzie sobie poleży, a ona dzień w dzień będzie się o niego potykać. Stertę gazet ze stołu w salonie na stół w kuchni. Zupełnie bez sensu.

Zmęczona położyła się na kanapie w pokoju i wlepiła oczy w sufit. Nawet nie miała lampy. Tylko żarówkę. To ty, pomyślała, jesteś zakurzoną żarówką na pustym suficie, a teraz rusz się i coś z tym zrób.

Mimowolnie się roześmiała. Okej. Co mogła zrobić? Położyła rękę na brzuchu.

W pokoju pociemniało. Nie widziała burzowych chmur, ale je wyczuwała. Ich mroczność, skumulowany gniew, szybkość, z którą gnały po niebie, siłę, jaką demonstrowały, burzę, którą przynosiły.

Poczuła się niepomrotnie zmęczona i bezradna. Przede wszystkim bezradna.

Płynęła łodzią po wodzie. Szalała wichura, fale biły o burtę. Nie była sama. Naprzeciwko niej siedziała mama i desperacko wiosłowała, walcząc z kipiela.

Nie mogła zrozumieć słów, ale z ruchu warg odczytała, jak bezgłośnie woła o pomoc.

Chciała pomóc i jednocześnie wiedziała, że nie może, bo coś jej w tym przeszkadza.

Musisz wiosłować, wołała mama. Ona jednak się nie ruszała, tylko bezradnie patrzyła na swoje dłonie. Dłonie? Zniknęły. Ręce kończyły się dwoma krwawiącymi kikutami.

A potem olśnienie: to byłaś ty. Sama odrąbałaś sobie dłonie.

Miriam obudziła się zlaną potem i zobaczyła, że za oknem lało jak z cebra. Czy to ten koszmar wyrwał ją ze snu, czy głośnie grzmot, od którego drżały szyby, czy może telefon? Rzuciwszy okiem na zegarek, stwierdziła, że w pizzerii najwyraźniej zapomniano o jej zamówieniu.

Chwiejnym krokiem podeszła do telefonu. Chwilami musiała się przytrzymać ściany, bo kręciło się jej w głowie. Telefon nie przestawał dzwonić. W mieszkaniu panował mrok. Na dworze wciąż jeszcze słychać było ciche grzmienie i wycie wiatru.

Przyjęła rozmowę. Za późno pomyślała o anonimowych telefonach. Wciąż wypierała obawę, że mogą się powtórzyć. To też musi mieć jakieś uzasadnienie, pomyślała. Coś mu zrobiłam. Powinnam się zastanowić, kto wchodzi w rachubę, zamiast się bać. Dlaczego strach był łatwiejszy do zniesienia niż pytanie o własną winę?

- Tak - powiedziała. Jej głos zabrzmiał nienaturalnie chropawo, więc jeszcze raz głośniej powtórzyła: - Tak, słucham.

- Miriam?

Znajomy głos. Serce skurczyło się w poczuciu ulgi. Henri. Rzuciła okiem w lustro. Zapuszczenie włosów będzie krokiem w kierunku pokonywania paniki. Dokładnie tak robi. Zacznie od dziś.

- Co jest?

- Zaginał Olivier.

Miriam zamilkła i zastanawiała się, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. Paul Olivier był dorosły. Mógł robić, co chciał.

- Skąd taki wniosek?

- Miał dziś ważny termin na uniwersytecie, ale się nie pojawił. To rzekomo do niego niepodobne. Pojechaliśmy do domu Milana Husa, gdzie Olivier mieszka od czasu wyprowadzki Justina Brandenburga. David powiedział, że Oliviera nie było tam już minionej nocy. Ale to nie wszystko...

- Co jeszcze?

- Odezwał się ten antykwariusz z Pragi. Jest trzeci manuskrypt.

Serce Miriam mocno zabiło. Przy każdym oddechu tak waliło o żebra, że czuła wyraźny ból w klatce piersiowej.

- Trzeci manuskrypt?

- Tak. Nosi tytuł *Sędzia*.

- O czym mówi?
- Będzie kolejna ofiara.

Cisza.

- Jesteś tam jeszcze?
- Przeczytaj!

Henri odchrząknął i w końcu zaczął głębokim głosem czytać:

- Już czas - powiedział sędzia i z pewnym żalem popatrzył na młodego człowieka przy drzwiach. Potem się uśmiechnął i powiedział pocieszająco: - Proszę mi jednak wierzyć, że wydać wyrok jest trudniej, niż go wykonać.

- Ale jak on brzmi, wysoki sędzie? - zapytał uprzejmie skazany.

- To tajemnica wyroku. Rozumie się go dopiero wtedy, gdy jest wykonywany

- oznajmił przyjaźnie sędzia. - Obiecuję jednak, że to nie potrwa długo.

- Jak się zakończy? - zapytał ostrożnie mężczyzna.

- Tak jak kończy się każde życie. W zaciszu ciemności - roześmiał się serdecznie sędzia.

Henri urwał.

Przez chwilę obydwójce nie odzywali się ani słowem. Miriam usłyszała grzmienie, które znów stało się głośniejsze i bardziej przeciągłe. Jakby coś się waliło.

- Czy to cały tekst? - zapytała.

- Nie.

- Co powiedział antykwariusz?

- Ktoś naśladuje Kafkę, i to całkiem nieźle. - Henri ucichł na chwilę, a potem mówił dalej: - Tylko teraz jest w tym coś nowego.

Miriam ogarnął niepokój.

- Co?

- Wszystko wskazuje na to, że ten tekst nie ma pierwowzoru w twórczości Kafki. Żadne z jego opowiadań nie zawiera podobnej treści ani nie nosi tytułu *Sędzia*.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem.

- I myślisz, że Paul Olivier może być kolejną ofiarą?

- A kto inny? - odparł Henri. - Masz lepszy pomysł?

- Czy tekst daje jakieś wskazówki co do planów sprawcy?

- Daliśmy manuskrypt Hannie i kilku wykładowcom Instytutu Germanistyki, ma go też Filip Černý. Wszyscy wnikliwie go teraz analizują. Może znajdą wskazówki, które nam pomogą.

- Muszę zaraz zobaczyć ten tekst - powiedziała Miriam.

- Jasne, podrzucę ci go.

Miriam się rozłączyła. Wiatr gwałtownie uderzał o szyby.

Nie wiedziała, co wywoływało większy niepokój. To, że planowane było kolejne morderstwo. Czy odwiedziny Henriego o tej porze.

Zrozumiała, jak bardzo za nim tęskniła, gdy tylko przed nią stanął. Przyglądał się jej z tym swoim leniwym, wymownym uśmiechem, jakby znał jakiś sekret jej dotyczący, o którym ona sama nie miała pojęcia.

Okej, pomyślała, miałeś rację. Może to ultimatum było właściwym posunięciem, żeby mi to uświadomić. Właśnie to chciał od niej usłyszeć. Wyraźnie widziała to w jego spojrzeniu. Ale nie, ona mu tego nie powie, z tego prostego powodu, że nie da się szantażować.

- Wejdz - powiedziała i szybko się odwróciła. Szedł za nią w stronę kuchni. Najchętniej poprosiłaby go, żeby zachowywał bezpieczną odległość. - Napijesz się czegoś?

Kiwnął głową.

- Wina?

- Może być.

Wyjęła z szafki dwa kieliszki, a z lodówki czerwone wino, które on sam kiedyś przyniósł. Podała jedną lampkę Henriemu, który akurat zdejmował ociekającą od deszczu kurtkę i wieszał ją na krześle. Włosy też miał kompletnie mokre.

- Przyniosę ci ręcznik.

- Nie, daj spokój...

Ona była już jednak w przedpokoju.

Gdy wróciła do kuchni, Henri zdążył już otworzyć wino i nalewał je do kieliszków. Podała mu ręcznik i obserwowała, jak wycierał włosy. Chętnie sama by to zrobiła. Zamiast tego usiadła i niespodziewanie powiedziała:

- Przygotuję nakaz zwolnienia Husa.

- Z jakim uzasadnieniem?

- Jego aresztowanie było błędem. Nastąpiło za wcześnie. Nie mamy ani jednego przekonującego dowodu.

- Przyznać trzeba, że jego alibi jest wątpliwe. Oczywiście mógł jeszcze przebywać w Pradze, gdy zniknął Justin Brandenburg, ale nie wiemy, od kiedy Brandenburg był więziony w tym mieszkaniu. Hus mógł być już wtedy z powrotem we Frankfurcie.

Miriam kiwnęła głową.

- Wszystko jest możliwe, ale nic nie jest pewne.

- To samo z morderstwem na Helenie Baarovej. Chociaż mamy zeznanie Justina Brandenburga, że Hus był tamtego piątkowego wieczoru w domu, to profesor przebywał w gabinecie, podczas gdy Brandenburg oglądał telewizję. Gabinet Husa znajduje się na pierwszym piętrze, a salon z telewizorem na parterze. Mógł więc w każdej chwili wyjść, a Justin tego nie zauważyć.

- Ale to nie wystarcza.

- Powiedział ci, że jest winny.

- Miał na myśli coś innego. Istnieje coś, czego nie wiemy - zamyśliła się. - Może zna sprawcę i chce go chronić?

- Paul Olivier?

- Może. W każdym razie przychodzą mi do głowy tylko dwa powody, dla których mógłby zniknąć. Albo to on jest sprawcą, albo...

- Następną ofiarą.

- Ale jeżeli Olivier jest mordercą, Milan Hus jest niewinny, prawda?

Henri wzruszył ramionami.

- Jeżeli jednak założymy, że Olivier to trzecia ofiara, wtedy Hus też nie może być sprawcą - argumentowała Miriam. - W czasie, gdy zaginał Olivier, siedział już w więzieniu!

Logika jak zwykle przebijała wszelkie spekulacje.

Henri powoli skinął głową.

- Niezależnie od tego, jak się na to popatrzy, Hus w tej chwili nie wchodzi w rachubę jako sprawca. Dlaczego w takim razie znajduje się wciąż w areszcie śledczym?

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie Henri stwierdził:

- Jesteś prokuratorem prowadzącym śledztwo. To twoja decyzja.

Miriam nie odczuwała triumfu.

- Nie gra roli, czy mam rację, czy nie. Martwi mnie natomiast ten trzeci manuskrypt. Co on oznacza? Czy będzie kolejna ofiara? Po fakcie okazało się, że pierwsze dwa zapowiadały za każdym razem morderstwo.

Patrzyli na siebie i Miriam wiedziała, że są co do tego zgodni. Czowała niezmierną ulgę. Na Henrim mogła polegać jak na nikim innym.

Henri wyjął ze swojego skórzanego plecaka przezroczystą folię, która zawierała trzy lub cztery strony A4. Już z daleka Miriam rozpoznała pismo człowieka, któremu udało się perfekcyjnie podrobić pismo Kafki. Podczas gdy czytała, Henri opróżnił kieliszek i ponownie go napełnił. Nie odzywał się ani słowem, tylko wpatrywał w jakiś punkt na białej ścianie nad stołem, tam, gdzie kiedyś powinien zawisnąć radosny, kolorowy obrazek.

Miriam, czytając, poczuła zimny dreszcz.

To nasza bojaźliwość jest źródłem zła.

Nie znamy swojej siły, bo lękamy się samych siebie.

Bo wierzymy w grzechy, które sami wymyśliliśmy.

Ja jednak ich nie widzę, a nie ma nikogo, kto mi je wytknie.

K.

W końcu odłożyła kartki.

- Nakaz zwolnienia Husa przygotuję najszybciej, jak to możliwe.

Miriam wstała.

- Jedź przodem. A ja każę dostarczyć papiery do więzienia.

Henri skinął i też się podniósł. Odprowadziła go do drzwi, chciała coś powiedzieć, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Henri też był małomówny i rzucił tylko:

- Spotkamy się w prezydium. Razem z Milanem Husem.

Kiwnęła głową i musiała się powstrzymać, żeby go nie dotknąć. On czuł to samo. Dostrzegła to w jego oczach. Promieniały najjaśniejszym odcieniem

błękitu, jakiego jeszcze nigdy w nich nie widziała.

Był piątkowy wieczór, a mimo to w gmachu frankfurckiego sądu krajowego nadal panowała krzątanina. Podczas pierwszych lat pracy prokuratorskiej Miriam już od południa widziała, jak te długie korytarze ziały pustką. Teraz śpiesznie mijali ją koledzy w czarnych togach, milczący i zamyśleni niczym mnisi w klasztornych kruzgankach. Niemieckie sądy były coraz bardziej przeciążone. Nie istniały już fazy, w których spadała intensywność pracy, wymiar sprawiedliwości oszczędzał na personelu, jak tylko się dało. Nie było nadziei na zmianę w najbliższej przyszłości.

Na pewno nie za mojego życia, pomyślała Miriam.

Ta praca wymagała maksymalnego zaangażowania przy minimalnych wynikach. Oznaczało to, że przed sądem toczyło się coraz więcej procesów, ale świat ani trochę nie stawał się sprawiedliwszy. Pracować na pół etatu? Nie ma mowy. Wtedy Miriam dostawałaby tylko rutynowe zadania, musiałyby pomagać innym prokuratorom, załatwiać za nich sprawy administracyjne. Nie, czegoś takiego nie potrafiła sobie wyobrazić. Urozmaicenie w postaci połączenia intensywnej pracy w biurze z jednej strony i ekscytującej współpracy ze śledczymi z drugiej strony stanowiło eliksir jej życia. Poza tym Miriam była uzależniona od iluzji, że przynajmniej może chociaż trochę obracać kołem sprawiedliwości.

W drodze do gabinetu zajrzała do sekretariatu w nadziei, że jeszcze zastanie kogoś, kto mógłby pomóc jej w przygotowaniu nakazu zwolnienia z aresztu. Z ulgą stwierdziła, że Cordula była właśnie zajęta nakładaniem makijażu przed malutkim lusterkiem nad umywalką. Namówienie asystentki do pozostania w biurze będzie kosztowało sporo wysiłku. Intensywnie pachnące perfumy przyćmiewały unoszącą się w pokoju woń zakurzonych akt, a czarna obcisła sukienka zdradzała inne plany niż spędzenie wieczoru w pracy.

- Och, pani już chce wychodzić - rzuciła ostrożnie Miriam.

- Przecież widać - odparła zuchwale Cordula. - I nikt mi w tym nie przeszkodzi. - Nachyliła się do przodu, by czarną konturówką podkreślić oczy, co nadało jej wygląd wampirzycy.

- Czy nie mogłaby pani zostać jeszcze pół godzinki? - zapytała Miriam. - Wyjątkowo?

- Wyjątkowo? - Sekretarka niecierpliwie rzuciła okiem na zegarek. - Nie, jest piątkowy wieczór. Jestem umówiona. Od tej randki może zależeć moje życie.

- To naprawdę ważne.

- Ważniejsze niż moje życie? - odparła ironicznie Cordula i spokojnym ruchem przejechała szminką po pełnych wargach, które teraz błyszcząły tak samo jak czerwony lakier do paznokci.

- Każda minuta, w której ktoś niewinny siedzi w więzieniu, to za dużo - oznajmiła cierpliwie Miriam. - Potrzebuję zniesienia nakazu aresztowania

Milana Husa.

Sekretarka westchnęła.

- Jasne, to niesamowicie poprawia nastrój i na pewno uprzyjemni mi weekend, jeżeli pomogę komuś odzyskać wolność. Może nawet zaimponuję mojemu amantowi, gdy mu powiem, że mam władzę obdarowywania ludzi wolnością.

Miriam nie odpowiedziała, ale poczuła ulgę, gdy Cordula zawiesiła torebkę na krześle, usiadła i włączyła komputer.

- A, jeszcze coś - sekretarka nieoczekiwanie zniżyła głos - już pani słyszała?

- Co? - zapytała Miriam, nerwowo spoglądając na zegarek. Naprawdę nie miała czasu na sądowe ploteczki.

- Kellermann naprawdę już nie wróci. Poprosił o wcześniejszą emeryturę.

Miriam nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła się w pewnym sensie współwinna tej decyzji, chociaż, Bóg świadkiem, nie ona za nią odpowiadała, tylko Hillmer. Decyzją o przekazaniu mu tej sprawy szef wykończył Kellermanna. Przez chwilę nie słuchała, co mówi Cordula:

- Co?

- Czy będzie się pani ubiegać o stanowisko zastępcy szefa wydziału?

- Ja? Nie, wątpię, czy mam jakiegokolwiek szanse u Hillmera.

- To nie leży tylko w gestii Hillmera.

Miriam wzruszyła ramionami.

- Czy tutejszej atmosferze przyniosłoby to korzyść, gdybym została zastępczynią Hillmera?

- Chyba nie - odparła beztrąsko Cordula. - Jak brzmi uzasadnienie uchylenia nakazu aresztowania?

Miriam odwróciła się już, ruszając do swojego gabinetu.

- Niech pani mi wyśle mailem formularz z najważniejszymi danymi. Potem może pani iść na randkę.

- Jeśli nie będzie za późno.

- Jak kocha, to poczeka.

- Na co? - rozległo się mamrotanie Corduli, a Miriam wiedziała, że sekretarka miała cholerną rację. Wszyscy spędzali zbyt wiele czasu, czekając na życie, które nie miało szans zaistnieć.

Na korytarzu przystanąła obok automatu do kawy i zaopatrzyła się w kubek espresso, które wlała w siebie, jeszcze idąc.

Wszedłszy do biura, usiadła, włączyła komputer i rozważała, czy nie zadzwonić do aresztu śledczego, by zaanonsować zwolnienie Milana Husa. Profesor nie powinien tam spędzić ani minuty dłużej, niż to konieczne. Potem jednak zmieniła zdanie. Ostatecznie Henri był już w drodze, by poinformować władze więzienia, a następnie przywieźć Husa do prezydium, tak jak uzgodnili.

Sygnal dźwiękowy obwieścił nadejście maila i pół godziny później na jej biurku leżał wydrukowany nakaz zwolnienia. Miriam musiała go jeszcze tylko podpisać.

Naprawiono błąd. Uczucie ulgi zaskoczyło ją samą. Uznała swoją decyzję za pierwszy sukces w śledztwie, w którym roilo się od błędów. To miało się pod jej kierownictwem zmienić.

Zanim Hus będzie mógł opuścić areszt, upłyną przynajmniej dwie godziny. Dlatego Miriam postanowiła wybrać się na zaplanowane większe zakupy. Wybrała supermarket w pobliżu prezydium policji, żeby potem móc jak najszybciej dotrzeć na przesłuchanie Husa. Odsunęła od siebie myśl, że mogłby nadal odmawiać zeznań.

Krażyła po sklepie nerwowo i na oślep, sama nie wiedząc, co chce kupić. W końcu zaczęła pakować do kosza wszystko, co wpadło jej w oko. Im dłużej przemierzała regałowe uliczki, tym silniejszy głód ją ogarniał. Nagle poczuła wielki apetyt na warzywa, owoce i produkty mleczne. Gdy już nic więcej nie mieściło się w koszyku, popchnęła go w stronę kasy i stanęła w długiej kolejce. Raz po raz nerwowo zerknęła na zegarek w oczekiwaniu, że jej komórka wreszcie zacznie dzwonić. I uspokajała się myślą, że jednak wciąż było za wcześnie. W którymś momencie jej wzrok zatrzymał się na stojaku z gazetami, skąd na chybił trafił wyjęła zeszyt z przepisami.

Tim Mälzer. Czy to nie ten gość, który szczycił się tym, że nie spędza zbyt wiele czasu na gotowaniu? Berit w każdym razie uważała, że jego przepisy są genialne dla początkujących gospodyń domowych.

Miriam przeglądała akurat zeszyt, gdy jej spojrzenie padło na wieczorne wydanie jakiejś gazety. *Profesor mordercą głodomora*.

Zatrzymanie Husa było tematem dnia. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, jak znaczną uwagę opinii publicznej wzbudziło morderstwo na Justinie Brandenburg. Chociaż teraz wydało jej się to logiczne, gdy przypomniała sobie widok wychudzonego kochanka renomowanego profesora. Podtytuł artykułu głosił: *Desperacka miłość w wieży z kości słoniowej*.

Sięgnęła po gazetę i powróciła na miejsce w ogonku, ściągając tym na siebie karcące spojrzenie kolejkowicza stojącego za nią, w którego wózku na zakupy znajdowała się tylko skrzynka piwa. Przez chwilę zastanawiała się, czy go nie przepuścić, ale potem zmieniła zdanie. Później zagłębiła się w lekturze artykułu, który zawierał wszystkie szczegóły z życiorysu Milana Husa. Zarówno informacje dotyczące jego zaangażowania politycznego, jak i obleśne detale na temat jego biseksualności.

Prasy nie interesowała prawda, tylko historie. Jeżeli media miały szczęście i w miarę inteligentnie badały sprawę, przedstawiane przez nie treści pokrywały się z prawdą. W tym wypadku jednak tak nie było. Miriam z poczuciem głębokiej satysfakcji stwierdziła, że ten artykuł był już nieaktualny. Niebawem Milan Hus będzie wolny.

Komórka zadzwoniła akurat wtedy, gdy wykładała zakupy na taśmę, nie nadążając za tempem, w jakim kasjerka przeciągała towary nad skanerem.

Akurat teraz. Rzut oka na wyświetlacz ujawnił, że to Henri. Obejrzała się.

Kolejkowicz z tyłu markotnie przyglądał się jej z założonymi rękoma. Wcisnąwszy telefon pomiędzy ucho a ramię, pośpiesznie kontynuowała wyrzucanie towarów na taśmę.

- Gdzie jesteś? - krzyknął Henri.

- Co się stało? - Dwa opakowania twarogu o mało co nie zsunęły się na podłogę po tym, jak położyła je na worku ziemniaków. Ledwie zdążyła je złapać. - Czy mogę oddzwonić do ciebie za pięć minut? Właśnie stoję przy kasie.

- Nie!

Co się dzieje?

Wózek z zakupami był wciąż wypełniony do połowy. Ogonek za nią jeszcze bardziej się wydłużył. Kasjerka obserwowała ją, niecierpliwie czekając, kiedy reszta towarów trafi na taśmę.

Miriam jednak po prostu się zatrzymała.

- Co jest?

- Milan Hus... - Głos Henriego miał dziwnie bezbarwny ton.

- Co z nim?

- Przyjechałem za późno.

Serce Miriam gwałtownie przyśpieszyło.

Nie słuchała narzekań kolejkowicza za sobą ani kasjerki, która coś do niej mówiła.

Ręka, w której trzymała głęboko zamrożoną jagnięcinę, drżała. Ale nie z zimna.

- Co to znaczy, że przyjechałeś za późno?

- On nie żyje.

- Nie żyje!? - krzyknęła Miriam. - Ale...

- Powiesił się - odparł zrezygnowanym głosem Henri.

- Powiesił się? - powtórzyła głośno. - Ale jak to możliwe? Boże, przecież go pilnowali! Był w więzieniu!

Zszokowana skupiła się na słowach płynących z telefonu.

- Na prześcieradle?

Kasjerka w osłupieniu gapiała się na Miriam. Nie tylko ona, również ludzie z kolejki. Wydawało się, że cały supermarket popadł w odrętwienie, które dopadło prokurator. Tylko mężczyzna z piwem pozostał niewzruszony, zapatrzył się w jakiś zeszytek porno na ściance z czasopismami.

Wszystko to Miriam zauważyła w ciągu paru sekund. Musiała się stąd wydostać. Spojrzała na zakupy, które jeszcze leżały w wózku.

- Czy mogę po prostu zapłacić za to, co pani już naliczyła? - zapytała kasjerkę. - Muszę pilnie wyjść.

Kobieta skinęła głową.

- Sześćdziesiąt pięć euro i dziesięć centów. Ale pani potrzebuje kilku worków.

Kasjerka pomogła się jej spakować.

- Czy mogę ten wózek...?

- Proszę go tu zostawić.

Klienci za nią cierpliwie czekali. Cała atmosfera przybrała nierzeczywisty wymiar. Tylko mężczyzna ze skrzynką piwa bezwzględnie przepchnął się do przodu i niecierpliwie zapytał, kiedy to w końcu ruszy dalej.

Milan Hus się powiesił. Nie mogła w to uwierzyć.

Miriam wsunęła portmonetkę do torby i pośpieszyła do wyjścia.

FRANKFURT NAD MENEM

SOBOTA, 19 MAJA

28

Posiedzenie sztabu kryzysowego odbyło się nazajutrz, w sobotę o ósmej rano w sądzie. Ron, Henri oraz – ku ubolewaniu Miriam – Kevin Wagner czekali już na nią pod drzwiami. Ostatni, głośno mlaskając, żuł gumę. Nerwy Miriam, całe w strzępach, od których zależała jej stabilność emocjonalna, były napięte do granic możliwości. Po otrzymaniu wiadomości o samobójstwie profesora pojechała spanikowana do więzienia, chociaż nie była w stanie skupić się na prowadzeniu samochodu. W myślach wciąż analizowała rozmowę z Milanem Husem, ponownie doszukując się podtekstów, szczegółów, niuansów. Czyżby coś przeoczyła, coś jej umknęło? Czy błędnie zinterpretowała jego słowa, jego zachowanie?

Chce pani przyznania się do winy? Proszę bardzo. Jestem winien.

Ale dlaczego? Dlaczego był winny? Czy zachłostał Helenę Baarovą na śmierć? Czy zagłodził Justina Brandenburga? Czy dlatego odebrał sobie życie? Bo go aresztowali? Czy to on był jednak sprawcą?

Ron rozejrzał się za miejscem do siedzenia i ostatecznie klapnął na jedynym wolnym krześle przed biurkiem Miriam.

– Załatw jeszcze dwa krzesła – rozkazał Wagnerowi, który po chwili wahania wyszedł z pokoju.

– Czemu go przyprowadziliście? – wyszeptała Miriam. – Nie mogę znieść widoku jego gęby.

– On ma pojęcie o konkretnych działaniach śledczych – odparł Ron – podczas gdy ty i Henri powoli odpływacie w świat literatury.

– Zamknij dziób, Ron – odezwał się spod okna Henri.

Wygląda sobie przez okno, jakby to wszystko go guzik obchodziło. I milczy! Wczoraj wieczorem, gdy spotkali się w więzieniu przy oględzinach zwłok Husa, zapłonęła między nimi stara zażyłość. Tym bardziej więc dzisiejszy dystans był dla niej dotkliwy.

– A więc podczas rozmowy w więzieniu napomknęłaś mu o przypuszczeniu Heleny Baarovej, jakoby on był jej ojcem. Jak zareagował? – Pytanie Rona zabrzmiało w jej uszach jak zarzut.

Nie odpowiedziała.

– Mieszkała przez tyle miesięcy w jego domu. Dlaczego nie wspomniała mu o tym wcześniej? – indagował Ron. – Dlaczego dopiero po prawie roku?

– Chciała, ale on próbował namówić ją, żeby z nim...

– Poszła do łóżka?

– Tak.

– Nimfoman, widać – wymamrotał Ron.

– Tego słowa nie używa się w odniesieniu do mężczyzn – wtrącił się Henri.

– Nieważne, tak czy owak, przerobił imponującą grę kochanków obu płci.

Powinna była go tym zażyć już za pierwszym razem, gdy się do niej przystawiał.

- Jess wyjaśniła mi... - zaczęła Miriam, starając się przedstawić rzecz w sposób zrozumiały dla mężczyzn.

- Myślisz, że ona coś z tego kapuje? - zakpił Ron.

Zignorowała go.

- Helenie Baarovej bardzo zależało na tym, by mu o tym powiedzieć. Pragnęła mieć ojca.

- Zwłaszcza takiego, który był profesorem. Z domem w najlepszej dzielnicy... - spekulował Ron.

- Nie - zaprzeczyła Miriam. - Jej nie chodziło o pieniądze. Myślała, że jeśli poczeka i stanie na własnych nogach, to wtedy...

- Co?

- Wtedy... - Miriam zamilkła na chwilę - wtedy on zrozumie, że chodzi tylko o miłość. Czy to tak trudno zrozumieć? Chciała mieć ojca i chciała być kochana.

Ron rzucił jej niedowierzające spojrzenie.

- W takim razie nie powinna się była wyprowadzać.

- Jak myślicie, jak się poczuła, gdy po jej odmowie wprowadził się Justin Brandenburg? Co czuła na myśl o mieszkaniu pod jednym dachem z kochankiem swojego ojca? Jej babka wychowywała ją z katolicką surowością. I to ona, nawiasem mówiąc, powiedziała jej, że Hus był jej ojcem.

- Czy nikt poza nią tego nie wiedział? - zapytał Henri.

- O czym?

- Że Hus był jej ojcem?

- Nikt oprócz Jess.

Miriam ze zdenerwowaniem patrzyła, jak Henri zbliża się do jej biurka i spogląda na nią z góry. Dlatego z ulgą zareagowała na pojawienie się Wagnera, który wreszcie wszedł do biura z dwoma krzesłami.

- Jess twierdzi - oznajmiła Miriam - że Helena chciała najpierw być niezależna finansowo, zanim powie Husowi prawdę.

- I dlatego występowała jako striptizerka. - Wagner opadł na jedno z krzesel, rozwalając szeroko nogi.

- Ona nie była striptizerką - sprzeciwiła się Miriam, jak zwykle nieprzyjemnie dotknięta bezczelnością asystenta.

- Czy pani w ogóle wie, co to takiego? - Krótco się roześmiał i nadmuchał balon z gumy do żucia.

- Stul pysk, Wagner! - warknął Henri.

Wagner jednak nie dał się powstrzymać.

- Dlaczego? Szukacie przecie fantomu. Dajecie się nabić w butelkę jakiemuś świrowi, który wydaje wyroki, zgrywając sędziego. A chodzi tylko o to, o czym mówiłem od początku. Zboczony seks. Niezależnie od tego, czy miała jeszcze simlocka.

- Simlocka...?

- No, czy była dziewicą.

- Rola sędziego to nie spekulacja, Wagner - oznajmiła zniecierpliwiona Miriam. - Z trzeciego manuskryptu wyraźnie wynika, że sprawca uważa się za kogoś, kto ma prawo do wydawania wyroków śmierci. I jak wiemy, również takowe wykonał.

- Może profesorek myślał, że w ten sposób dostanie się do prasy. Znajduje te manuskrypty, urzeczywistnia je i... - Wagner zaklaskał w dłonie - staje się sławny!

Miriam postanowiła ostatecznie go zignorować i podświadomie zwróciła się do Henriego, szukając u niego wsparcia:

- Ten sędzia dokonuje samosądu. Kolejna ofiara czeka już w swojej celi śmierci. A może już jest martwa.

Henri jednak nie reagował. Jego milczenie przeszło ją naraz grozą. Jakby go sparaliżowało. Najchętniej by na niego wrzasnęła, byle tylko wyrwać go z tego cholernego letargu.

- Nie mogę już słuchać tych spekulacji. - Rozdrażniony ton Rona uwolnił ją od dylematu. Wagner głośno zaklaskał w dłonie.

- Dość tego - powiedziała i krzyknęła: - Niech pan wreszcie przestanie! Wagner z pogardą wzruszył ramionami.

Miriam głęboko odetchnęła, spróbowała się uspokoić i zapytała Rona:

- Masz inny pomysł?

- Fakty.

- Fakty?

- Paula Oliviera widziano po raz ostatni, gdy w towarzystwie pewnego studenta opuszczał budynek uniwersytetu. Pożegnali się przy ruchomych schodach do metra obok biblioteki uniwersyteckiej. Student dokładnie opisał ubranie Oliviera. Miał na sobie ciemnoszary garnitur i liliową koszulę. Poza tym trzymał w ręku srebrną aktówkę.

- Jeżeli Oliviera rzeczywiście po raz ostatni widziano w metrze, powinniśmy skontrolować nagrania z monitoringu - zaproponował Henri.

- Na to potrzebne nam zezwolenie - powiedział Ron do Miriam, która skinęła głową. Następnie zwrócił się do Wagnera: - O której godzinie pożegnali się przy tym wejściu do metra?

Asystent zaczął kartkować swoje notatki.

- Trzy dni temu około godziny siedemnastej przy Bockenheimer Warte.

- Jeżeli Olivier zamierzał jechać prosto do domu, mógł wsiąść do linii U4.

- Jak nazywa się ten student? - zapytała Miriam.

- Sebastian Wolff.

- Znowu ten Wolff. Co dokładnie powiedział?

- Że razem szli do stacji metra, pożegnali się, a Olivier zaraz potem zjechał schodami w dół.

- Jak Olivier się zachowywał?

- Nerwowo. Cały czas spoglądał na zegarek. Był chyba omówiony.

- Z kim chciał się spotkać? - dopytywała się Miriam, chociaż już znała

odpowieź.

- Tego Wolff nie wie.

Na chwilę zapadła cisza obnażająca ich bezradność. Wszyscy byli ślepi.

- Czy Olivier jest sprawcą, czy ofiarą? - rzuciła Miriam.

- Przeszukaliśmy jego pokój - odparł Ron - ale nie znaleźliśmy nic, co w jakiegokolwiek formie wskazywałoby, że mógłby być tym, który uważa się za sędziego.

- Miał jednak dostęp do komputera i laptopa profesora - stwierdziła Miriam.

- Manuskrypty wysłano wprawdzie do Pragi za pośrednictwem adresu Milana Husa - wyjaśnił Ron - ale tekstów nie ma na żadnym z twardych dysków. Ani u Husa, ani u Oliviera. Każdy, kto znał adres mailowy Husa, mógł wysyłać wiadomości z jego komputera. Hus miał zapisane hasło w aplikacji. Poza tym Olivier przeprowadził się do Husa dopiero po wyprowadzce Justina Brandenburga, czyli po śmierci Heleny Baarovej.

Miriam usiłowała wyobrazić sobie sędziego. Dokładnie wiedział, co robi. Był inteligentny, wykształcony, znał twórczość Kafki. Obydwie zbrodnie wskazywały ponadto na kogoś, kto planował swoje działania z niezwykłą dokładnością i miał upodobanie do okrutnych inscenizacji. Znał też dobrze teorie Husa.

- Ktoś od początku mierzył w Husa - powiedziała, nagle nabrawszy tego przeświadczenia. - To on był docelowo ofiarą. Sędzia skazał go na śmierć.

Ron, nie rozumiejąc, zmarszczył czoło.

Henri sprawiał wrażenie przerażonego. Coś w jego oczach rozbłysło i przez chwilę Miriam miała wrażenie, że dostrzega tam zgodę.

Tymczasem Wagner głupio się roześmiał.

- Myślisz - zapytał Ron - że Helena Baarová i Justin Brandenburg musieli umrzeć, żeby ktoś mógł się zemścić na Milanie Husie?

- Tak, może... - zająknęła się na chwilę, bo zabrzmiało to absurdalnie nawet w jej uszach - sprawca od początku zamierzał doprowadzić do jego śmierci.

Na korytarzu słyhać było czyjeś kroki. Ktoś się śpieszył. Przez moment Miriam obawiała się, że to Hillmer. Aż przypomniała sobie, jaki jest dzień tygodnia. On na pewno nie przyszedłby do sądu w sobotę.

- Abstrahując od tego, że brzmi to absurdalnie, kto mógłby mieć do tego powód? - zapytał Ron i po chwili dodał: - I tak silny wpływ?

- Może ktoś z jego przeszłości, ktoś, kogo o to nie posądzamy albo o którego istnieniu nic nie wiemy. - Henri odchylił się w krześle.

- Ale samobójstwo... - zaproponował Ron. - Nikt tak po prostu nie odbiera sobie życia, chyba że jest dogłębnie przygnębiony i nie widzi innego wyjścia. Milan Hus nie był desperatem. Sami go przecież widzieliście. On wręcz tryskał pewnością siebie i arogancją.

- Czy my naprawdę to wiemy? Nikt z nas nie może zajrzeć w głąb drugiej osoby. Nikt nie zajrzy pod fasadę. Wszyscy jesteśmy ślepi, jeżeli chodzi o cierpienia, które przechodzą inni.

Coś z tej rozpaczki zawisło również w gabinecie Miriam.

Milczenie pozostałych wskazywało, że rozważają możliwość, iż ktoś mógł doprowadzić Milana Husa do śmierci. Tylko Wagner zaczął grzebać w ustach palcami, jakby poszukiwał zagubionej gumy do żucia.

- Musimy zająć się trzecim manuskryptem - przerwała ciszę.

Ron wyprostował nogi.

- Ci germaniści ostro przykładają się do roboty. Powinniśmy wynajmować ich do zabezpieczania śladów. - Przeszukał swoje dokumenty i w końcu wydobył z nich kartki w foliowej koszulce. - Jeden z rzeczoznawców zajął się dokładnie miejscem, o którym mowa w manuskrypcie. - Zaszleścił papierem i zaczął czytać: - „Bohatera, który niczego nie przeczuwa, napotykamy w całkowicie opróżnionej scenerii. Zdaje się ona leżeć pod ziemią, nie ma jednak mowy o piwnicy, lecz raczej o dźwiękoszczelnym, ciemnym lochu. Słysząc jedynie przytłumione odgłosy życia, powszedniości miejskiej. Bohater opowiadania wie, że poza jego celą życie toczy się dalej, on sam jednak w nim nie uczestniczy. To nie głód i pragnienie go niszczą, lecz ciemność i izolacja. Zanikają zmysły. Świat bohatera staje się nieprzenikniony, jego beznadziejność jest przedstawiana w typowy dla Kafki sposób. Beznadziejność, która niechybnie musi prowadzić do śmierci. Nawet jeżeli wśród opowiadań Kafki nie istnieje pierwowzór tego scenariusza, to tekst opiera się na Kafce zarówno stylistycznie, jak i treściowo. Do tego autor potrafi idealnie naśladować pismo Kafki”.

Wagner parsknął gromkim śmiechem.

- Sranie w banię!

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Fantazja czy rzeczywistość? - zapytała Miriam.

- Szczerze mówiąc - Ron z rezygnacją wzruszył ramionami - teraz jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

- Rzeczywistość - powiedział stanowczo Henri. - Pierwsze dwa manuskrypty były ostatecznie też szczegółowymi scenariuszami morderstw.

- Musimy więc potraktować ten tekst poważnie - skinęła głową Miriam. - Jeżeli jednak wyjdziemy z założenia, że Olivier jest następną ofiarą, gdzie powinniśmy go szukać?

- Gdzieś pod nami - wymamrotał Henri. - I nic tam nie widzi ani nie słyszy.

Znów zamilkli. Każdy próbował wyobrazić sobie ten loch, w którym może Paul Olivier, a może ktoś inny, był skazany na czekanie na własną śmierć. Ciszę przerwał Wagner, który nerwowo wstał, by otworzyć okno. To, że świeciło słońce i rozlegał się ożywiony świergot ptaków, wydało się Miriam absurdalne.

- Ron, co my wiemy o Olivierze? - zapytała.

- Wagner?

Asystent powrócił na swoje miejsce i wydobył z torby segregator. Chwilę trwało, zanim znalazł odpowiednie dokumenty.

- Urodził się w Genewie. Jego ojciec jest profesorem matematyki. On sam ma tytuł magistra w dziedzinie literaturoznawstwa komparatywnego. Obecnie pisze pracę doktorską na temat „Cechy psychopatyczne w twórczości Kafki”. -

Wagner na krótko podniósł wzrok i powiedział z głupim uśmiechem: - O, to brzmi podejrzenie!

- Dalej - ponaglił go zniecierpliwiony Henri.

- Od dwóch miesięcy jest asystentem Husa, a wszyscy studenci, których przesłuchiwałeś, po długim wahaniu mówili, że Hus... - Wagner zająknął się na moment - jebał tyłek każdego swojego asystenta.

Nikt nie zareagował. Henri i Miriam zgodnie unikali używania takiego słownictwa w prowadzonych przez siebie sprawach. Bo okrucieństwo i przemoc, tak powszednie w ich pracy, były na tyle złe, że nie musieli już zniżać się do tego poziomu. Nie, żeby kiedykolwiek o tym wyraźnie rozmawiali, to było raczej nieme porozumienie.

Wagner nigdy tego nie pojmie. Nim jednak Miriam zajmie się później.

- Czy były jakieś problemy z tego powodu, że Hus miewał romanse ze studentami?

Ron potrząsnął głową.

- Tylko zwykłe plotki. Uchodził za ekscentryka, który kierował się własnymi zasadami. Cieszył się jednak opinią świetnego naukowca.

- Dalej!

Wagner znów czytał z kartki:

- Olivier uchodzi za osobę cichą i powściągliwą. Według sekretarki Husa to idealny asystent. Usłużny i elastyczny.

- Był w pełni oddany Husowi - powiedział Henri. - Podobnie jak Justin Brandenburg.

Miriam słuchała Henriego i nagle poczuła się oddzielona od pozostałych jakąś szybą. Szkło było mleczne. Sprawiało, że kontury innych osób za nim się zacierały, również ich głosy stały się naraz przytłumione. Miriam nie mogła już po prostu klarownie rozumować. Nagle odniosła wrażenie, że jej myślom grozi rozmycie. Docierały do niej tylko pojedyncze słowa, które biegały po jej głowie.

- ...znowu zacząć od początku - dobiegł ją głos Rona. - Hej, czy ty w ogóle słuchasz, co mówię?

- Co?

- Skoro nic nie wiemy, musimy znowu zacząć od początku.

- To znaczy?

- Ślady, opinie medycyny sądowej, przesłuchania świadków. Stara dobra kryminalistyka. Jeszcze raz weźmiemy pod lupę wszystkich ludzi z otoczenia Milana Husa.

Miriam się uspokoiła. Uczucie odizolowania za szklaną ścianą wyparowało.

- Masz rację. Musimy podjąć jakieś kroki. Justin Brandenburg. Przyjrzymy się jeszcze raz wszystkim szczegółom. Co z sąsiadami? I jak ktoś może niezauważenie wnieść na siódme piętro kawałek ogrodzenia?

- Pobliski plac budowy - odparł Ron - jest wieczorami ulubionym miejscem spotkań młodzieży z tego bloku. Policja musiała już wielokrotnie interweniować, bo kradli tam narzędzia. Ludzie trzymają się z dala od tego miejsca. Tam

mieszkają sami obcokrajowcy. Nie chcą mieć kłopotów. Jeżeli ktoś z nich coś widział, nic nie robi, a na pewno nie zwróci się do nas.

- Jak sprawca dostał się do mieszkania?

- Klucz był włożony od środka. Ofiara więc, podobnie jak Helena Baarová, wpuściła go dobrowolnie.

- Kolejna kwestia: co z hałasem wiertarki? Sprawca umocował ogrodzenie do ściany kołkami rozporowymi. Wiertarki nie da się nie usłyszeć. Nikt się nie dziwił?

- Zapominasz o tym, że to mieszkanie stało puste. Brandenburg akurat się wprowadził. Wiertarka wtedy nikogo nie dziwi. I jak już mówiłem: nikt rzekomo nic nie widział ani nie słyszał.

- Zeszyto mu usta. - Miriam czuła, jak wzbierało w niej rozdrażnienie. - Nie krzyczał? Nie bronił się?

- Veit mówi, że na pewno był uspiiony.

- Czym.

- Chloroformem.

- A co wiemy o igle i niciach, którymi zeszyto mu wargi? - wyrzuciła z siebie niecierpliwie.

Zmiana jej głosu zirytowała trzech śledczych. Wpatrywali się w nią tak, jakby rzeczywiście stali przed szybą akwarium i obserwowali egzotycznego mieszkańca morza. Miriam była czymś w rodzaju raka. Pełzła od jednego szczegółu do następnego. Nie potrafiła utrzymać jednego kierunku.

- Wagner? - Ron ponownie zwrócił się do asystenta. - Co mamy?

- To nici chirurgiczne. Na pewno.

- Nie każdy nosi coś takiego przy sobie - oznajmiła wzburzona Miriam. - Kto zatem miał dostęp do materiałów chirurgicznych? - Popatrzyła pytająco na Wagnera.

- Że jak?

- Nie sprawdził pan?

Wagner nerwowo przerzucał kartki.

- Nie.

- Nie zastanawiał się pan, czy wśród osób na tej długiej liście znajduje się ktoś, kto ma kontakt z lekarzami lub szpitalami? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Asystent nie po raz pierwszy zerknął nerwowo na zegarek.

- Nic mi o tym nie wiadomo? - powtórzyła ironicznie Miriam.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy - wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie, bo to coś, co musi pan sprawdzić. Wyniki nie spadają z nieba. Kryminalistyka to ciężka harówka! Od moich śledczych oczekuję, że pościerają sobie podeszwy i zajrzą do każdej dziury, byle tylko znaleźć coś, co zaprowadzi nas dalej.

- Dlaczego akurat to ma mieć w ogóle jakieś znaczenie? - zapytał Wagner, spoglądając na Rona w nadziei, że ten go poprze.

- Nie każdy potrafi zaszyć drugiemu człowiekowi usta - stwierdziła Miriam. - Do tego potrzebna jest podstawowa wiedza medyczna, a przede wszystkim trochę wprawy. Czy może któryś z was by się tego podjął?

Gdy nikt nie odpowiedział, skonstatowała:

- No właśnie.

29

Miriam nie traciła czasu. Ledwie drzwi zamknęły się za śledczymi, już sięgnęła po słuchawkę telefonu. Do działania mobilizował ją gniew, a nie rozważa. Zdawała sobie z tego sprawę. To poczucie beznadziejności, zagrożenia, które wisiało w powietrzu. Gdzieś musiał istnieć punkt, o który będzie mogła się oprzeć i wykazać swoją autonomię. Poszukiwała przynajmniej jednej maleńkiej możliwości złapania za sznurki, by móc pokierować tym, co się działo.

Ignorowała to, że wobec braku personelu zespół śledczy nie mógł zrezygnować z Kevina Wagnera. Teraz nie miała już tylko wrażenia, że był niekompetentny, lecz po prostu to wiedziała. Od detektywów oczekiwała precyzyjnych odpowiedzi na pytania, zwłaszcza gdy chodziło o proste fakty. Sprawca musiał mieć dostęp do materiałów medycznych. Czy, do jasnej cholery, tak trudno ustalić, kto to mógł być?

Wybrała numer Martina Fabera, kierownika sekcji IV w prezydium policji. Był raczej menedżerem niż śledczym, dlatego obrał zarządczą ścieżkę kariery i nieźle sprawdzał się na stanowisku.

- Co mogę dla pani zrobić, pani Singer? - Usłyszała jego głos jeszcze, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Ma pan jakiś siódmy zmysł?

- Nie, po prostu mam zapisany w telefonie pani numer.

- To wielki zaszczyt! Jakie inne ważne kontakty ma pan jeszcze w książce telefonicznej? Ministra spraw wewnętrznych, premiera, kanclerz?

- Moją żonę.

- Zapisuje więc pan tylko numery kobiet. To dość podejrzane.

Faber się roześmiał.

- Dzwoni pani w sprawie randki?

- Jeżeli odpowie pan „tak”, będziemy mieć tę sprawę szybko z głowy.

- Wtedy wpakuję się chyba w kłopoty z Lieblerem.

Czyżby wieści o ich rozstaniu nie dotarły jeszcze do zwierzchników? No cóż, jeśli chodziło o plotki, szefowie zawsze dowiadawali się ostatni.

- Mam na myśli to - zebrała się w sobie - że powinien pan po prostu zgodzić się na wykluczenie Wagnera z zespołu. Nie chcę go tam.

Po drugiej stronie zapadła najpierw cisza. Potem padła bardzo lakoniczna odpowiedź:

- Nie lubię, kiedy prokuratura wtrąca się w moją politykę personalną.

- Jestem w stanie to zrozumieć, tylko że w obecnej sytuacji...

- Kafkowskie morderstwa?

Miriam drgnęła:

- Co pan powiedział?

- Kafkowskie morderstwa. Świetny materiał dla prasy. Grozi nam potężna burza medialna.

- Proszę posłuchać, sprawca wykazuje w obu wypadkach wysoki i wyraźny stopień energii kryminalnej, determinacji i bezwzględności. Musimy klasyfikować go jako niebezpiecznego, brutalnego przestępcę. Niezbędna jest ścisła współpraca i zestrojenie wszelkich działań interwencyjnych i śledczych policji z prokuraturą. Wagner jednak, przykro mi to mówić, jest niekompetentny i należy do najnieprzyjemniejszych kolegów, z jakimi kiedykolwiek pracowałam. Działa mi na nerwy, wkurza mnie, wręcz doprowadza do szału. Nie nadaje się do pracy w zespole i stwarza zagrożenie dla śledztwa.

Faber milczał, aż wreszcie powiedział:

- Uchodzi za błyskotliwego. Ma świetne papiery.

Miriam ironicznie się roześmiała.

- Może jeśli chodzi o jego wiedzę teoretyczną. I właśnie na tym polega problem. On absolutnie nie potrafi pracować w zespole. To egomaniak. Nie mam pożytku z kogoś, kto nie wspiera dochodzenia i stale je ośmiesza. Wagnerowi brakuje doświadczenia w terenie. Niech pan go na kilka miesięcy oddeleguje do patrolowania ulic. Chociaż sama sędzę, że on nigdy nie zrozumie, o co chodzi w naszej pracy.

Faber westchnął.

- Nie ma pani prawa dyktować mi, co mam robić.

- A skoro już mowa o prasie. W chwili obecnej nie możemy pozwolić sobie na to, żeby w zespole śledczym panowała nieufność i niezgoda.

Na chwilę po drugiej stronie zapadło milczenie.

- Zajmę się tym.

- Dziękuję - powiedziała Miriam, starając się, by w jej głosie nie było słycać triumfu.

- Nie chce pani jeszcze raz zastanowić się nad tym i spróbować zintegrować Wagnera w zespole? - ostrzegł Faber. - Wie pani przecież, że przytulając wroga, można go unieszkodliwić.

- Jeszcze mi tego brakowało.

30

Alex przemierzył plac przed dworcem i spłoszył nogą gołębia, który bez przerwy szedł przed nim w odstępnie kilku centymetrów.

Sam też chętnie byłby ptakiem. Zwiadowcą. Takim, co wszystko ogląda z góry i dostrzega to, czego nikt nie chce przyjmować do wiadomości: Wszyscy mieszkamy w swoistym Legolandzie, świecie zabawce.

O tak, miał bystry wzrok. Sokoli. Potrafił namierzać pojedynczych ludzi, powiększać ich jak za pomocą zoomu. Bez problemu. Lepiej i wyraźniej niż aparaty cyfrowe. Maszerował z McDonalda w kierunku peronu dziesiątego.

Nie, raczej człapał. To ta lewa noga. Nie mógł jej już porządnie podnosić.

Blokada nerwów, jak stwierdził lekarz, który przeprowadzał regularne kontrole zdrowotne w La Stradzie. Alex nie cierpiał tego uczucia odrętwienia w udzie.

I nie znosił myć się w La Stradzie. Dlatego tego ranka - należał do rannych ptaszków - wybrał się w teren, by pozbierać butelki z kubłów na śmieci przy głównej ulicy handlowej i oddać je w supermarkecie. Kaucja za trzydzieści flaszek. W wiosenne dni można było zgarnąć cenny łup.

Oczywiście gospodynie domowe w kolejce za nim znowu skarżyły się kierownikowi sklepu, bo blokował automat do zwrotu opakowań, ale on miał do tego prawo. Wolno mu było stać tam cały poranek i wrzucać butelki, a kierownik mógł sobie marudzić, ile wlezie. A teraz Alex miał w kieszeni pięć euro i zamierzał zamienić je na gorącą wodę.

Jego myśli zmieniły bieg. Helena. Jej chód, gdy szła ulicą. Zwiewna istota, która unosiła się w powietrzu tak jak on. Był sokołem. Powiedział to do siebie głośno. Jesteś sokołem. Ptaki fascynowały go od dzieciństwa. Wyróżniały je trzy cechy: dziób, bystry wzrok i szybkość. Helena i on. Dwie istoty, których żywiołem było powietrze.

Alex nie lubił traktować mężczyzn i kobiet tak samo. To przez seks. Wcześniej, owszem, wiele widział i zasmakował wszystkiego. Teraz jednak kobiety wydawały mu się rzeczywiście stworzone z żebra mężczyzny. Chciały być takie jak faceci. Krótko się roześmiał.

Ignorował zniesmaczone spojrzenia innych. Czy rozmawianie z samym sobą było szaleństwem? Nie, to najnormalniejsza rzecz na świecie, że odpowiadał sobie, gdy coś w nim zadawało mu pytanie. Ale to zbyt skomplikowane. Przystanął na chwilę i się rozejrzał. Ci wszyscy ludzie żyli w niewoli. A największym dowodem na to była ich ograniczoność. Oni nawet tego nie zauważali. Znowu parsknął śmiechem.

Nie był głupi. Wiedział, co im w duszy grało. Byłby świetnym terapeutą. Mogliby wszyscy do niego przychodzić, o on tłumaczyłby im świat. Ich Legoland. Mikrokosmos.

W tym momencie jego wzrok zatrzymał się na czarnym kapeluszu, którego właściciel szedł przed nim. Alex nie widział jego twarzy, ale był pewny. Nie musiał podejmować żadnej decyzji. Kierując się instynktem, skręcił w lewo i podążył za nim. Instynkt sokoła. Trzymał się blisko niego. Rejestrował wszystkie szczegóły. Kapelusz, ciemny płaszcz, szarą torbę przewieszoną na ukos przez ramię. Mężczyzna szedł szybko, ale bez gorączkowego pośpiechu. Miał jakiś cel, wiedział, dokąd zmierza, i właśnie to interesowało Alexa.

Sledził Pana Tau i kilka sekund później zjechał schodami ruchomymi do stacji metra.

Miriam obserwowała swoje odbicie w brudnym oknie wagonu metra. Ciśnienie powietrza spotęgowane przez nadjeżdżający z przeciwka pociąg sprawił, że szyby zadrżały. Miriam brakowało sił, by usiąść za kółkiem,

by przedzierać się przez popołudniowe korki na ulicach. Zatrzymała ją pustka, ta bezbarwna otchłań w sercu, spowodowana czekaniem. Czekaniem na telefon Rona albo Henriego z nowymi informacjami czy z wiadomością, że znaleźli Paula Oliviera. Nadzieja była cienka jak lód na wiosnę. I zgodnie z przewidywaniami pozostawała niespełniona. Telefon milczał.

Miriam Singer naprawdę myślała, że doświadczyła już najgorszych rzeczy. Widywała nieboszczyków, dotykała ich ciał, rozmawiała z ludźmi, którzy złamali największe tabu, uzurpując sobie prawo do zabijania innych. Nie przerażały jej już desperacja, nienawiść ani nawet pustka, kompletna nicość w ich oczach.

Przez tę styczeńność ze zbrodnią czuła się zahartowana, jakby nic już nie było w stanie nią wstrząsnąć, jakby system odpornościowy jej duszy został uzbrojony, wręcz opancerzony stała. W przeciwnym wypadku dlaczego nazywano by ją „żelazną damą”? Przesłębstwa innych stanowiły jej tarczę obronną. A pierwszy okres działalności zawodowej, w którym była konfrontowana z najohydniejszymi rzeczami, wydał się jej nagle najlepszym etapem życia.

To, co przeżywała teraz, było gorsze, znacznie gorsze. Sprawa nabierała upiornej dynamiki. Te zbrodnie miały inny wymiar. Większość sprawców, nie, wszyscy sprawcy, jakich dotychczas widziała, świadomie łamali jakieś tabu. Jedni tego żalowali, drudzy wzruszali ramionami, inni natomiast traktowali jak zwykłą konieczność. Nigdy jednak nie widziała przestępcy, który... jak by to określić?... który zabijanie traktował jak formę wyrazu artystycznego. Intensywnie zajmował się Kafką i ze świata wyobraźni przechodził do rzeczywistości. Tworzył inscenizacje.

Wyczuwała jednak jeszcze coś innego: każde przestępstwo opowiada jakąś historię. Może być ona banalna albo niesamowita. W wypadku morderstw Kafkowskich potencjał sprawcy tkwił nie w jego ohydnej ludzkiej psychce, lecz w fantazji, której pomysłowość i kreatywność, jak stwierdził Kellermann, są bezkresne. Oto ktoś opowiadał coś, co przekraczało granice wyobraźni ich wszystkich i potęgowało obraz zła do nieskończoności.

Teraz wszystko wydawało się możliwe. Wcześniej Miriam miała dość prosty wizerunek przestępców: to ludzie, których do zbrodni popychała słabość charakteru, lekceważenie, niedbalstwo, często również zła wola, a do jej prokuratorskich zadań należało pociągnięcie ich do odpowiedzialności.

Samozwańczy sędzia poszerzał jednak to spektrum. Używał środków, które znajdowały się poza zasięgiem jej świata wyobraźni, i były potężniejsze niż cała reszta: posługiwał się imaginacją i fantazją.

Z zamyślenia wyrwały Miriam dwie około piętnastoletnie dziewczyny, które wsiadły na kolejnej stacji metra i klapnęły na ławce naprzeciwko. Jedna z nich telefonowała. Do różowej komórki z klapką paplała rzeczy, których sensu Miriam nie pojmowała.

- Cze, łajzo. No, jak tam? Kurwa, nie. Teraz nie. W dwójce? Nie, skąd, sama. Z Elli.

Miriam nie była w stanie rozszyfrować wypowiedzi piskliwego głosu

płynącego z telefonu.

- To chore... - Dziewczyna ucięła potok słów rozmówczyni. - Wisi mi, co wyprawia ten koleś. A ty łajza jesteś.

Zakończyła rozmowę szybkim ruchem ręki, podniosła nogi i ułożyła stopy w ciężkich białych adidasach obok toreb Miriam. Półdługie włosy dziewczyny były pofarbowane na czarno, w sztucznym świetle metra sprawiały jednak wrażenie szarych jak u staruszki. W połączeniu z poszarpanymi jeansami, opuszczonymi do linii bioder i błyszczącą gumką stringów, które spod nich wystawały, wyglądały groteskowo. Obydwie dziewczyny miały na sobie szerokie srebrne pasy z nitami, które oplatały ich ciało i zdawały się przytrzymywać całą ich osobowość.

- Co tak filujesz, stara? - prychnęła raptem nastolatka, gdy zorientowała się, że Miriam się jej przygląda. - Rozbierasz mnie tymi gałami.

Jej koleżanka ryknęła śmiechem, podczas gdy Miriam, starając się udać obojętność, wlepiła wzrok w szybę.

- Lesba jakaś czy co? - rozległ się ponownie zaczepny głos dziewczyny. - Przyssało cię do mnie czy co?

- Czemu nie? - włączyła się druga. - Może ci przecież wisieć, z kim się bzykasz. Dzisiaj trzeba być... elastycznym.

Inni pasażerowie nie reagowali. Ani jednego współczującego czy zaciekawionego spojrzenia. Albo choćby nawet obojętnego rzutu okiem. Wręcz przeciwnie. Zewsząd otaczała Miriam tylko chłodna ignorancja, gdy zerwała się i uciekła do drzwi wagonu, gdzie drżącymi rękoma chwyciła się poręczy.

Błędem było myśleć, że inni ludzie czują podobnie jak my sami, że okazują te same uczucia. Czysta iluzja. Na przykład te dziewczyny. Znajdowały się poza jej światem, poza granicami jej percepcji. Kierowały się zupełnie odmiennymi zasadami. Każdy człowiek w tym wagonie, w tym mieście, tworzył własny mikrokosmos. To naiwność, całkowita ułuda, wierzyć, że drugi człowiek to tylko zwierciadło, w którym dojrzeć możemy samych siebie. A naiwność była ostatnią rzeczą, którą powinno się zarzucać Miriam.

Metro dawno już zatrzymało się na stacji Merianplatz. Miriam w ostatniej chwili zorientowała się, że musi wysiąść. Niecierpliwie przepchnęła się obok wsiadającej matki z dzieckiem w wózku. Zaczepiła przy tym o jedno z kółek. Śrubka zadrapała jej nogę, poczuła, jak drą się jej pończochy i oczka błyskawicznie lecą aż po kolana. Spróbowała się uwolnić, z całej siły rozepchnęła drzwi i wyskoczyła na peron, gdzie przez moment się zachwiała i o mało nie upadła. Udało się jej jednak zachować równowagę. Przycisnęła do piersi plastikową torbę z dziełami zebranymi Kafki.

Wieczór był chłodny, a wiatr nieprzyjemny. Znowu poczuła ból głowy, gdy śpiesznie szła do domu. Co, u licha, podkusiło ją, żeby zostawić chryslera i zdać się na prawa podziemnej dżungli?

Nadal ani śladu Paula Oliviera. A motywy samobójstwa Milana Husa odeszły

na tamten świat razem z nim.

Poczłapała do łazienki. Ponad dwadzieścia minut spędziła pod prysznicem, ustawivszy tak gorący strumień wody, że jej skóra prawie się ugotowała. Potem poszła do sypialni i wyjęła z szafy nienoszone dotąd spodnie dresowe marki Adidas. Berit wpadła kiedyś na spontaniczny pomysł chodzenia do klubu fitness. Nigdy go nie zrealizowały, bo wszystkim brakowało czasu.

Boso ruszyła do kuchni i otworzyła drzwi lodówki. Realizując postanowienie zwracania uwagi na to, co je i pije, starannie przygotowała kolację, a potem wzięła butelkę wina i poszła do salonu.

Na dworze zapadł już zmrok.

Lekko mżyło, a wiatr niósł w powietrzu drobinki, które cicho dudniły.

Miriam włączyła telewizor i sięgnęła po torbę z książkami. Dziesięć tomów Kafki. Biografia. Od czego tu zacząć?

Nalała sobie kieliszek czerwonego wina, pociągnęła łyk, wyjęła pierwszą książkę i otworzyła. Gorąca kąpiel ją zmęczyła, a wino uderzyło do głowy.

Nie spała chyba długo. Mimo to, gdy się obudziła, nie wiedziała, gdzie się znajduje.

W pierwszej chwili uznała, że dzwonek telefonu płynie z telewizora. Nie, jednak nie. Zidentyfikowała Audrey Hepburn na spacerze z jakimś znanym aktorem w mundurze.

Wykluczone. Do tej sceny nie pasował telefon.

Nie będzie odbierać. Nie, nawet się nie ruszy.

Serce głośno jej biło. Głuche dudnienie. Miriam zerwała się, pobiegła do przedpokoju i jednym szarpnięciem wyrwała wtyczkę z kontaktu.

- Ha! - krzyknęła głośno pośród ciszy. Odczuła wręcz fizyczną ulgę, podniosła słuchawkę i, chociaż połączenie było zerwane, zawołała: - Mam nadzieję, że zrozumiałeś. Nie dam się już dłużej zastraszać.

Roześmiała się. Wystarczyło wyjąć wtyczkę.

- No proszę - powiedziała. - To takie proste.

Z serca spadł jej ogromny kamień. Wróciła do pokoju, położyła się na kanapie i wsłuchiwała w to, co mówiła Audrey Hepburn. Przypomniała sobie. To *Wojna i pokój*. A ten znany aktor to Henry Fonda.

Teraz, czując się wyspana i do tego oswobodzona, była gotowa ponownie zająć się Kafką. Na chybił trafił wzięła z podłogi jedną z książek. Tytuł brzmiał: *W kwestii praw*.

Kartkowała tomik, gdy zaczęła dzwonić komórka. To mógł być tylko ktoś z pracy albo z rodziny. Nikt poza tym nie miał tego numeru.

Nachyliła się, by wydobyć telefon z torebki. Zbyt późno zauważyła, że na wyświetlaczu nie widać żadnego numeru.

Z aparatu buchnęła głośna muzyka. Zirytowana przez chwilę się jej przysłuchiwała, myśląc, że to jakaś automatyczna poczekalnia. Klasyczna melodia wydała się jej jednak znajoma. Nagle ucichła i ktoś powiedział:

- Poznajesz?

Potem śmiech i, zanim Miriam zdołała się odezwać, rozmówca się rozłączył.

Poznajesz? Przypomniała sobie już w chwili, gdy padało pytanie. *Le Sacre du printemps*. Melodia Heleny Baarovej. Zupełnie o tym zapomniała. Muzyka zdawała się nie mieć żadnego znaczenia. Śmiertelny taniec dziewczyny w kręgu mężczyzn. To nie przypadek. Czy ten telefon miał być dla niej przestrożą?

Le Sacre du printemps.

Pozostał przemożny, mroczny strach, który pożarł wszystkie myśli.

Kto dzwonił? Tylko z tym pytaniem w głowie, Miriam rzuciła się do ucieczki z własnego mieszkania, ubrana jedynie w dresowe spodnie i podkoszulkę. W ostatniej chwili złapała jeszcze torebkę.

Było już wpół do jedenastej. Wieczór zrobił się jeszcze zimniejszy. Otuliwszy się ramionami, biegła ulicą, nie wiedząc, gdzie zaparkowała chryslera, by wreszcie przypomnieć sobie, że przyjechała do domu metrem.

Nie mogła wrócić. Dzwoniący włożył palec dokładnie w sam środek rany. Wiedział, kiedy bywała w domu, znał jej fobie, umiał czytać w jej myślach. Gdzieś tam istniał ktoś potrafiący się wczuć w jej położenie.

Przez chwilę pomyślała, że on mógłby być sędzią, który skazał ją na wieczny strach. Zatrzymała się, ale zimno szybko zmusiło ją, by iść dalej.

Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz stała nocą samotnie na stacji metra. Sięgnęła do torebki i sprawdziła, czy komórka jest pod ręką i ma naładowaną baterię.

Tablica informacyjna zapowiadała przyjazd kolejki za trzy minuty. Miriam chodziła po peronie tam i z powrotem, oddychając zatechłym powietrzem i wsłuchując się w szum, z którym zbliżał się pociąg. Za nią rozległ się śmiech i gdy się odwróciła, ujrzała grupę młodzieży, która zbiegała po schodach. Powinna dowiedzieć się, co z Davidem. Jak się miewał. Ktoś mówił, że po samobójstwie ojca przeprowadził się do przyjaciela. To dobrze, pomyślała.

Teraz peron się zaludnił. Światła pociągu widać było już z daleka na ścianach tunelu.

Poczuła na plecach falę powietrza, gdy kolejka hałaśliwie wtoczyła się na stację i w kilka sekund później z piskiem wyhamowała.

Miriam przepychała się do drzwi, gdy jej wzrok padł na oświetloną reflektorami metra chwiejną sylwetkę, która wychodziła z tunelu, przyciskając się do ściany.

Wstrzymała oddech. Niepewnym skokiem postać dostała się na peron. Prawa noga była już na bezpiecznym terenie, tymczasem lewa się ześlizgnęła. Miriam obawiała się, że ten człowiek mógłby upaść na tory, i już zaczęła się zastanawiać, co robić. Pasażer za nią niecierpliwie pchnął ją do przodu. Wsiadła do wagonu i opadła na wolne miejsce. Przez szybę dalej obserwowała chwiejną sylwetkę i odzyskała spokój dopiero wtedy, gdy nieborak bezpiecznie stanął na peronie.

Przed zamknięciem drzwi rozległ się przejmujący sygnał. Kolejka metra

szybko ruszała z miejsca. Miriam siedziała z twarzą przyklejoną do okna. Ten powłóczysty chód wydał się jej znajomy. Im bliżej wjazdu do tunelu, tym większej pewności nabierała: intuicja nigdy jej nie zawiodła. Gdy wreszcie znalazła się na wysokości mężczyzny, który teraz zbliżał się do schodów, rozpoznała go. Alex. Wyglądał absurdalnie, bo miał na głowie czarny kapelusz.

Naraz Miriam uświadomiła sobie wszystko. Gdzieś w tym mieście ktoś znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i jeżeli się nie pośpieszą, sędzia również na jego karku wryje swój podpis. Jego śmierć będzie wybawieniem, bo oznaczała oswobodzenie z królestwa fantazji, na które sędzia okrutnie skazał ofiarę.

Może, pomyślała, sędzia osądził nas wszystkich, tyle tylko, że dla każdego przygotował inny wyrok.

32

Berit otworzyła drzwi zaspana, z rozczochranymi krótkimi włosami i w piżamie w kratkę, znacznie na nią za dużej. Na widok Miriam po jej twarzy przemknął radosny uśmiech. Miriam była wdzięczna, że nie musi przeproszać za przeszkadzanie o tej porze – była dwudziesta trzecia osiem.

Zamiast tego Berit powiedziała:

– Jejku, Miriam, fajnie, że znowu wpadłaś. Wejdz.

– Gdzie Ron?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że w pracy.

– Czy jest z Henrim?

Berit rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie:

– Nie wiem. Powinnam do niego zadzwonić?

– Tak. Powinnaś – powiedziała Miriam.

Berit ruszyła przodem do pokoju dziennego, wielkiego, skąpo umeblowanego pomieszczenia, w którym Miriam mogła wreszcie odetchnąć.

– Coś się stało? – zapytała i zaraz potem dodała: – Durne pytanie wobec tego, co się dzieje w tym mieście. Czy on naprawdę zaszył temu studentowi usta?

Miriam skinęła głową.

– Chcesz się czegoś napić? Wina, wody?

– Herbaty, z dodatkiem rumu, jeśli taki masz.

– Już się robi.

Berit zniknęła w kuchni, skąd dobiegł Miriam swojski brzęk naczyń i szum elektrycznego czajnika.

Usiadła na ogromnej czerwonej sofie, na której leżał pognieciony i poplamiony szmaciany zajaczek, którego bez namysłu wzięła i mocno przytuliła. Nie, nie zapyta Berit, jak poradziła sobie z odpowiedzialnością wydania dzieci na świat. To było bezsensowne pytanie. Ludziom rodziły się dzieci. To prawo natury. Może istniała opcja, ale raczej nie było wyboru.

Berit weszła do pokoju z tacą i postawiła ją na stole.

– Obydwaj oczywiście utknęli w biurze, chociaż zastanawiam się, jak można w takim miejscu wsiąknąć. Powiedziałam im, że tu jesteś. Zaraz przyjadą. –

A rzuciwszy okiem na zajęczka, dodała: - O, widzę, że już się rozgościłaś.

Miriam zgmiotła szmaciaka w dłoniach:

- Słodziak.

- Tak, ale niehigieniczny. To tylko w ramach ostrzeżenia. - Berit usiadła obok, przyjrzała się jej z zaciekawieniem i w końcu powiedziała: - Okej. Oni zaraz tu będą. Masz tylko kwadrans, żeby mi wyjaśnić, co właściwie dzieje się z tobą i Henrim. Wciąż próbuję z nich obu coś wydusić, ale zachowują się tak, jakby byli z CIA. Po prostu nic mi nie mówią. Próbowałam już wszystkiego.

Miriam po raz pierwszy wypowiedziała na głos prawdę:

- Henri zakończył nasz związek. Nie widzi w nim sensu.

Berit w żadnej mierze nie wyglądała na zszokowaną.

- Aha, i dlatego od tygodni łazi z tą skwaszoną miną? Bo chce się ciebie za wszelką cenę pozbyć i wreszcie mu się to udało?

Miriam wzruszyła ramionami.

- Powiedz mi, w czym problem? - Berit podciągnęła nogi na kanapę i usadowiła się, czekając na poufną rozmowę.

- Problem polega na... ty i Ron odgrywacie świętą rodzinę. I Henriemu też się najwyraźniej tego zachciało. - Miriam odłożyła zajęczka w kąt sofy.

- Cholera, ja tego towaru nie chciałam. Ale zwrotów dzieci też już nie przyjmują.

- Nie. - Mimo całej zgryzoty Miriam musiała się roześmiać.

- A ty - zapytała Berit - nie chciałabyś mieć świętej rodzinki?

- Nie o to chodzi.

Jak to jej wyjaśnić?

- Może to tylko chwilowy kryzys, taki kryzys wieku średniego. - Berit zaczęła głośno myśleć. - Wiesz przecież, że mężczyznom wtedy odbija. Stają się neurotyczni, jakby musieli nadrabiać te swoje czterdzieści lat.

- On postawił mi to cholernie niesprawiedliwe ultimatum - wyrzuciła z siebie Miriam. - Wywiera na mnie presję, szantażuje mnie.

- Jakie ultimatum?

Miriam opowiedziała Berit o żądaniach Henriego i ich kłótni.

- Żeby przynajmniej jeszcze raz ze mną o tym spokojnie porozmawiał, a nie tylko uprzejmie się witał. Gdybym mu tylko mogła wytłumaczyć...

- Co chcesz mu tłumaczyć? Skoro nie chcesz mieć dzieci, to...

Miriam pokręciła głową.

- Może wcale nie mówił tego poważnie. Tylko zasłaniał się tymi powodami. Może zwyczajnie chce się tylko rozstać.

- Aż tacy inteligentni mężczyźni nie są. Nie robią takich skomplikowanych korowodów tylko dlatego, że chcą pozbyć się kobiety. Szczerze mówiąc, uważam, że Henriemu odbiło, skoro wymyślił sobie takie ultimatum. To przez tę ich manię na punkcie męskości. Potrzebują potwierdzeń dla swoich ego. - Berit krótko się zaśmiała. - Wojenne strategie, kapujesz? W sporcie, w pracy, w życiu, w miłości.

- Ale jeżeli naprawdę chciałby spędzić ze mną życie, to musiałby mnie... - Miriam zająknęła się, nie miała odwagi wymówić tego na głos, jednak w spojrzeniu Berit było tyle zrozumienia, że w końcu powiedziała: - Musiałby mnie kochać, prawda?

- Może dokładnie tak jest. Nie, nie może. On naprawdę uważa, że jesteś jego życiem. Jediną prawdziwą miłością. Henri wierzy w coś takiego.

- Tylko że nic w jego zachowaniu na to nie wskazuje. - Miriam pokręciła głową. - Wręcz przeciwnie. On traktuje mnie tak samo jak... jak Rona.

Berit parsknęła śmiechem.

- Nie, właściwie gorzej niż Rona. Nawet gorzej niż tego Kevina Wagnera. Wobec niego okazuje przynajmniej coś w rodzaju pogardy. Mnie tymczasem ignoruje. Jestem dla niego nikim. Powietrzem. Nic go bardziej nie cieszy od mojej nieobecności.

Im dłużej Berit kręciła głową, tym silniej Miriam starała się ją przekonywać.

- On nie rozmawia ze mną. Nawet nie mam szansy, żeby mu cokolwiek wytłumaczyć.

- W czym tkwi twój problem?

- Nie chodzi o Henriego, tylko o jego żądania. Nie mogę ich spełnić. Nie teraz. To niemożliwe, bo wtedy musiałabym mu opowiedzieć... gardziłby mną...

- Zawahała się na chwilę. - On zasługuje na kogoś lepszego.

- Niż ty?

- Nie jestem jeszcze na tym etapie. Znam go przecież dopiero od roku.

- O czym ty mówisz? - Berit posiadała umiejętność zaglądania do wnętrza innych osób w taki sposób, że człowiek czuł się nagle przezroczysty. Powinna pracować w tajnych służbach. - Na czym naprawdę polega twój problem?

Miriam przełknęła ślinę. Wiedziała, że teraz nadszedł moment, w którym powinna o tym porozmawiać. Przepiętna nadzieją nadstawiła uszu, czy przypadkiem któreś z dzieci nie płacze. Panowała jednak cisza, a przenikliwe spojrzenie Berit nie dawało jej żadnych szans uniku.

- Nic na to nie mogę poradzić - oznajmiła - ale gdy myślę o dzieciach, wpadam w panikę.

- Oczywiście, to zupełnie normalne.

- Nie, mnie chodzi o coś innego.

- Dałabyś radę - zapewniła ją Berit. - Przecież widzę, jak obchodzisz się z bliźniakami.

Miriam wyprostowała się i popatrzyła Berit prosto w oczy.

- Nie wiem, jak mam mu o tym powiedzieć.

- O czym?

- Że już raz byłam w ciąży.

Berit milczała.

- Mogłam mieć dziecko... ale go nie urodziłam. Straciłam tę szansę.

Przyjaciółka siedziała przez kilka minut w ciszy, zmarszczyła czoło, aż w końcu sucho oznajmiła:

- Nie wiedziałam, że samice homo sapiens mogą zachodzić w ciążę tylko raz w życiu. Chyba że przy okazji aborcji kazałaś się też wysterylizować?

Berit wypowiedziała ten wyraz, to słowo, które w uszach Miriam miało w sobie coś okrutnego, barbarzyńskiego. Pobrzmiwało dokładnie tym, co oznaczało. Że coś żywego zostało brutalnie wyskrobane z jej ciała i rozerwane przy tym na strzępy.

- Złamałam prawo, bo zrobiłam to po przekroczeniu ustawowego okresu, w którym jest to dozwolone.

Berit głośno się roześmiała.

- No tak, to martwi panią prokurator! Złamałaś prawo. I co z tego?

- Nie w tym problem.

- A więc w czym?

- Pozwoliłam sobie zdecydować o życiu innego człowieka.

- Jeśli można w ogóle wtedy mówić o istocie ludzkiej...

- Nie - przerwała jej Miriam. - Wszystko, byle nie ta dyskusja. Ona nie ma sensu. To, że nie wiemy, czy to już człowiek, czy nie, i że samowolnie ustalamy granicę jego człowieczeństwa, wcale mnie nie odciąża. Już na studiach zacięcie walczyłam o to, by różnicę pomiędzy morderstwem a zabójstwem usprawiedliwiać tylko w wyjątkowych wypadkach i mówić zasadniczo o przestępstwie, bo w ostatecznym rozrachunku liczy się wyłącznie jedno: że ktoś został zabity.

- Ty nie zamordowałaś swojego dziecka. - Berit przysunęła się bliżej Miriam i otoczyła ją ramieniem.

- Ale zawsze powtarzałam, że jeżeli ktoś raz przekroczy barierę psychiczną pomiędzy szacunkiem dla życia drugiego człowieka a uzurpacją do możliwości położenia mu kresu, może to zrobić ponownie. Ja nienawidziłam tej istoty w moim brzuchu, rozumiesz? Możliwe, że będę nienawidzić każde dziecko, które...

- Nie - ostro zaprzeczyła Berit.

- Nikt jednak nie jest w stanie mnie uniewinnić.

- Nie - kiwnęła głową Berit. - Tylko ty sama.

- Nie zasłużyłam na drugą szansę. Nie mogę przestać tak myśleć.

Gdy w przedpokoju otwierały się drzwi, Miriam wybuchła płaczem. Berit wstała, wciskając jej wcześniej do ręki pobrudzoną szmatkę przytulankę.

- Wyszedł z metra.

Nie takiej reakcji spodziewała się Miriam. Henri i Ron patrzyli na nią z niesłabnącym znakiem zapytania w oczach. Może widać było jeszcze ślady łez w postaci rozmazanego tuszu do rzęs? Bezwiednie przejechała palcem wskazującym po dolnych powiekach, by wytrzeć potencjalne ślady smutku.

- No co? - skarciła ich obu. - Co się tak na mnie gapiecie?

- Nie wiem - odparł powoli Henri, sprawiając przy tym wrażenie, że chce ją oszczędzić - co w tym takiego szczególnego, że widziałaś Aleksa w metrze.

- Wyszedł z tunelu. Dziwne było to, że wyszedł z tunelu.

Ron zmarszczył czoło, jakby rozpaczliwie przerzucał kartki w swoim mózgu, by znaleźć miejsce z jakimś wytłumaczeniem:

- Z tunelu?

- Tak.

- Co tam robił?

- Nie wiem. Ale wyglądało to dziwnie. No bo kto chodzi tunelem metra? To niebezpieczne. I jeszcze ten kapelusz.

- Jaki kapelusz? - ziewnął Ron.

- O którym mówił. Pamiętacie? Facet, którego widział tego wieczoru, gdy zginęła Helena Baarová. Miał na głowie kapelusz. Jak Pan Tau.

- Pan Tau - powtórzył Ron.

Oto jego typowa zagrywka. Powtarzał słowa innych i przez to nadawał im niewiarygodne brzmienie.

- Czy musisz wszystko powtarzać?

Podniósł ręce w przeproszającym geście.

- Bo to brzmi tak...

- Przestań, Ron - przerwała mu Berit. - Powinniście odszukać tego Aleksa i zapytać go, co robił w tym tunelu.

Ron rzucił jej spojrzenie, które mówiło: Tylko się w to nie wtrącaj!

- Jest środek nocy. - Henri popatrzył na zegarek, potem na Miriam. - Jak myślisz?

- Musimy go znaleźć.

- Jak, do cholery? - zaprotestował Ron.

- Nie ma zbyt wielu miejsc, w których mógłby być - odparła Miriam.

- Skąd wiesz? - rzucił Ron. - On mieszka na ulicy. Jest bezdomny i uzależniony od narkotyków. Nocą się gdzieś zaszywa. W jednej z nor, którymi podziurawione jest miasto.

- Ile takich nor może być? - syknęła Miriam. - I po co są patrole policyjne? Wydajmy ogłoszenie o poszukiwaniu.

- Dlaczego to nie może poczekać do jutra? - spytał Ron.

Nie odpowiedziała. Wyczuwała to bardzo wyraźnie, tyle tylko, że nie umiała tego nazwać. Coś się jednak w niej krystalizowało. Przeświadczenie. Jasne wyobrażenie na temat tego, co Alex robił w tunelu. Dlaczego tam był.

- Tego jeszcze nie wiem. W każdym razie jedno jest oczywiste: On nie był tam przypadkowo. Pamiętajcie o kapeluszu!

- Muszę się przedtem napić wina - powiedział Henri.

- Teraz? - zapytała Miriam.

- A kiedy? Jest środek nocy. Od szóstej rano jestem na nogach. Nie mam prywatności - popatrzył na Miriam - niczego, co ubarwiałoby moje życie, oprócz tej wieczornej lampki wina, która czasami daje mi poczucie, że robię coś intymnego. A skoro nie dajesz za wygraną, to ta noc będzie długa i nie pozostaje mi nic innego, niż napić się, będąc na służbie.

- Szczerze mówiąc, stary - odezwał się Ron i rzucił okiem na zegarek - już nie jesteś na służbie.

- Może według oficjalnego harmonogramu. Dopóki jednak nie rozwikłamy tej sprawy, jestem cały czas na dyżurze. Tak więc, Berit, daj mi kieliszek wina, zanim zanurkuje w katakumby tego miasta, by ruszyć w pościg za narkomanem w kapeluszu.

- Nabijasz się ze mnie? - prychnęła Miriam.

- Gdyby tak było, wstałbym i poszedłbym sobie.

- W lodówce jest chyba jakaś butelka - wtrąciła się Berit i podniosła się. - Czy ktoś jeszcze ma ochotę?

- Ja wolałbym piwo - wymamrotał z rezygnacją Ron.

- Miriam? - Berit spojrzała na nią wyczekująco.

- Nie, mam już lekkie zaćmienie od tej odrobiny rumu. Jak coś jeszcze wypiję, to już w ogóle nie będę mogła jasno myśleć.

Berit wyszła z pokoju, a oni w trójkę siedzieli w milczeniu i przysłuchiwali się otaczającej ich ciszy. Ileż to czasu spędzili tak razem w ciągu ostatniego roku. Teraz jednak było inaczej. Miriam była poza nawiasem, czuła się jak outsider. Miała prowadzić to śledztwo, a oni obydwaj zachowywali się tak, jakby im przeszkadzała. Jakby psuła im zabawę. Byli raczej gotowi zaakceptować Kevina Wagnera niż ją. Zakłóciła równowagę we współpracy policji i prokuratury. Ale nie mogła postąpić inaczej. To nie była zwykła sprawa. Nie chodziło o prowadzenie śledztwa, które doprowadzi do sprawcy, i o zbieranie materiału dowodowego, by postawić go w stan oskarżenia.

Istniał tylko jeden cel: zatrzymać człowieka, który urzeczywistniał swoje szaleńcze pomysły. Wszelkie myśli o późniejszym procesie Miriam odsuwała na bok. Nie liczyło się to, czy dochodzenie przebiegało poprawnie. Błędy w śledztwie stały się nagle pojęciem, którym gardziła. Miała w dupie te całe cholerne służbowe procedury. Jeżeli Henri i Ron nie zechcą współpracować, sama ruszy w miasto, by znaleźć Aleksa.

Henri głęboko nabrał powietrza.

- Gdzie dokładnie go widziałaś? - zapytał.

- Na Merianplatz - odparła. - Pewnie nie zaszedł daleko.

Berit wróciła z kieliszkiem wina i butelką piwa i postawiła je na szklanej ławie.

- Nie mogę przestać myśleć o tym manuskrypcie - powiedziała.

W pierwszej chwili Miriam nie wiedziała, o czym ona mówi.

- Manuskrypt?

- Ron mi o nim wspominał. Co, jeżeli ten facet, który zaginął...

- Paul Olivier?

- Tak. Jeżeli on jest gdzieś tam na dole.

- Gdzie na dole? - Miriam nie rozumiała, co Berit chciała przez to powiedzieć.

- W metrze.

W tym momencie z pokoju dziecinnego dobiegł ich płacz, do którego zaraz potem dołączył drugi lamentujący głosik.

- Boże - prychnął Ron. - Akurat teraz.

- Uspokój się - powiedziała Berit. - Dzieci są ostatnim powodem, żeby się denerwować.

- Mogę pójść z tobą? - zapytała Miriam.

W pokoju paliło się przyćmione światło, a z dwóch dziecięcych łóżeczek rozlegał się głośny protest przeciw zakłócaniu ciszy nocnej.

- Już dobrze, cichutko... - mamrotała Berit.

Miriam podeszła do drugiego łóżeczka, z którego pomstowała zaczerwieniona buzia Marie.

- Twoje prawo - wyszeptała Miriam i troskliwie pogładziła spoconą ciemną czuprynkę. - Wyj, małeńka. Ja też bym tak chciała, po prostu drzeć się wniebogłosy.

Chłonęła kojący zapach dziecka i zastanawiała się, kiedy sama utraciła tę zdolność krzyczenia.

FRANKFURT NAD MENEM

NIEDZIELNA NOC, 20 MAJA

33

Samochód wjechał na Platz der Republik, gdzie Ron skręcił w prawo na Mainzer Landstraße, by po kilku minutach zatrzymać się pod ponurym budynkiem. Stało przed nim parę żalonych postaci, które marzły i paliły papierosy, jakby czerwony żar tytoniu mógł ich ogrzać.

Przed tym domem przy Mainzer Landstraße nikt nie wystawał bez powodu. Ten, kto tu przebywał, czekał na to, by wreszcie dostać się do La Strady i dostać łóżko na noc albo legalnie wstrzyknąć sobie heroinę.

Po zadzwonieniu do drzwi otworzył im przygarbiony człowiek o wielkich pustych oczach i zaprowadził ich do stołówki. Siedziało tam około tuzina mężczyzn i kobiet. Wszystko we wnętrzościach Miriam się ścisnęło. Nie tylko dlatego, że woń ciał, wyziewów, jedzenia, dymu papierosowego, alkoholu i ulicznego brudu niemal ją powaliła, lecz także dlatego, że szare postacie przy stole nie rozmawiały, tylko tępo gapiły się w pustkę. Stała tuż obok jednego z nich. W porównaniu z innymi był jeszcze młody. Na oko jakieś dwadzieścia pięć lat. Miał blond włosy do ramion i chude ręce. Głowa osuwała mu się w dół, jakby zapadał w drzemkę, by zaraz potem wzdrygnąć się i wyprostować, jakby nie miał odwagi zasnąć.

Nikt nie powinien tak żyć. Mimo to musiała to zaakceptować, nie mogła temu zapobiec. Wiedziała to. Tak podpowiadało jej doświadczenie. Odruchowo zastanowiła się, ile ma przy sobie pieniędzy. Rozejrzała się, czy gdzieś nie stoi puszka na datki.

- Alex? - usłyszała pytanie kobiety, która pełniła dyżur.

Jak ona się nazywała? Miriam dostrzegła plakietkę na czarno-szarej bluzie w kratę. Lindner. Christina Lindner.

- Tak, był tutaj. Całkiem niedawno. Zjadł coś, wypił i... - urwała.

- Dostał działkę? - zapytał Henri.

Pracownica pomocy socjalnej kiwnęła głową.

- Tak.

- Co bierze?

- Heroinę i regularnie crack. Właściwie wszystko oprócz tabletek i haszyszu.

- Jak często?

- Potrzebuje trzech działek dziennie, w przeciwnym razie wpada w głód.

- Potem zaraz poszedł?

Kobieta westchnęła.

- Powinien spędzić tutaj noc, ale ledwie się odwróciłam, zwiął. Alex ma marskość wątroby. - Potrząsnęła z rezygnacją głową. - Nie przeżyje, jeśli nie podda się leczeniu.

- Dlaczego nie odstawicie go do kliniki? - zapytała Miriam i natychmiast pożałowała swojego agresywnego tonu. Do diabła, nie uzurpuj sobie prawa

do osądzania. Ci ludzie dobrze wiedzą, co robią.

- Wie pani, ile razy był już na odwyku? Chyba z siedem. On sobie z tym nie radzi. Nigdy z tego nie wyjdzie. Bo nie chce.

W tym momencie przewrócił się kubek, przed którym siedział młody mężczyzna. Cola rozlała się na stół i jego spodnie. Zdawał się tego nie zauważać, tylko nieufnie wlepił wzrok w przewrócone naczynie, jakby rozkołysała je niewidzialna ręka. Znak od kosmitów, jakaś siła, której ani nie ogarniał rozumem, ani nie miał na nią wpływu.

- Niech państwo usiądą. - Kobieta wskazała wolny stolik. - Zanim powiem, gdzie można go ewentualnie znaleźć... podkreślam, ewentualnie... chciałabym wiedzieć, dlaczego w ogóle jest poszukiwany. To nie jest typ rozrabiaki.

- Jest przypuszczalnie świadkiem w jednej, nie, w dwóch sprawach o morderstwo. Czy coś o tym wspominał? - Henri, mówiąc to, zajął miejsce tuż obok Miriam.

Jego bliskość działała na nią kojąco. Mimowolnie spojrzała na datownik w zegarku. Kończyły się dni do upływu ultimatum.

- Czy coś wspominał? - Henri powtórzył pytanie.

Pani Lindner krótko się zaśmiała.

- Alex? On nigdy nie potrafi utrzymać buzi na kłódkę. Zawsze myśli, że musi obwieszczać światu jakieś ważne nowiny. Ludzie biorą narkotyki z różnych powodów. Niektórzy są słabi, inni uwielbiają dostać kopa...

- A Alex?

- Alex jest po prostu desperatem. Idzie przez świat z otwartymi oczyma i dobija się tym, co ogląda. Kto mógłby mu to brać za złe? Ale właśnie to tak bardzo utrudnia jego terapię. On ma swoją własną filozofię. Nie chodzi mu o to, by przed czymś uciec, nie, on inaczej nie potrafi znieść życia.

- Czy to nie to samo?

- Nie. - Pani Lindner posłała jej surowe spojrzenie i powtórzyła: - Nie. Pomiedzy ucieczką a desperacją istnieje ogromna różnica. Alex jest kimś, kto nadal dostrzega wszystko, co się dookoła niego dzieje. Jest zbyt wrażliwy.

Miriam usiłowała sobie przypomnieć, co Alex powiedział podczas ich pierwszej rozmowy.

- A dzisiaj? - usłyszała spokojny głos Henriego.

- Dzisiaj? - Pracownica pomocy socjalnej zmarszczyła czoło. - Dużo gadał, a to, co mówił, brzmiało nawet jak na niego dość mętnie. Jeśli dobrze pamiętam...

- Czy miał ze sobą kapelusz? - przerwała jej Miriam.

- Kapelusz? Nie.

- Co takiego opowiadał, co brzmiało... jak to pani określiła... mętnie? - dopytywał się Ron.

- No cóż, dzisiaj miał przyływ religijności. To nie w jego stylu. On zawsze jest cięty na Kościół i papieża. Czasami, gdy ma jasność umysłu, myśli bardzo politycznie.

- A dziś?

- Opowiadał coś o piekle. O drodze do ciemności. I o świetle. - Zamyśliła się na moment. - Już nie pamiętam dokładnie, ludzie tutaj opowiadają często dziwne rzeczy, więc nie zawsze dokładnie się przysłuchuję.

- Niech pani spróbuje sobie przypomnieć. - Henri nachylił się do przodu. - To bardzo ważne.

Roześmiała się.

- Ach tak, mówił coś o Panu Tau i że to wcielony diabeł. Taki, na którego wszyscy musimy uważać. Rzekomo wilk w owczej skórze. Jak się teraz tak nad tym zastanowię, to...

- To co?

- No nie wiem, ale sądzę, że się bał.

- Czego?

- Nie mam pojęcia. Zapytałam, czy chce tu spać, ale powiedział, że nie, że nigdy już nie zaśnie. Musi pilnować miasta.

- Pilnować miasta? - powtórzył Ron.

- Tak, dokładnie tak. Pamiętam dobrze, bo na odchodnym mówiłam mu: „Ty lepiej przypilnuj siebie, Alex”. - Przeczesała nerwowo włosy. - A on na to coś odpowiedział.

- Co?

- „Mylilem się. Zupełnie się myliłem. Sądziłem, że to świat musi chronić mnie, ale jest zupełnie inaczej. Muszę ratować świat”. A potem mnie zapytał, czy nie jest już za późno.

- Za późno?

- Tak. Odpowiedziałam, że nigdy nie jest za późno na ratowanie świata.

Miriam wzdrygnęła się i pomyślała, jak kobieta z takim doświadczeniem mogła wygadywać takie bzdury. Jak mogła tymi słowami odprawić takiego człowieka jak Alex.

- Wtedy on powiedział „Bogu dzięki”. I poszedł. - Kobieta wstała. - Aha, zostawił swoje rzeczy.

- Jakie rzeczy? - spytała zaniepokojona Miriam.

- Ludzie, którzy tu przychodzą, są przywiązani do tych niewielu rzeczy, które mają. Oni bardziej obawiają się kradzieży plastikowego worka niż menedżer drży o mercedesa. Mamy tutaj skrytki, w których mogą deponować swój dobytek.

- Gdzie one są? - Henri się podniósł.

- Proszę za mną.

Wyszli na korytarz, a pani Lindner zatrzymała się przed jakimiś drzwiami.

- Zaraz wracam. - Zniknęła na chwilę i po paru sekundach wróciła z kluczem.

- Jeszcze leżał na biurku. Alex przecież dopiero co wyszedł.

Ruszyła przodem i sprowadziła ich po schodach, gdzie przystanęła przed skrytkami.

- Mamy je ze starej fabryki. Zawsze jesteśmy uzależnieni od darowizn. To

tutaj. Numer czterdzieści sześć. – Otworzyła drzwiczki.

Ujrzeni dwie wypchane plastikowe reklamówki.

– Niechętnie to robię. W tych workach znajduje się całe życie tych ludzi. Ich sfera intymna. To tak, jakby wtargnęli państwo do ich mieszkania.

– Wiem – odparł Henri. – Alex jest jednak ważnym świadkiem. Czy gdy tu bywał, nigdy nie opowiadał o Helenie Baarovej? – Zrobił krok do przodu, sięgnął po pierwszy worek i go otworzył.

– Helena Baarová? – zapytała pani Lindner.

– Zna ją pani?

– Co z nią?

– Nie żyje.

Pracownica pomocy społecznej potrząsnęła głową.

– Tak, mówił o niej. Czasami. Zawsze mówił, że to jego wielka miłość.

– Wielka miłość?

– Tak, jego anioł stróż, który wybawia go od rozpacz. Tak ją nazywał.

Henri podniósł wzrok. Jego ręka tkwiła w worku.

– Co? – zapytał Ron.

Henri wydobył z torby kapelusz.

FRANKFURT NAD MENEM

PONIEDZIAŁEK, 21 MAJA

34

Miriam ścisnęła w dłoni plastikowy kubek z kawą i przyłapała się na tym, że po prostu gapi się w sufit. Przez uchylone okno wpadało do biura ciepłe powietrze z obietnicą pięknego wiosennego dnia. Kto dziś jednak dotrzymywał jeszcze obietnic? Nie można było liczyć nawet na pogodynkę.

Napiła się trochę wystygłej już kawy i zauważyła, że oczy same jej się zamykają. Była zupełnie wykończona. Po wizycie w La Stradzie prawie w ogóle nie spała, tylko przez całą noc czekała na to, żeby nareszcie wzeszło słońce. Na krótko przed szóstą zaczęło świtać. Pierwszy świergot ptaków wcale jej nie uspokoił, tylko wraz z nastającą jasnością znów obudził w niej obawy.

Jednym haustem wypila do końca czarną breję.

Każda droga, którą obierali, okazywała się niewypałem. Popelniono już zbyt wiele błędów. Teraz obawiała się, że również nowy dzień nie przyniesie żadnych rozstrzygnięć. Nic się nie zdarzy. Nie pozostawało im nic innego niż bezradne czekanie.

Zastanawiała się, jak dalej powinni postępować i jaki miał być następny krok. Coś przeoczyli. Coś kluczowego. Jeżeli Paul Olivier był sprawcą, kto był kolejną ofiarą? Jeżeli jednak to on był człowiekiem w lochu, kto był sędzią?

Rozważania nieustannie prowadziły ją do Milana Husa. Nikt poza nim nie był tak blisko Oliviera. Chociaż nie! David!

Chciała jeszcze raz porozmawiać z synem profesora. Chłopiec znał kochankę ojca. Spotykał studentów, gdy Hus organizował seminaria u siebie w domu.

Sięgnęła po słuchawkę. Wybrała numer komórki Henriego. Włączyła się automatyczna sekretarka. Próbowwała złapać go w biurze, tam jednak też nikt nie odbierał telefonu. Ponownie wybrała numer komórkowy i nagrała wiadomość:

- Henri, musimy pogadać. Zadzwoń do mnie.

Potem sięgnęła po żakiet i wyszła z gabinetu.

- Wychodzę! - zawołała do Corduli.

- Jasne. Już i tak dziwiłam się pani obecnością. Co mam powiedzieć Hillmerowi, jeśli o panią zapyta?

Hillmer stał się jej nagle całkowicie obojętny. Niczym słaby płomyk w młynie jej myśli.

- Wie pani co? - odpowiedziała, wybierając numer Rona. - Niech pani wzruszy ramionami i skończy z wymyślaniem za mnie wymówek.

Rozległo się szczekanie psa. Był to rodzaj ujadania, które przeszywało do szpiku kości i zwiastowało jednego z tych karłowatych stworzeń o rozmiarach bambosza i wynikającej z tego przesadnej pewności siebie.

- Na biedotę to mi ta rodzina nie wygląda - wymamrotał Ron.

- Zazdrościsz?

- Pewnie. Zwłaszcza tego jaguara.

Jego spojrzenie przeniosło się na garaż, w którym stał czerwony sportowy samochód.

- Nie zauważyłam.

Miriam zdjęła palec z dzwonka i przyjrzała się fasadzie budynku. Dom należał do najbardziej reprezentatywnych na ulicy. Po ścianie pięły się różane krzewy. W wypielegnowanym ogródku od przodu budynku wszystkie źdźbła trawy wyglądały tak samo. Błyszczały jak wypolerowane, soczystą zielenią angielskiego trawnika.

Zza kobiety, która otworzyła drzwi, na gości wyskoczył jamnik. Miriam cofnęła się o krok, ale pies nie ustępował. Wreszcie właścicielce udało się go odciągnąć z pomocą designerskiej smyczy; obrzuciła go przy tym głośnym słowotokiem po włosku.

Pomysł Miriam, żeby sprawić sobie kiedyś psa, raz na zawsze bezpowrotnie wyparował.

Gdy kobieta ponownie pojawiła się w drzwiach, Miriam odniosła wrażenie, że musiała ona przejawiać skłonność do przesady i ekstrawagancji. Miała wyjątkowo szczupłą figurę, włosy pofarbowane na kruczoczarny kolor i krzykliwy makijaż, którym próbowała zatuszować każdą zmarszczkę. Matka Simona, bo nie mógł to być nikt inny, nie miała więcej niż czterdzieści lat, ale w łososiowym kostiumie i wysokich szpilkach sprawiała wrażenie pięćdziesięciolatki. Takiej, która już do śniadania obwiesza się błyskotkami. W prawej ręce trzymała jasnobrązową torebkę z krokodylej skóry.

- *Prego?* - zapytała ze zdziwieniem i przesadnie głośno.

Miriam wyczuła woń alkoholu i dopiero teraz zrozumiała przyczynę zaróżowienia policzków. Zerknąwszy na Rona, zorientowała się, że i jemu przemknęła przez głowę podobna myśl.

- Pani Sanden? - powiedział Ron i wyjął legitymację służbową. - Prowadzimy dochodzenie w sprawie Milana Husa.

Zainteresowanie pani domu natychmiast skupiło się wyłącznie na nim. Miriam uświadomiła sobie, że pani Sanden należała do kobiet, dla których przedstawicielki ich płci pozostawały niewidzialne. Miriam była dla niej powietrzem.

- Właśnie wychodzę - odparła kobieta ochrypłym głosem spowolnionym przez alkohol, jakby z trudem przedzierała się przez gąszcz niemieckiej gramatyki.

- Nie zabawimy długo - oznajmił Ron.

- Nie wiem...

- Może nam pani powiedzieć, gdzie przebywają Simon i David?

- Chłopcy? Prawdopodobnie w pokoju na górze. Przekażę to pani Kramer. - Rzuciła bezradne spojrzenie przez ramię.

- Może najpierw odpowie pani nam na kilka pytań - powiedział cierpliwie Ron.

Pani Sanden najwyraźniej nie zamierzała zaprosić ich do środka, a Ron chyba nie chciał jej jeszcze bardziej denerwować, w każdym razie cofnął się o krok:

- Przygarnęła pani Davida po tym, co stało się z jego ojcem. To bardzo wielkodusznie z pani strony.

Uśmiechnęła się, słysząc komplement.

- To straszne, a to przecież taki miły chłopiec. - Zamilkła na chwilę i znów spojrzała na Rona. - Martwię się jednak, czy David ma na Simona dobry wpływ. Śmierć ojca... - unikała słowa samobójstwo - ...to straszne!

- Jak on to zniósł? - zapytał Ron, podczas gdy Miriam lustrowała przedpokój. Pieniądze w tym domu nie grały roli.

- Mój Boże, chłopcy w tym wieku. Któż zrozumie, co im chodzi po głowie? Ale w szkole jest psycholog, która się zajmuje takimi sprawami.

- A jakie pani odnosi wrażenie?

Przestraszyła się, jakby nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś pyta ją o zdanie. W jej spojrzeniu mignęła niepewność.

- Nie wiem.

- A czy pani syn poradził sobie z tym okropnym przeżyciem?

- Co? - Pani Sanden nie rozumiała, o czym mówił.

- Mam na myśli tę zabitą tancerkę - wyjaśnił rozdrażniony Ron.

- Ach, to? - Popatrzyła na niego pustymi oczyma, nie, gapiała się w dal gdzieś poza nim. - *Bene*. Dobrze.

Miriam mimowolnie się spięła, daremnie usiłując stłumić rosnącą w niej agresję.

- Nie rozmawiała pani o tym z Simonem? - zapytała szorstko.

Pani Sanden znów posłała Ronowi spojrzenie błagające o wsparcie. On jednak milczał, więc po chwili nerwowo wydukała:

- Czy rozmawiałam? Ja? Nie.

Ani Ron, ani Miriam nie odpowiedzieli. Zaniemówili na myśl, że w takiej sytuacji matka zostawiła syna samemu sobie. Pani Sanden zdawała się wyczuwać głębokie zdziwienie, bo coraz bardziej roztrzęsiona dodała:

- Ale jego ojciec tak. Dał mu środek uspokajający. Jesteśmy po rozwodzie. Gdy Simon będzie starszy, wrócę do Bolonii.

Ron odchrząknął, wydobył z kieszeni papierosa i poczęstował ją.

- Och! - Kobieta krótko się zaśmiała i sięgnęła po jednego. - Przepraszam. Policja nigdy mnie nie odwiedza. Jestem zdenerwowana.

Trzymając papierosa pomiędzy wyprostowanym palcem wskazującym a środkowym, wysunęła głowę do przodu, gdy Ron podawał jej ogień z zapalniczki, i dotknęła jego ręki.

- Czy moglibyśmy porozmawiać z chłopcami? - zapytał. Matka Simona odwróciła się i władczym tonem zawołała:

- Pani Kramer?!

Po zaledwie kilku sekundach w drzwiach pojawiła się druga kobieta, najwyraźniej gosposia. Siwe włosy nosiła starannie upięte. Była ubrana

w czarny fartuszek.

- Państwo są z policji... - oznajmiła pani Sanden. - Chcą porozmawiać z chłopcami.

- Są jeszcze w szkole, *signora*.

- Och - westchnęła.

Pani Kramer podeszła bliżej. Najpierw z dezaprobatą popatrzyła na papiros w dłoni swojej pracodawczyni, a potem zwróciła się do Miriam:

- Dzisiaj po południu mają w szkole kółko teatralne.

- Kółko teatralne? - Matka Simona roześmiała się zakłopotana. Nie miała pojęcia, że jej syn w ogóle uczestniczył w takich zajęciach.

W Miriam budziły się poważne wątpliwości. Czy dobrym pomysłem było pozwolić Davidowi tu zamieszkać? Czy ktoś poza gospożą w ogóle się nim przejmował?

Ron zwrócił się teraz do pani Kramer:

- Zanim pojedziemy do szkoły, czy odpowiedziałaby pani na kilka naszych pytań?

- Tak, oczywiście.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - zapytał, zerkając na panią domu, która nerwowo bawiła się paskiem torebki. - Właśnie pani przecież wychodziła - dodał.

- Ach tak. Jestem umówiona - wskazała zegarek na ręce i przepchnęła się obok Miriam. Z plecami przesadnie wyprostowanymi ruszyła w kierunku ulicy, jeszcze raz się odwróciła i niepewnie zapytała:

- Czy będą państwo też rozmawiać z moim mężem?

- Na pewno - odpowiedział Ron.

- Niech mu państwo nic nie mówią o tym teatrze. *Per favore*. On nie chce, żeby Simon zajmował się takimi rzeczami.

- Jakimi rzeczami? - zapytał.

- Teatrem, sztuką, literaturą - zamilkła na chwilę. - Cyrkiem. On tak to nazywa. Cyrk.

- Rozumiem.

Miriam jednak знаła Rona lepiej. Nie rozumiał nic poza tym, że za fasadą tej kobiety, domu, za tą idyllą angielskiego trawnika i herbacianożółtych róż ujawniał się właśnie smutny dramat rodzinny.

Signora Sanden podreptała dalej na swoich wysokich szpilkach wąską ścieżką, by przy bramie jeszcze raz się odwrócić i posłać Ronowi uśmiech.

- Niech państwo wejdą do kuchni - powiedziała pani Kramer. - Mogę państwu zaproponować kawę albo wodę?

- Kawa się przyda. - Ron z wdzięcznością skinął głową. - Ostatniej nocy znowu za mało się spało.

Ta uwaga sprawiła, że po twarzy pani Kramer przemknął słaby uśmiech.

- W takim razie proszę za mną.

Ruszyła przodem. Ostatnie drzwi po lewej stronie prowadziły do dużej kuchni

urządzonej w stylu wiejskiego dworku. Dominował w niej wielki stół, stojący pośrodku. Pani Kramer gestem wskazała, by usiedli.

- Dla pani też kawa?

Miriam zajęła miejsce i odpowiedziała:

- Chyba wolałabym herbatę, jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Absolutnie. Czarna z pomarańczą?

- Tak, chętnie.

- Już robię.

Gospośia nabrała z jednej puszki dwie łyżki herbaty i wsypała je do imbryka. Następnie napełniła wodą wypolerowany elektryczny czajnik ze szkła, wyjęła z szafki filtr i włożyła go do porcelanowego dzbanka na kawę.

- Wolę świeżo parzoną kawę - oznajmiła. - Zobacz pan, że warto.

Po paru minutach zalała wrzątkiem kawę i herbatę. Kuchnię natychmiast wypełnił intensywny aromat kawy.

- Jak długo pani tu pracuje? - zapytał Ron.

- Ponad dziesięć lat - zakłopotana pani Kramer przygładziła włosy.

- Zna więc pani Simona od małego?

- Gdy tu przyszłam, miał cztery latka. Dlaczego pan mnie o to wszystko pyta?

Czy on coś nabroił? - Na jej twarzy nagle pojawiła się nieprzychylność.

- Nie, skądże. Chodzi o Davida.

Odetchnęła z ulgą.

- Jak mogę państwu pomóc?

- Proszę nam coś o nim powiedzieć.

- David? - Zmarszczyła czoło. - Kochany chłopak. Może trochę cichy, ale bardzo dobrze wychowany i wyjątkowo uprzejmy.

- Jak zniósł śmierć ojca? Czy jakoś się zmienił? Sprawia wrażenie przygnębionego?

Pani Kramer podała Miriam herbatę, przed Ronem postawiła filiżankę kawy, w końcu na stół trafiły również mleko i cukier. Gospośia usiadła.

- Przepraszam. O co pan pytał? - zwróciła się do Rona.

- Jak David uporał się ze śmiercią swojego ojca?

- Moim zdaniem zbyt spokojnie jak na jego wiek. Stał się może jeszcze bardziej małomówny niż zwykle, chociaż, gdy słyszę ich obu, jak czasami rozmawiają w cztery oczy, to bardzo dużo mówią. Obecność Davida jest dobra dla Simona.

- A w szkole? - indagował Ron. - Czy jakiemuś nauczycielowi coś rzuciło się w oczy?

Wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę. David, podobnie jak Simon, jest świetnym uczniem. Obydwaj są naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Dzięki Bogu.

Wypowiedziała to z tak głębokim westchnieniem, że Miriam natychmiast zapytała:

- Dzięki Bogu?

Pani Kramer podała Ronowi cukier. Na jej twarzy malowało się skupienie. Obawiała się, by nie powiedzieć czegoś źle. Nie dlatego, że im nie ufała, tylko dlatego, że chciała instynktownie chronić chłopca. Wreszcie najwidoczniej postanowiła niczego nie przemilczać.

- No cóż. Przedtem Simon właściwie nigdy nie miał przyjaciela.

- Jakiegoś konkretnego czy w ogóle żadnego? - zapytał Ron.

- Zawsze był typowym samotnikiem. Jak to jedynak. Z drugiej strony spędza większość czasu w szkole. Może tam ma przyjaciół, ale przed Davidem nikogo nie przyprowadzał do domu.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ucichła.

- Co - zachęcił ją Ron - co pani ma na myśli?

- Może oni tak dobrze się rozumieją, bo obydwaj są samotni. Ojca Davida dużo nie było w domu, a jego matka, z tego, co wiem, nie żyje.

- Czy David pani o tym wspominał?

- Nie, Simon. Matka Davida skoczyła w Pradze z mostu. Na oczach syna. No, niech państwo powiedzą sami, która matka robi coś takiego? - W jej głosie pojawiło się oburzenie. - Puszczą jego rękę i skacze. Naprawdę szkoda mi tego chłopca. Spędził więcej czasu tutaj niż ze swoim ojcem. Profesora Husa prawie nigdy nie było w domu.

- Rodzice Simona zdają się bardzo tolerancyjni - drażniła badawczo Miriam. - W końcu David jest dla nich kimś obcym. Mimo to przygarnęli go po samobójstwie ojca.

- Tolerancyjni? No cóż, ostatecznie to praktyczne, jak cały czas jest na miejscu przyjaciel, wtedy nie trzeba się zajmować własnym dzieckiem. - Ostatnie słowa wymówiła z gorzkim uśmiechem.

- Chce pani przez to powiedzieć, że rodzice Simona niedostatecznie troszczą się o syna? - rzucił Ron.

- Nie, skąd też panu to przyszło do głowy? - Pani Kramer nagle sprawiała wrażenie zaleknionej. Na jej twarzy pojawiło się zniesmaczenie. Sięgnęła po dzbanek z kawą i zaczęła dolewać Ronowi, chociaż jego filiżanka była jeszcze do połowy pełna.

- Ale chłopiec jest chyba w znacznym stopniu zdany na siebie? - zauważyła Miriam.

Gosposia głęboko nabrała powietrza.

- Wkrótce skończy szesnaście lat. W takim wieku nie trzeba spędzać z nim więcej czasu, niż to konieczne.

- Ale?

- Co?

- Czegoś pani nie powiedziała, ale to „ale” ma pani wypisane na twarzy - stwierdził Ron z szarmanckim uśmiechem.

- No cóż, sama nie mam dzieci. A tutaj jestem tylko gosposią. Nie mam prawa krytykować innych, ale rozwód nie jest dla dojrzewającego nastolatka czymś, co umacniałoby jego wiarę w życie, prawda? Na dodatek, gdy rodzice... -

zająknęła się na chwilę – rozstali się, delikatnie mówiąc, w niezgodzie.

– A więc była awantura – podsumował Ron.

– Przeszło rok temu. Dobrze, że w tym czasie do klasy Simona przyszedł David. To mu pomogło. Urzędowi do spraw nieletnich też powiedziałam, jak oni obydwaj dobrze się rozumieją. Miałam przy tym na myśli przede wszystkim Simona.

– Urząd do spraw nieletnich zwrócił się do pani? – spytał zaskoczony Ron.

– Tak, ostatecznie to głównie ja zajmuję się nimi dwoma.

– Czy przed lub po tamtej sobocie, kiedy znaleziono dziewczynę, zauważyła pani w zachowaniu chłopców coś szczególnego?

Pani Kramer wlepiła zdumiony wzrok w Rona.

– Jaką dziewczynę?

– Tę tancerkę, która została zamordowana – wyjaśniła Miriam.

Pani Kramer powoli pokręciła głową. Najwyraźniej nie wiedziała, o czym mowa, aż wreszcie skojarzyła.

– Ach, ta prostytutka, którą zachłostano na śmierć. Ale... – Zmarszczyła brwi, czegoś nie pojmując. – Nie rozumiem, co Simon ma z tym do czynienia.

– O niczym nie wspominał? – zdziwiła się Miriam.

– Co? O czym miałyby mówić?

– Że on i David znaleźli ciało?

Pani Kramer głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Kiedy?

– Dwudziestego ósmego kwietnia – odpowiedziała Miriam.

Pani Kramer chwilę się zastanawiała, aż w końcu oznajmiła:

– Dwudziestego ósmego kwietnia? Nie było mnie tutaj, bo wyjechałam na weekend do mojej siostry do Monachium.

– Czy David tutaj nocował?

– Nie wiem.

– I nikt nic nie mówił o tym zajściu? – ponownie zdumiała się Miriam. – David trafił nawet do szpitala. Miał ciężki atak astmy.

– Jasne. To był szok – wymamrotała gosposia.

– I nikt pani o tym nie powiedział? – Miriam była kompletnie skonsternowana.

– Nie, do dziś nie miałam o tym pojęcia. Mój Boże, biedni chłopcy. Przez co oni musieli przejść! – W chwili, gdy zszokowana pani Kramer kręciła głowę i mamrotała „Dlaczego oni mi nic nie powiedzieli?“, Miriam zerknęła na Rona. Ten zaś bardzo delikatnie, tak, żeby tylko ona to zauważyła, potrząsnął głową.

Jego głos nie zdradzał żadnych uczuć, gdy zapytał:

– Jak możemy skontaktować się z ojcem Simona?

– Z panem Sandenem? Najszybciej w klinice uniwersyteckiej.

Miriam i Ron wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Jest lekarzem?

– Tak, oczywiście. Profesor Sanden, ordynator oddziału chirurgicznego we frankfurckiej klinice uniwersyteckiej.

Gdy Miriam i Ron z zaskoczeniem się jej przyglądali, gospoia nie bez dumy dodała:

- Myślę, że Simon pójdzie w ślady ojca. Od kiedy pamiętam, interesuje się medycyną.

35

Jego położenie, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, było równie realne, co rozpaczliwe. Został zamknięty w ciasnym pomieszczeniu, gdzie jedynym źródłem światła była maleńka czerwona lampka, która od czasu do czasu migiała.

Przez całe życie Paul walczył o to, by stać się widocznym, usłyszonym, zauważonym. Aż zjawił się Milan, który mu zaufał i wyprowadził z cienia.

Moment wzajemnego zrozumienia trwale wrył mu się w pamięć. Poczuł wtedy, jak wzrok Milana wnika w najciemniejsze zakamarki jego mózgu, otwiera jedne drzwi po drugich i wydobywa na światło dzienne rzeczy, o których istnieniu nie miał pojęcia. Gdy leżał w ramionach kochanka, ten zdawał się trzymać w dłoni jego serce bijące namiętniej niż kiedykolwiek wcześniej.

To jednak była przeszłość. Teraz tkwił tu w ciemności, skazany na czuwanie pośród nocy, w ciszy i samotności.

Szum stawał się namacalny, zanim jeszcze dał się usłyszeć. Odgłos zbliżał się powoli, aż z minuty na minutę przeradzał się w nieznośne dudnienie, które przeszywało do szpiku kości. Tego Paul bał się najbardziej. Odpowiedzi ziemi, która drżała, i zapadającej później głuchej ciszy.

Było to gorsze niż ciemność, owa doskonała czerń, w której nie grało roli, czy miał oczy zamknięte, czy otwarte.

Wciąż zadawał sobie pytanie, co znajdowało się tam na zewnątrz. Noc bez księżycy. Chłód bez zimy. Cisza po łoskocie.

Starał się nie zasnąć, snując wspomnienia. Biegli po śliskim gruncie w bladym świetle pochodni. Cały czas prosto. Czasami Paul się potykał i upadał. Ten drugi, ON, czekał, aż się podniesie.

Dlaczego podążył za tym milczeniem?

Dłoń we śnie. Skinienie.

ON powiedział, że to tylko krótka droga, a Paul ślepo za nim pobiegł. Do tego miejsca będącego kamiennym sarkofagiem, w którym ledwie co mógł wyprostować ręce.

Nie wiedział, na jakiej głębokości pod ziemią znajdowała się jego cela. Wyobrażał sobie, że to jedno z najgłębszych miejsc pod powierzchnią miasta. Głębiej nie można już było trafić.

Paul oparł nagie plecy o wilgotną kamienną ścianę. Ziemia pod jego stopami drżała. Dudnienie powoli narastało. Mocno przycisnął dłońmi uszy, by odsłonić je w chwili, gdy huk był najpotężniejszy, gdy łoskot gorszy niż jakikolwiek ból przeszywał ciało.

Siedział nago na podłodze. Nago w celi, która zdawała się być całkowicie pusta i składała się tylko z zimnych murów. Całymi godzinami pełzał nago po tej

lodowatej, wilgotnej posadzce w nadziei, że znajdzie wyjście, jakąś dziurę.

Ciasnota. Nic, tylko ciasnota. Brak miejsca. Mury z minuty na minutę coraz ściślej go osaczały.

Zaczynał się zastanawiać, czy sobie może tego wszystkiego nie wymyślił. Może nie było czwartej ściany, może ją sobie tylko wyobrażał i sam siebie więził. Myśl ta była niewymownie okrutna i dlatego wydawała mu się tym realniejsza.

- Może tylko muszę wyciągnąć rękę - rozmyślał na głos. Jego ręce mimowolnie dotknęły głowy, a głos brzmiał nieznośnie świdrująco. - Wtedy będę wiedział, czy czwarta ściana istnieje. Czy tylko ją sobie wyobrażam.

Nie miał jednak odwagi tego zrobić, siedział nieruchomo, pozwalał myślom wrócić do chwili, w której ON kazał mu ze sobą pójść.

ON przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Żadnych pytań, próśb ani rozkazów.

Paul pamiętał, że zapytał:

- Czy to właściwa droga?

W świetle pochodni ON odwrócił ku niemu bladą, łagodną i smutną twarz. Jego oczy milczały. To, czy szli właściwą drogą, zdawało mu się całkowicie obojętne.

Paul przez całe życie walczył z ochotą, by to życie zakończyć. Tyle że pragnął to zrobić inaczej.

Był stonogą murową, która leżała pod starym kamieniem i miała nadzieję, że ktoś zechce ją podnieść i dobić. Nieustannie myślał o śmierci, ale mimo to nie umierał.

Czy zasnął? Czy wydawało mu się, że czwarta ściana rzeczywiście na chwilę zniknęła?

Wyprostował się. Poczul pod kolanami twardą posadzkę. Po omacku ruszył przed siebie. Jego dłoń natrafiła na coś. Coś spływało mu po palcach. Nie zastanawiając się, zaczął to zlizywać, zanim jeszcze wsiąknie w podłogę. Ziemia pod nim zdawała się teraz być częścią jego ciała.

Nie zauważył, że oddawał mocz.

36

Ron zaparkował samochód około trzydziestu metrów od domu Sandenów. Nie ruszyli z miejsca, dopóki po raz kolejny nie upewnili się, że Henri wciąż nie odbierał telefonu. Mogli jedynie mieć nadzieję, że wkrótce odsłucha te niezliczone wiadomości, które nagrali mu na komórkę.

- Co się z nim dzieje? Powiedz mi - zapytała zrezygnowana Miriam.

- Mnie się pytasz? - roześmiał się Ron. - To ja ciebie powinienem pytać.

- Ty znasz go lepiej.

- Ale wierz mi, tak... - zawahał się na moment - intymnie jak ty nigdy z nim nie byłem. Nas łączy męska przyjaźń, nie zwierza mi się z tego, co leży mu na sercu.

- Mnie też nie.

Ron przeciągle na nią spojrział.

- Nic nie kapujesz, co?

- Co?

- Rany, przecież on sobie robi wyrzuty! Wini siebie za śmierć Milana Husa.

- Nie jest za nią odpowiedzialny.

- Ale ty go obwiniałaś, chociaż twoje przypuszczenie, że Hus jest niewinny, opierało się na tak samo cienkim lodzie jak Henriego. Całe to wasze gadanie o znajomości ludzi, intuicji i... nosie!

Skąd mogła wiedzieć, że wydarzenia przybiorą akurat taki obrót? Na swój sposób było to jednak znamienne zarówno dla jej nieświadomości, jak i arogancji. Jakże często bywało, że pojmowała zasięg spraw i wydarzeń dopiero wtedy, gdy było już za późno. Czy się przy tym czegoś nauczyła? Najwyraźniej nie. I tak oto pozostawało jedynie ciasne pole manewru, ta wąska przestrzeń, w której mogła podejmować decyzje nieznaczające więcej niż tylko ograniczanie szkód.

- Nie mamy więc nic - powiedziała - poza tym jednym tropem.

- Simon jest jedyną osobą - oznajmił Ron - o której wiemy, że ma dostęp do materiałów medycznych. W ekspertyzie Veita jest wyraźnie napisane: szwy mógł wykonać tylko ktoś, kto ma o tym jakieś pojęcie, kto wie, jak wkłuwać igłę.

- Myślisz, że ojciec zabierał Simona już jako oseska, żeby patrzył, jak usuwa się ślepą kiszkę?

- Może ma również książki, w których znajduje się dokładny opis zszywania ran? Poza tym słyszałaś przecież, co powiedziała pani Kramer. Od kiedy pamięta, on interesuje się medycyną.

- Ale ma dopiero piętnaście lat - upierała się Miriam.

- Nie bądź naiwna. Wszystko jest możliwe. Żyjemy w erze Second Life. Dzisiaj dla wielu nastolatków fantazja stanowi jedyną rzeczywistość, w której opłaca się żyć. To w zasadzie stracone pokolenie.

- Second Life? - zapytała Miriam.

- Widzisz - odparł Ron i wykonał ręką zamaszysty gest, wskazując domy skąpane w popołudniowym słońcu. Wiosenny poranek wbrew oczekiwaniom dotrzymał obietnicy. - Nic nie jest tak niewinne, jak się wydaje. Za każdymi z tych drzwi może czaić się otchłań. Dlatego wszystko jest tak skomplikowane.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. O co chodzi z tym Second Life?

- Spytaj współczesnej wyroczni, której na imię Google. A nie zauważyłaś, jak obojętne było matce Simona, gdzie przebywa jej syn?

- On ma piętnaście lat. Wtedy trzeba trochę poluzować. W przeciwnym razie, zamartwiając się, można oszaleć.

- To nie luz - Ron potrząsnął głową - tylko czysta ignorancja. Jej syn głównie ją obchodzi, rozumiesz? Niektórzy ludzie nie powinni mieć dzieci.

No właśnie, pomyślała Miriam. By zatuszować to stwierdzenie, rzuciła ironicznie:

- A więc ostatnio parasz się filozofią?

- Powiedzmy, że stałem się wrażliwszy w kwestiach dotyczących dzieci.

- Wrażliwy? Ty?

Po twarzy Rona przemknął uśmiech.

- Wcale nie mniej niż ty.

- Aha, jasne. Miriam Singer. Żelazna dama. Już nie mogę tego słuchać.

Ron powoli pokręcił głową.

- Co?

- Już nie.

- Co już nie?

- Żelazna.

- Tylko?

- Lodowata. Odkąd rozstałaś się z Henrim, nazywają cię lodowatą damą.

- To nie ja się z nim rozstałam, cholera jasna, tylko on ze mną.

- Wszystko zależy od punktu widzenia. Pospółstwo w każdym razie widzi to inaczej i, wierz mi, biorą ci to za złe. I to bardzo.

Serce Miriam zaczęło szybciej bić. Potarła palcami skronie i mocno zacisnęła zęby. Nie chciała o tym mówić. Nie teraz. Mieli ważniejsze rzeczy do roboty, musieli skupić myśli na tym, by przeszkodzić sędziemu w wykonaniu kolejnego wyroku. Tutaj nie liczyła się ona, jej troski ani lęki. Ale czy strach miał być częścią niej tak jak kolor oczu, znamię na prawym policzku albo blizna na lewej dłoni? To wszystko musiało się przecież kiedyś skończyć! Mieć jakiś kres! Gdzieś w przyszłości musiał znajdować się jakiś punkt, od którego życie w końcu potoczy się jednym korytem, zwyczajnie i prosto, bez obaw przed wirami, bez zamartwiania się o następny zakręt, krótko mówiąc, bez żadnego „ale” i „gdyby”.

- Telefony - wymamrotała. - Znowu się zaczęło.

Ron gwałtownie zahamował. BMW z piskiem opon zatrzymało się za autobusem. W milczeniu obserwowali wysiadających uczniów. Radosnych, beztroskich. Żywy dowód zaprzeczający hipotezie Rona o straconym pokoleniu.

- Kiedy?

- Odkąd znów mieszkam sama, a wczoraj...

Wspomnienie powróciło. Bez obrazów. Tylko muzyka. Głuche bębnienie w rytmie strachu.

- On musi mieć coś wspólnego z tą sprawą, z naszymi, jak to określają media, Kafkowskimi morderstwami.

- I dopiero teraz mi to mówisz? Boże, Miriam, to może być ważne! - Ron cicho zaklął i uderzył ręką w kierownicę. - Dlaczego nagle wszystkim odbija? Dlaczego każdy dzierga na własną rękę? Jesteśmy zespołem! Musimy współpracować! Inaczej się nie da. W przeciwnym razie nie damy rady. Wtopimy to, jeżeli sami będziemy sobie podstawiać nogę...

Gdy Ron chciał znów ruszać z miejsca, Miriam powiedziała: - Puścił mi muzykę. Z tego baletu. *Le Sacre du printemps*.

- Cholera, Miriam, dlaczego myślisz tylko o tym, że musisz wszystko robić

sama? – Wydobył z kieszeni komórkę. – Powinni się tym zająć nasi ludzie. Mogą śledzić rozmowy. Potrzebny ci nowy numer.

– Zadzwoił na komórkę. Ten numer zna tylko kilka osób.

– Daj mi go.

– Mój telefon?

– Tak.

Niechętnie podała mu aparat.

Ruszył z miejsca, przyspieszył i przemknął przez skrzyżowanie. Odkąd go znała, jeździł tak, jakby ulice tego miasta należały do niego. To był jego sposób sprawowania kontroli i władzy.

– Dlaczego wcześniej nie wzięliście tych chłopców pod lupę?

Pokręcił głową.

– Sprawdzaliśmy Davida. I jego alibi. W nocy przed śmiercią Heleny Baarovej nocował u Simona.

– Mógł kłamać.

– Według Wagnera matka Simona to potwierdziła – zaoponował Ron.

– To alkoholiczka. Tyle też powinniście już wiedzieć. Boże, ten Wagner! On przecież od początku pracował byle jak.

– A ty w tani sposób zadenuncjowałeś go u Fabera. Użyłaś swojej władzy. Nie rozmawiając o tym z nami. Dzisiaj spotkałem go na korytarzu. Uwierz mi, masz teraz jednego wroga więcej.

– Jeden mniej, jeden więcej. – Miriam obojętnie wzruszyła ramionami.

– My jednak potrzebujemy każdego człowieka. – Ron na chwilę umilkł. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Czy może już o tym zapomniałaś? Tamtego popołudnia Helena Baarová brała udział w castingu. Ponad sto osób, artystów, których musieliśmy przesłuchać. Jeden bardziej popapwany od drugiego. Czy tobie kiedykolwiek przeszło przez myśl, że Simon mógłby mieć z tym coś wspólnego?

Miriam zacisnęła usta.

– Nie muszę słuchać twoich zarzutów. Cholera, Hillmer odebrał mi przecież tę sprawę. A wy obydwaj nawet palcem nie ruszyliście, żeby mi pomóc. Tylko się cieszyliście, że macie mnie z głowy.

– Aha, czyli myślisz, że jako wszystkowiedząca pani prokurator dostrzegłabyś to powiązanie? – potrząsnął głową. – Przedyskutujmy to, gdy zakończymy dochodzenie. Powiedziałaś, że powinniśmy szukać kogoś, kto ma wiedzę medyczną. Ktoś musi więc porozmawiać z doktorem Sandenem. Kurde, gdzie się podziewa ten Henri?

– Co teraz?

– Jedźmy do szkoły i pogadajmy z chłopakami.

– Ale nie bez Hanny. I musimy umówić się na spotkanie z ojcem Simona. Nie możemy go przecież odciągnąć od stołu operacyjnego.

Ron pokonał zakręt, nie zdejmując nogi z gazu.

– Zawsze myślałem, że jej nie znosisz.

- I tak jest, ale ja nienawidzę wszystkich, przy których mam wrażenie, że potrafią przejrzeć mnie na wylot.

- Bez obaw, to nikomu nigdy się nie uda.

To chyba Ben, syn Hanny Roosen, przypomniała sobie Miriam. Długie blond włosy lśniły w słońcu. Zrzucił plecak na ramiona i podszedł do roweru opartego o kasztan, którego suche, obumarłe liście ponuro zwisały z gałęzi. Ani śladu wiosny.

Obydwoje wysiedli. Ron podszedł do Bena, przystanął obok niego i zamienili parę słów. Potem się roześmiali. Ben odgarnął włosy na bok i wsiadł na rower. Ron poklepał go po ramieniu. Chłopiec jeszcze raz podniósł rękę i przejechał obok Miriam, nie zwracając na nią uwagi.

Poczuła ten ból tak samo jak przed laty, gdy opuściła szpital, żeby zaszyć się w swoim łóżku. Jak zwierzę, pomyślała. Zakopałam się w swojej norze, żeby o wszystkim zapomnieć. Mężczyzna, z którym spędziła tamtą noc, nigdy się o tym nie dowiedział.

Czy te lata bez dziecka rzeczywiście były lepsze? Wyobrażenie, że mogłaby mieć syna albo córkę, było niesamowite i ekscytujące. Młody człowiek, z którym byłaby blisko jak z nikim innym. Z którym jeszcze raz mogłaby przeżywać wszystko, co w życiu jest nowe i frapujące.

Te wszystkie pragnienia, entuzjazm, pasję, energię, nadzieję, tak, tę pychę, że ułoży sobie życie, że w żadnym razie nie popełni tych samych błędów co rodzice.

Czy te ciągłe poszukiwania, ten wewnętrzny niepokój były naprawdę lepszą alternatywą? Ten zamrożony ból w sercu? Skorupa lodu, która otulała jej duszę?

Rozpacz nie była usprawiedliwieniem. Tylko tanią wymówką, że nie akceptowało się życia i jego prawideł. Ono jednak dyktowało swoje własne warunki.

Henri miał prawo się dowiedzieć o wszystkim. Musi z nim porozmawiać. Spróbować mu to wyjaśnić. On to zrozumie, pomyślała.

Hanna Roosen była jak zwykle ubrana konserwatywnie, skromnie, a mimo to twarzowo. W białej bluzce z małym dekoltem i granatowych jeansach emanowała spokojem i opanowaniem.

Ta sprawa w nich wszystkich budziła panikę. Pod szaleńczą presją konieczności działania, zamiast w spokoju się zastanowić, popełniali błędy. Oczywiście sprawca chciał im coś powiedzieć, ale do cholery, nikt z nich nie znalazł ani cierpliwości, ani czasu, by posłuchać. Co jak co, ale czasu akurat nie mieli!

Hanna, ledwie wsiadła, rzuciła stanowczo:

- Musimy dokładnie ustalić, o co chcemy zapytać tych dwóch chłopców.

- Ojciec Simona jest chirurgiem. Musimy się dowiedzieć, czy jego syn miał dostęp do materiałów medycznych - oznajmił Ron.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Proste rzeczy. Iglę i nici. Jak się ich używa, żeby zaszyć prostą ranę.

Jestem pewny, że każdy lekarz ma coś takiego w torbie pierwszej pomocy.

- Dobrze - odpowiedziała najspokojniej w świecie Hanna Roosen. - Czyli jak zwykle chcesz walić prosto z mostu? Uważasz, że to mądre?

- A co pani proponuje? - zapytała Miriam, zanim Ron zdołał odpowiedzieć.

- Żebyśmy wreszcie przeszły na ty - odparła Hanna, nachyliła się do przodu i z uśmiechem podała Miriam rękę. Coś ze spokoju, którym emanowała Hanna, przeszło na Miriam.

Gdy Ron uruchamiał samochód, Hanna zapytała:

- Opowiedzcie mi wszystko, co wiecie o Simonie. Co łączy go z tą sprawą?

- Do tej pory myśleliśmy, że nic. Razem z Davidem Husem znalazł pierwsze ciało. Helenę Baarovą.

- Tę tancerkę?

- Tak.

- Czego u niej szukał? Dlaczego ją znał?

- Według naszych ustaleń w ogóle jej nie znał, tylko towarzyszył Davidowi, który chciał Helenie złożyć życzenia urodzinowe.

- Czy ten chłopiec był zakochany w Helenie?

- Który?

- David.

Miriam i Ron spojrzeli po sobie.

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Nie próbowaliście dowiedzieć się, jaki stosunek miał David do Heleny Baarovej?

- Nie - odparł rozdrażniony Ron. - Nie było podstaw.

Miriam przypomniało się coś, czemu do tej pory nie poświęcili większej uwagi. Zaniepokojona potrząsnęła głową.

- Co? - zapytał Ron.

- On mógłby być jej przyrodnim bratem.

- Kto? - rzuciła Hanna, niczego nie rozumiejąc.

- David - wyjaśniła Miriam i po chwili zastanowienia dodała: - Co, jeżeli o tym wiedział?

- O czym ty mówisz? - z tylnego siedzenia rozległ się zniecierpliwiony głos Hanny.

- Helena uważała, że Milan Hus był jej ojcem.

- Od jak dawna to wiecie?

Ani Miriam, ani Ron nie odpowiedzieli.

- Simon jest blisko zaprzyjaźniony z Davidem Husem - podjął rozmowę Ron.

- Jak blisko?

- Mieszka tam od czasu samobójstwa ojca.

- Może Simon był zazdrosny - głośno zastanawiała się Hanna. - Jesteście pewni, że on i ta tancerka nigdy wcześniej się nie spotkali?

Ron wzruszył ramionami.

- Czy znał drugą ofiarę? Tego Justina Brandenburga?

- Jasne, że tak, skoro przyjaźnił się z Davidem. Simon był częstym gościem w domu Davida. Wygląda na to, że obydwaj prawie się nie rozstawali.

- Co wiemy o rodzinie Simona? - indagowała Hanna.

- Rodzice rozwiedzeni. Matka przypuszczalnie alkoholiczka.

- Kto wydał pozwolenie na to, żeby David tam zamieszkał?

- Urząd do spraw nieletnich - odpowiedziała Miriam.

- No tak. Ci to się nie wysilają. W ich aktach nie ma prawdopodobnie ani słowa o problemach alkoholowych matki Simona. Ma przecież męża lekarza.

- Ordynator chirurgii.

- Jeszcze gorzej.

Ponieważ Hanna podsumowała i precyzyjnie zdemaskowała, jak błędnie i dyletancko przebiegało śledztwo, Miriam i Ron ucichli. Zapadło milczenie, które było wyrazem przyznania się do winy. To prawda, nie zadali najprostszych pytań.

Dali się zwieść historyjkom o Franzu Kafce.

- Co łączy tych dwóch chłopców? - Psycholog niewzruszenie drażyła dalej.

- Co ich łączy? Boże, Hanna! - krzyknął Ron. - Nie rozumiesz? Ten Simon do tej pory nie odgrywał żadnej roli w śledztwie. Po prostu nie było widać żadnego związku. Ostatnio wszystko wskazywało na sprawcę, który miał obsesję na punkcie Kafki. Dlatego podejrzewaliśmy Husa.

- A gdy popełnił samobójstwo? Co wtedy myśleliście?

Ron milczał, a Miriam westchnęła:

- Braliśmy pod uwagę, że sprawca może wziął się na Milana Husa. Że chciał go zaszczuć.

- Karkołomna teoria. I dość ryzykowna.

- W takiej sprawie nie może zabraknąć karkołomnych hipotez - usprawiedliwiła się Miriam.

- Okej, a więc Simon przyjaźnił się z Davidem. Razem znaleźli ciało - stwierdziła Hanna. - I dopiero teraz do mnie przychodzicie? I to tylko dlatego, że ojciec Simona jest chirurgiem?

- Teraz nie jest właściwy moment na szukanie winnego - sprzeciwiła się Miriam. - W trzech rzekomo Kafkowskich manuskryptach zapowiedziano brutalne morderstwa. Dwa z nich już się wydarzyły. A teraz zaginał Paul Olivier. Jest sprawcą czy ofiarą? Nie wiemy. W tej chwili mamy tylko jeden trop, za którym możemy metodycznie pójść. Szukamy kogoś, kto bez problemu może zaopatrzyć się w igłę, nici i potrafi zeszyć człowiekowi usta.

- Czy zapowiedzieliście w szkole naszą wizytę?

Gdy Ron i Miriam milczeli w poczuciu winy, Hanna wyjęła telefon komórkowy.

- Wiecie przynajmniej, która to szkoła?

- International School we Frankfurcie.

Ustalenie numeru szkoły nie zajęło Hannie Roosen zbyt wiele czasu. Kilka minut później zakończyła rozmowę z dyrektorem.

- Możemy sobie zaoszczędzić drogi. David i Simon w ogóle nie pojawili się dziś w szkole.

Opony samochodu głośno zapiszczały, gdy Ron zawrócił na środku ulicy.

- Nikt nie ma pojęcia, gdzie przebywają.

37

- Co się stało?

Wystraszona pani Kramer położyła rękę na piersi, widząc ponownie Rona i Miriam.

- Wie pani, gdzie są obydwaj chłopcy? - zapytała Miriam.

- W szkole, przecież już...

Ron potrząsnął głową.

- Nie, dzisiaj przez cały dzień ich tam nie było.

- Nie byli w szkole? Ale...

- Czy możemy zobaczyć pokój Simona? - przerwała jej Miriam.

- Oczywiście, ale nie myślą państwo chyba, że Simonowi mogło się coś stać?

Wyszedł dziś rano z domu jak zwykle.

Nikt nie odpowiedział, tylko w ślad za gospodynią ruszyli schodami na poddasze.

- Rodzice urządzili mu tu kawalerkę - oznajmiła. - No, wiedzą państwo, z osobną łazienką i wszystkim, bez czego dzisiejsza młodzież rzekomo nie może żyć, czyli telewizorem, odtwarzaczem DVD, komputerem. On i David spędzają większość czasu tu na górze. - Znajdowało się tam troje drzwi. Pani Kramer najpierw wskazała te po lewej stronie: - Tutaj jest łazienka, pośrodku sypialnia, a po prawej pokój dzienny. Prawie nigdy tu nie bywam... - Wzruszyła ramionami. - To bardzo pedantyczny chłopak. Nie znosi, kiedy sprzątam. Wszystko robi sam.

- Gdzie jest pokój Davida? - zapytała Hanna.

- Śpi u Simona. Obydwaj nie chcieli, żeby zamieszkał w pokoju gościnnym, a tutaj przecież jest dość miejsca. Mnie też to wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Ostatecznie David sporo przeszedł. - Zawahała się na moment, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale w końcu postanowiła na tym skończyć.

- Czy David kiedykolwiek opowiadał coś o tych zajściach? - indagowała Hanna. - Czy mówił o śmierci ojca? Albo w ogóle o nim wspominał?

- Nie.

- A pani też go o to nie pytała?

Pani Kramer pokręciła głową.

- Chłopiec ma astmę. Jak sobie z tym radzi?

- Nie przysparza mu to problemów, jeżeli regularnie przyjmuje leki. A Simon zna się na udzielaniu pierwszej pomocy.

- Wie pani, gdzie David przechowuje lekarstwa?

- Nigdy ich jeszcze nie widziałam, ale, jak już mówiłam, rzadko tu na górze

bywam. Właściwie tylko po to, żeby przynieść pranie. Zostawiam je na korytarzu.

Ron otworzył drzwi do sypialni. Panowała w niej zupełna ciemność. W powietrzu unosiła się jeszcze woń snu. Komisarz zapalił światło.

Tak jak mówiła gosposia, pokój był idealnie wysprzątanym. Nic nie wskazywało na to, że mieszkało tu dwóch nastolatków. Pomieszczenie wyglądało raczej jak pokój hotelowy – praktyczny i całkowicie sterylny w swej funkcjonalności. Wyposażeniu brakowało jakiegokolwiek indywidualności, która była tak ważna dla nastolatków. Na ścianach nie wisiał ani jeden plakat, nie było ani śladu jakichkolwiek hobby lub zainteresowań.

Miriam rozejrzała się.

– Gdzie śpi David?

Pani Kramer podeszła do łóżka, schyliła się i wyciągnęła spod niego leżankę:

– Tutaj.

Taka sama pościel. Taki sam porządek. Ponuro. Nudno. Bez wyrazu.

Ron podeszedł do drzwi z prawej strony i z ręką na klamce zapytał:

– To jest pokój dzienny?

Pani Kramer kiwnęła głową.

Tutaj również było zupełnie ciemno. W Miriam zaczynał narastać głuchy niepokój. Zastanawiała się, dlaczego dwaj chłopcy, najwidoczniej porządni i niemający powodów do zmartwień – pani Kramer wspomniała przecież o świetnych wynikach w szkole – woleli mieszkać w mroku.

Miriam poczuła przeciąg, a zaraz potem ciche stukanie, ale nie mogła niczego dojrzeć.

– Czy rolety są zawsze opuszczone?

– Zawsze – rozległ się cichy głos gosposi, w którym teraz można było dosłyszeć coś innego. Nutkę tego samego niepokoję, który dręczył również Miriam. – Tacy już są młodzi ludzie, nieprawdaż? Jak siedzą przy komputerze, to nie chcą jasnego światła. Simon zawsze mówił, że ono razi, i upierał się przy nieprzezroczystych roletach.

Ron zapalił światło. Tutaj również porządek, jaki ujrzeli, sprawiał wrażenie nienaturalnego i przerażającego. Znowu coś nie pasowało. Jaki nastolatek miał biurko, na którym niczego nie było? Żadnego pisaka, papierka, książki, kalendarza! Jedynie wielki płaski monitor i myszka z podkładką.

W tej samej chwili uwagę Miriam odwróciło ponowne szcęknięcie. Jej wzrok padł na zasłonę, nie, to były długie sznury, na których wisiały fotografie, które powoli obracały się w przeciągu. Wszystko w niej zamarło. Usłyszała, jak Ron głęboko nabiera powietrza.

Metalowe liny. Z sufitu zwisało ich chyba z dziesięć. Zdjęcia były przyklejone małymi magnesami. Przy każdym powiewie uderzały o siebie, a ich cichy szelest wypełniał pokój niczym muzyka wietrznych dzwoneczków.

Ron chwycił jedną z lin i ją przytrzymał.

– Możesz w to uwierzyć?

Potrząsnęła głową.

- O co chodzi? - Nikt nie zareagował na przestrach w pytaniu gosposi.

Miriam na kilka sekund zamknęła oczy. Dwóch nastolatków? Potrafili to wymyślić? Byli zdolni do popełnienia takich morderstw? Mieli aż tyle zimnej krwi? I tyle siły? Veit powiedział, że Helenę Baarovą musiał zabić silny mężczyzna. Kto by przy tym pomyślał o piętnasto- albo szesnastolatku?

- Okej - usłyszała głos Hanny. - Przyjrzyjmy się dokładnie tym zdjęciom.

Miriam stanęła obok niej i razem długo się w nie wpatrywały.

Prokurator z trudem rozpoznawała poszczególne motywy. Słabo oświetlona scena. Pośrodku niej postać w czerwonej sukience. W tle stłoczone, znieruchomiałe sylwetki o bladych, ucharakteryzowanych twarzach.

- Co to jest? - zapytała Hanna.

- Przedstawienie szkolne. W ubiegłym roku. Spory sukces - wyjaśniła pani Kramer. - Simon sprezentował mi bilet.

- Czy widać tu gdzieś Simona? - rzuciła Hanna. Nic nie wskazywało na to, żeby pani Kramer nabierała podejrzeń. Czy naprawdę nie wiedziała, co oznaczało to zdjęcie?

- Chwileczkę. - Gosposia podeszła bliżej i zza okularów przyjrzała się poszczególnym fotografiom. W końcu wytypowała jedną z postaci w tle. - To chyba Simon. Gdzieś musi być też David.

- A to kto? - zapytała Hanna. - Ta kobieta na środku?

- Zawodowa tancerka, która wspierała ten projekt.

- Balet? - odezwała się zaniepokojona Miriam. - Simon brał udział w przedstawieniu baletowym?

- Ależ oczywiście - odparła zdziwiona pani Kramer. - Razem z Davidem uczęszczają do szkoły baletowej. Od czasu realizacji tamtego projektu. Nie mówiłam państwu o tym?

W tej samej chwili Miriam dostrzegła, jak w wyrazie twarzy gosposi pojawia się zrozumienie.

- No nie, chyba państwo nie myślą, że ta tancerka to ta sama, którą...

Miriam znieruchomiała, Ron cicho zaklął, tymczasem Hanna powoli kiwała głową, jakby już od początku wiedziała, że tutaj znajdowały się drzwi, przez które musieli przejść, żeby rozwiązać zagadkę.

- Dobrze! - zawołała w końcu. - Nie sprawdziliście chłopaków, nie włączyliście do śledztwa psychologów, zamknęliście w areszcie śledczym niewłaściwego człowieka, który potem odebrał sobie życie, a do tego jeszcze ktoś zaginął. Sknociliście wszystko, co się tylko dało. I dlaczego? Bo daliście się ponieść uprzedzeniom? Myślicie, że młodociani nie mogą czegoś takiego zrobić czy co? W kółko to samo. Slepota i naiwność dorosłych w stosunku do dzieci!

- To był tylko chłopak - oznajmił Ron z komórką przy uchu. - Tylko chłopak, który prawie wcale albo w ogóle nie znał Heleny Baarovej.

- Jak nazywało się to przedstawienie? - zapytała Miriam panią Kramer, która teraz była przeraźliwie blada.

- Nie pamiętam. - Gosposia pocierała dłońmi o fartuch, jakby i ona chciała oczyścić ręce z winy.

- *Le Sacre du printemps*? Tak?

- Możliwe. - Odpowiedziała początkowo jeszcze normalnym tonem, aż nagle straciła panowanie nad sobą: - Co z Simonem? Czy grozi mu niebezpieczeństwo?

Hanna uspokajająco otoczyła ją ramieniem.

- Powinna pani teraz stąd wyjść. Proszę iść na dół. Może nam pani zrobić kawy? Będzie nam potrzebna.

Gosposia, ociągając się, skapitulowała.

Ron pokręcił głową.

- Henri nie odbiera. Cały czas włącza się tylko automatyczna sekretarka.

- Gdzie on, do cholery, może być? - Miriam spojrzała na zegarek. - Jest środek dnia.

Czuła się dziwnie pobudzona, jakby znajdowała się na jakimś adrenalinowym rauszu. Teraz musiała zapadać jedna decyzja za drugą. Kierunek, w którym będą szli dalej, stał się nagle jasny. Pozostawało tylko wykonać kolejne kroki. Jednym z nich było wystawienie nakazu rewizji. Ron już dzwonił do ekipy zabezpieczającej ślady. Wkrótce ten pokój zapełni się technikami, którzy przekopią każdą szufladę.

Wybrała numer sądu.

- Cordula, potrzebny nam jest nakaz rewizji.

- Przypuszczam, że na zaraz?

- I dzisiaj już nie będzie mnie w biurze.

- No cóż, niech pani robi, co chce, ale powinna pani wiedzieć, że przegapiła pani termin spotkania w sprawie trójkąta bermudzkiego. Osoba, z którą była pani umówiona, siedzi właśnie u Hillmera i się uskarża.

Miriam znajdowała się nie tylko na adrenalinowym rauszu, lecz także na wyższym poziomie obojętności. Musiała wytyczać priorytety, a... po raz pierwszy to sobie naprawdę uświadomiła... Paul Olivier nie tylko zniknął bez śladu, lecz także był w niebezpieczeństwie i groziła mu straszna śmierć. W takiej sytuacji nie można było kierować się tylko przepisami i rutynowymi procedurami.

- Więc niech pani zaprosi ich obu na drinka - powiedziała i zakończyła rozmowę.

To mogło ją kosztować karierę. Nie miała tu czego szukać, nie potrafiła jednak wyrwać się z tego koszmaru, tego koszmaru pełnego absurdalnych wydarzeń, które zrodziły się z chorej, ale potężnej wyobraźni dwóch młodocianych.

- Musimy wydać nakaz poszukiwania tej dwójki - powiedziała Miriam, a po kilku minutach dodała: - Nie chcę nawet myśleć, co oznacza fakt, że są zamieszani w te morderstwa. To przecież jeszcze dzieci.

- Dzieci - odparła Hanna, jakby już dawno skapitulowała. - Dzisiaj już nie ma

dzieci.

- Ja ponoszę za to odpowiedzialność - wymamrotała Miriam.
- Lizanie swoich ran odłóż na potem - odparł Ron.

Maszynaria poszła w ruch. Technicy przybyli na miejsce zaskakująco szybko. Hanna pojechała do International School, gdzie miała porozmawiać z nauczycielami i uczniami. W międzyczasie powiadomiono również ojca Simona i przywieziono go prosto z bloku operacyjnego do domu byłej żony. Całe to zamieszanie całkowicie go przerastało. Błady i zmęczony siedział na krześle w kuchni i starał się odpowiadać na pytania policji, podczas gdy gospoia daremnie próbowała dodzwonić się do pani Sanden, która gdzieś w mieście robiła zakupy.

Henri znikł bez śladu.

Miriam wydawało się, że w niewidoczny sposób całe miasto jest w najwyższym stanie gotowości. Ludzie dowiedzą się o tym dopiero, gdy będzie po wszystkim, a świadomość, że na ich oczach stało się coś strasznego, ich zszokuje. Przez jakiś czas wszyscy będą o tym mówić. Potem się przyzwyczają. Osiągną kolejny stopień znieczulicy.

Wciąż nie potrafiła zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło. Miasto z siedmiuset tysiącami mieszkańców jest zbyt małe, by naraz mogły w nim zniknąć cztery osoby. Pięć, pomyślała po chwili. Zapomniałam o ciele zamordowanej żony. Gdzieś w trójkącie bermudzkim.

A Paul Olivier? To jeszcze nie koniec.

38

La Strada. Ulica wybawienia. Był u kresu. Albo na początku.

Alex czuł w skroni ból, jakby ktoś wbił mu tam gwoźdź. Chwiejnym krokiem szedł Mainzer Landstraße, nawet o tym nie wiedząc. Znajomą drogę rozpoznawała tylko jego podświadomość, tymczasem jego rozum szalał.

Minęły całe godziny od chwili, kiedy ostatnio coś brał.

I wish I was a baby. I wish I was dead. Cold turkey has got me on the run.

Potrzeba dotykania wszystkiego była przemożna. Zimny metal ulicznych latarni, zakurzone mury budynków, szorstki asfalt ulicy. Przyciskał głowę do szyb, rwał liście z krzaków i wcierał je sobie w twarz. Musiał poczuć, że wszystko było realne. Ale to mu się nie udawało.

Miał ochotę drzeć się wniebogłosy, wrzeszczeć co sił, byle tylko upewnić się, że istnieje.

Wrzał w nim nowy rodzaj desperacji. Spustoszenie w najgłębszych pokładach jego duszy. Rozdzierał jego wnętrze żywioł. Ogień. Woda. Ziemia. Powietrze.

Kiedy ostatnio coś jadł? Kiedy coś pił? Nie wiedział, czy jest na odwyku, czy przyleciał sęp, by go pożreć, czy może przeżywał orbitowanie, które przebijało wszystko. Jego doznania były w równym stopniu przerażające, jak intensywne. Tak intensywnie jeszcze nigdy nie odczuwał życia. Ono zaś już było piekłem. Tu i teraz miało w zanadrzu cały szereg tortur, które czyniły ogień czyścica

zbytecznym.

Strach przed własnym przerażeniem podcinał mu nogi. By się chronić, wyobrażał sobie, że idzie szklanym tunelem, w którym pozostawał nietykalny. Każde spojrzenie w bok sprawiało, że się chwiało. Musiał się zmuszać, żeby patrzeć na ziemię, wlepić wzrok w drogę pod stopami. Rozpościerał szeroko ręce, by przytrzymać się szklanych ścian tunelu. W przeciwnym razie upadłby.

Od czasu do czasu ktoś go zagadywał. Spoglądał w zdumione twarze, oznajmiając im, że wszystko jest kłamstwem. Że na końcu tunelu nie ma światła. Tylko ciemność. A gdy wybuchał śmiechem, rozmówcy się odwracali. Był jeszcze dość przytomny, by w ich minach rozpoznać pogardę.

Kierunek, który obrał, wydał mu się błędny. Musiał zawrócić, ale droga była zbyt wąska. Przystanął na chwilę, próbował się odwrócić, ale to było niemożliwe. Nie dawał rady. A jego nogi ponownie ruszyły w stronę dziury, która mimo to wcale się nie przybliżała.

Nie miało znaczenia, czy szedł dalej, czy się zatrzymywał. Trzy kroki do przodu. Trzy do tyłu. Odległość wciąż pozostawała taka sama. Dziura była czarną tarczą w świetle dnia.

Teraz szedł już tylko do tyłu. Serce głośno mu waliło.

Mógłby przejść wstecz swoje życie. Aż do momentu, w którym podjął złą decyzję. Jedna jedyna próba ucieczki, a oni wyrzucili go poza margines tego świata.

Widzowie na zewnątrz szklanego tunelu przyglądali się mu z mieszką z zaciekawienia i wstrętu.

- Co tak wybałuszacie gały!? - krzyczał. - Ja przynajmniej w przeciwieństwie do was przyznaję się do winy.

Szli po prostu dalej. Może go nie słyszeli. Oczywiście, że nie. Szkło było dźwiękoszczelne.

Cofnął się do dnia, w którym umarła Helena Baarová. Wcisnęła mu do ręki pieniądze i uśmiechnęła się tak, jak tylko ona potrafiła się uśmiechać.

Uśmiech Meduzy. Śpiew Lorelei. Mojry na szlaku Odyseusza.

Odyseusz zatkał sobie uszy woskiem i kazał się przykuć do masztu. Gdy Alex mijał uliczną latarnię, przyszedł mu do głowy podobny pomysł. Ale jak tu zaufać garstce wosku i łańcuchom? Śpiew Heleny przenikał wszystko, nawet wosk w jego uszach.

To życie było nieznośne, a inne nieosiągalne.

Demony wciąż miały przewagę. Nie można było mieć przed nimi tajemnic. Odnajdywały cię. Zawsze. Wszędzie.

Gdzie się ukryć?

A potem łoskot obok niego. Trzaśnięcie drzwi.

Poczuł ciepłe, silne ciało człowieka, który go przytrzymywał. Odsunął się. Nie było jednak ucieczki. Niby jak, skoro nadal był w tym tunelu.

- Alex! - usłyszał czyjeś wołanie. - Alex!

Na jego ramieniu ciężka ręka, pod którą się ugiął.

Był muchą, którą można zdusić małym palcem. Był stonogą pod ciężkim kamieniem. Myszą, którą rozdeptywało się butem.

Osunął się na zimną ziemię i ostatecznie zwinął w kłębek. Był więźniem w ciemnej celi pod ziemią.

Wtedy ktoś powiedział:

- Pan mnie zna. Nazywam się Henri Liebler. Zawiozę pana do szpitala.

Ale tych słów już nie słyszał.

39

Absurd i niedorzeczność. Dom Milana Husa znajdował się zaledwie kilka przecznic od prezydium policji. Nieomal na ich podwórku. To jednak wydało się Miriam typowe dla tej sprawy. Czy cokolwiek wskazywało na taki rozwój wypadków? Czy powinni byli już wcześniej dostrzec prawdę?

Po drodze Miriam znów próbowała dodzwonić się do Henriego. Odzywał się jego głęboki głos: *Henri Liebler. Proszę się nagrać, jeśli mają państwo coś do powiedzenia.* Mogła więc tylko zostawić mu dwudziestą wiadomość. Raz po raz analizowała najróżniejsze możliwości: wyładowała mu się bateria, cały czas rozmawiał, wyłączył komórkę, brak zasięgu.

- Nadal nic? - zapytał Ron. - Kurde, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby nie odbierał telefonu. On przecież ma fioła na punkcie komórki.

- Myślisz, że to celowe? - zapytała z niedowierzaniem.

Ron nie odpowiadał, tylko na pełnym gazie gnał śródmiejską obwodnicą. Miriam zrezygnowała z przypominania mu, że jedzie przez centrum, któremu groziła komunikacyjna zapaść. Tym dziwniejsze było to, że wszystkie światła nagle zmieniały się na zielone.

Jak mogliśmy to wszystko przeoczyć? Kto popełnił kluczowy błąd? Odpowiedź nasuwała się sama. To na niej spoczywała odpowiedzialność. Niezależnie od tego, ile sknocił Kevin Wagner i jakie decyzje podjął Kellermann.

Ron ciągle powtarzał, że nie powinni kierować się psychologicznymi albo - co gorsza - fantastycznymi spekulacjami. Musieli trzymać się faktów.

Podstawą śledztwa było systematyczne postępowanie: zbieranie informacji, gromadzenie dowodów, poszukiwanie świadków. Oni jednak wiedzieli lepiej i zadufani w sobie postawili nieudowodnioną, bezpodstawną hipotezę, przez co pominęli Davida i Simona. Potraktowali ich wyłącznie jako statystów. O ile w wypadku Simona dało się to usprawiedliwić, o tyle w odniesieniu do Davida Husa było to niewybaczalne.

Przypomniała sobie Davida leżącego w szpitalnym łóżku. Smukła blada twarz o nienaturalnie rozszerzonych oczach. Dyszenie wydobywające się z jego piersi. Nie, nie chciała w to uwierzyć, ale też nie mogła ignorować dowodów: metalowej liny, fotografii z przedstawienia baletowego, możliwości zdobycia materiałów medycznych.

- Czy szesnastoletni chłopiec jest w stanie wymyślić coś takiego?

Ron gorzko się roześmiał.

- Wymyślić, tak! Ale czy jest takim twardzielem, by to wykonać? Czy ma wystarczająco zimną krew, by nas wszystkich zwieść?

- Nie widzę motywu - stwierdziła Miriam.

- A jeśli takiego nie ma? Albo istnieje, tylko że nie wpisuje się w nasze kategorie? Ta relacja między chłopakami. Spędzają razem dzień i noc. Wiesz, co to oznacza? Obłąd do kwadratu. Totalne wariactwo.

- Oni po prostu trzymają się razem z obawy przed izolacją - powiedziała Miriam. - Przed samotnością, przed uczuciem opuszczenia.

Ron mrugnął okiem.

- Jaki ojciec, taki syn.

- Co?

- Śpią w jednym łóżku - oznajmił Ron, kierując samochód w jedną z przecznic, w których był mniejszy ruch, ale w każdej chwili mógł się pojawić na jezdni pieszy. - Jak myślisz, co to oznacza? Męską przyjaźń?

Pierwsze miejsce zbrodni zawsze znajdowało się w duszy sprawcy. Czy tak było też w wypadku Davida? Czy za tym murem milczenia kryła się prawda? Czy trzymał ją zamkniętą w kapsule czasu, którą przechowywał w najgłębszych zakamarkach serca? Czy kiedykolwiek przełamie milczenie, by wytłumaczyć im swoje przesłanie?

Ron przemknął za zdezelowanym golfem przez światła, które w tym samym momencie zmieniły się na czerwone. Miriam nie była pewna, czy zrobił to celowo, czy też zwyczajnie ich nie zauważył. Wcisnęła nogą wyimaginowany hamulec. Również po to, żeby zyskać na czasie. Żeby się nastawić, przygotować na spotkanie z prawdą.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Ron. Powoli zajechał przed dom i gdy samochód się zatrzymał, siedzieli w nim jeszcze przez chwilę, jakby przyjechali za wcześnie, a nie za późno.

- Co, jeżeli nikogo nie będzie? - zapytała Miriam.

- Co, jeżeli ktoś będzie? Nie możemy sobie pozwolić na długie rozważania - odparł Ron i otworzył drzwi.

Wysiedli. Ron szedł przodem, spokojny i skoncentrowany. Nie zawsze się tak zachowywał.

Miriam, zdenerwowana i spięta, podążyła za nim. Nie wiedziała, czy obawia się, że jej podejrzenia mogą się okazać błędne, czy czuje coś wręcz odwrotnego.

Dom Milana Husa przy Finkenhofstraße był sielankowo położony w szeregu typowych dla tej dzielnicy, późnoklasycystycznych budowli. Od czasu samobójstwa profesora stał pusty. Nie powinno więc dziwić, że nikt nie otwierał. Mimo to Miriam poczuła się zmieszana. Albo może rozczarowana? Myślała, że rozwiązanie znajduje się w zasięgu ręki, a tymczasem stali przed zamkniętymi drzwiami.

- Co teraz?

Wyraz twarzy Rona się zmienił i Miriam zrozumiała, że nie odpuści.

- To było do przewidzenia - rzucił pod nosem. - Ale żaden dom nie jest twierdzą...

- Ron, tak nie można.

- A mamy wybór?

- To będzie kosztować mnie głowę.

- I co z tego? Przejmiesz się tym?

Nie, nie będą przecież stać pod drzwiami i czekać, by ich wpuszczono.

- Nie. - Stanowczo pokręciła głową. - Nie sędzę.

- Powoli zaczynam rozumieć, co Henri w tobie widzi - stwierdził Ron. W ciągu kilku minut udało mu się dostać do domu.

Miriam nie patrzyła. Nie chciała wiedzieć, jakimi metodami się posłużył. Może, a nawet prawie na bank, kopła sobie właśnie swój zawodowy grób. Było jej to jednak zupełnie obojętne. Dla kogoś takiego jak ona ten świat i tak zdawał się za ciasny. Ciągle natykała się na granice wytyczone tak ściśle, że miała wrażenie, iż się dusi. Nie mogła i nie chciała tak dalej pracować.

Nad domem unosiła się aura osamotnienia, zimnej, martwej pustki. Po plecach Miriam przeszły ciarki.

Milan Hus preferował surowy styl. Nowoczesne lampy nad granitową posadzką, która błyszczała czernią, jakby dopiero co ją wypolerowano. Ściany zdobiły wielkoformatowe czarno-białe fotografie, zdjęcia współczesnej architektury. Za drzwiami z mlecznego szkła kryła się wnętkowa garderoba. Korytarz robił zimne i odpychające wrażenie. Miriam nie umiała pogodzić tego widoku z zapalonym mówcą, którego spotkała w sali wykładowej, ani ze zrezygnowanym człowiekiem w więzieniu. To, co tu widziała, odsłaniało chłodny, wyrachowany charakter. Ale czyż akurat to jej nie fascynowało? Czy to nie to ją pociągało? Tak, flirtowała z jego charyzmą, nie uwzględniając przy tym jednej rzeczy: uwodziciele władzy nie wyszukują sobie zwolenników wśród osób silnych, lecz zawsze wśród słabych i bezradnych.

Ta lodowata cisza zatrzażała. Jakby pozostało tu coś z bezlitosnych mieszkańców tego domu. W budynku unosił się ich duch. Miriam podążyła za tym chłodem i ruszyła schodami na górę. Jakby szybowwała, nie odczuwając strachu ani ciekawości. Cisza wydawała się jej uczuciową próżnią. W głowie miała pustkę. Cokolwiek pchało ją do przodu, zaprowadziło ją wprost pod drzwi na pierwszym piętrze.

Wtedy coś zakłóciło ciszę. Ledwie słyszalny dźwięk. Szum. Delikatne dudnienie. Ktoś tam był.

Otworzyła drzwi i po raz trzeci tego dnia ujrzała zaciemniony pokój, w którym jak na statku kosmicznym jaśniał tylko monitor. Jak w dyspozytorni, z której steruje się wydarzeniami i kontroluje ich przebieg.

Dopiero chwilę później Miriam dostrzegła kogoś przed ekranem. Jego cień zdawał się stopiony z mrokiem. Simon nie zauważył jej obecności, a ona zastanawiała się, czy powinna się ujawnić. Mimowolnie cofnęła się o kilka

kroków, potem zmieniła zdanie i energicznie podeszła do chłopca. Gdy położyła mu rękę na ramieniu, krzyknął.

- Gdzie jest David? - zapytał ochryplym głosem Ron. Mówił bardzo cicho, bo chłopiec znajdował się nie tylko na skraju wyczerpania, lecz również w niebezpiecznym stanie ekscytacji. Jego nastrój mógł w każdej chwili gwałtownie się zmienić.

- Gdzie on jest? - powtórzył komisarz.

Simon podniósł głowę i milcząco popatrzył na Rona. Na młodej twarzy malował się osobliwy wyraz zadowolenia. Potem ledwie zauważalny ruch w stronę monitora, który był teraz ciemny. Tylko subtelne śnieżenie zdradzało, że komputer był włączony.

Ron podszedł do biurka. Niezdecydowanie stał tam kilka sekund, a potem podniósł rękę i dotknął jeden z klawiszy laptopa. Ekran intensywniej zamigotał i rozbłysnął.

Jak urzeczeni próbowali coś na nim dojrzeć. Po chwili zobaczyli pomieszczenie, ściany, podłogę i sufit.

Coś powoli się poruszało. Pełzało, zatopione w szarym, mętnym świetle. Sylwetka przesunęła się dalej do przodu. Miriam domyśliła się, że widzi rękę, która się wysuwa i obmacuje ścianę.

Kamera, pomyślała Miriam. Jakieś oblicze patrzyło teraz wprost w obiektyw. Nie mogła rozpoznać, kto to był, bo mała odległość wypaczała rysy. Tępe, martwe spojrzenie nie odnajdywało żadnego konkretnego kierunku, tylko błędziło jak u ślepca. Postać uniosła dłonie i miotła nimi po omacku.

Miriam usłyszała obok śmiech Simona. Z trudem oddychała. Czuła, jak powietrze gęstnieje.

Przypuszczalnie już nigdy nie zapomni strachu w tych oczach, które patrzyły w kamerę. Miała ochotę krzyczeć.

Potem postać znużona opuściła głowę, by w końcu odwrócić się w bok. Teraz go rozpoznała: Paul Olivier. Otwierał usta. Zdawał się wołać, nic jednak nie było słychać. Ten niemy krzyk przyprawił ją o zimne dreszcze.

Jeszcze bardziej zatrważający był śmiech, którym ponownie wybuchł Simon. Jakby oglądał kreskówkę albo czytał zabawny komiks.

- Co to jest? - zapytała Miriam.

To była jedyna wypowiedź, jaka nie bez dumy padła z ust Simona:

- *Camera silens*. Pomysł Davida. - Zabrzmiało to tak, jakby mówił o dziele geniusza.

Ron pytająco zerknął na Miriam.

Nieznacznie kiwnęła głową, nie spuszczając wzroku z monitora. Tymczasem Ron dzwonił już do prezydium policji i prosił o wsparcie.

Miriam myślała, że napięcie ustąpi, gdy pojawią się technicy i koledzy Rona. Odprężenie jednak nie przychodziło. Siedziała w zaciemnionym pokoju

szesnastoletniego Davida Husa i wpatrywała się w monitor. Zesztywniała z konsternacji. Nieustannie zaciskała dłonie. Bez przerwy prostowała palce, by zaraz potem znów zwinąć je w pięści. Dużo wysiłku kosztowało ją, by tłumić zimne przerażenie i skupiać się nad rozważaniem dalszych kroków.

- Jeszcze coś... - Jej zęby głośno kłapnęły. - Hanna musi tu natychmiast przyjechać. Dzwon do niej!

- Spokojnie... - odparł Ron, a jego ciepła dłoń pocieszająco spoczęła na jej ręce.

Gdzie podziewał się David? Co zamierzał? Jak mogli odnaleźć ten loch i Paula Oliviera?

Z Simona niczego nie można było wydobyć. Zupełnie, jakby znajdował się w jakimś szoku. Tego wrażenia Miriam nie potrafiła powiązać z chłodnym spokojem, z jakim siedział przed komputerem i obserwował ofiarę. Ten chłopak delectował się rozpaczą więźnia. Jego zniewoleniem w mroku. Łączącym się z tym poniżeniem i unicestwieniem resztek ludzkiej godności.

- Macie już coś? - rzucił nerwowo Ron do informatyka z ekipy technicznej.
- Tak jak już mówiłem - odparł, wskazując na ekran - betonowe pomieszczenie. Najwyraźniej bez okien. W każdym razie dotychczas kamera żadnego nie pokazała. Poza tym są tam, jak przypuszczam, metalowe drzwi. Chyba ze stali i bez klamki.

Miriam rzuciła okiem na Simona. Pilnowany przez policjanta siedział niemo na łóżku. Nadal nie chciał im powiedzieć, gdzie przebywał David i gdzie więzili Paula Oliviera.

- Znowu to robi - wymamrotał specjalista z ekipy technicznej.
- Co? - zapytała Miriam.
- W pewnych odstępach czasu zatyka sobie uszy. Tak jak teraz. Widzi pani? - Policjant dotknął monitora długopisem.

Miriam wstała, żeby lepiej się przyjrzeć. Wpatrywała się w Oliviera, który nie miał pojęcia, że jest obserwowany. Trudno było oderwać wzrok od tych obrazów. Może uspokoiłoby go, gdyby wiedział, że go oglądają, że gorączkowo go poszukiwano.

On jednak leżał na zimnej posadzce. W pozycji embriona. Rzeczywiście kurczowo przyciskał dłońmi uszy. Skrzywił się. W końcu opuścił ręce, a jego rysy twarzy się rozluźniły.

- Gdzieś w tle musi być jakiś nieznośny hałas, który czasem ustaje. Ludzi można torturować na śmierć zarówno dźwiękiem, jak i ciszą.

- Co pan ma na myśli? - zapytała Miriam.
- *Camera silens* - oznajmił technik. - Cela ciszy. Ciemnica. Więzień przetrzymywany jest w pomieszczeniu bez okien. Bez słonecznego ani sztucznego światła. Ma to fatalne skutki, zwłaszcza jeżeli panuje tam jeszcze upiorna cisza.

- Zna pan to?
- Oczywiście. Demoniczna metoda tortur. Nie stosuje się żadnej przemocy

fizycznej, więzień jednak już po dwudziestu, trzydziestu minutach zaczyna mieć halucynacje. W średniowieczu nazywano coś takiego dziurą strachu.

- A gdzie znajduje się ta... jak pan to określił... dziura strachu?

- Gdzieś głęboko - usłyszała za sobą głos Rona. - Ostatni manuskrypt. Sędzia dokładnie wszystko opisał.

- Widzi pani? - Technik wskazał ekran. - To powtarza się co kilka minut.

Paul Olivier znowu się skurczył, jakby pod wpływem silnego bólu, i przycisnął rękę do głowy. Miriam dostrzegła w jego twarzy cierpienie i coś jeszcze.

- On drży - stwierdziła. - Jest mu zimno.

- Nie - zaprzeczył komputerowiec. - To nie on drży, tylko kamera.

- Ale...

- Coś nią wstrząsa - powiedział Ron i nagle się zerwał. - Miriam, gdzie widziałaś Aleksa?

- Wychodził z tunelu m... - Zrozumiała. Też gwałtownie się podniosła. - Metro. To pomieszczenie znajduje się w jakimś tunelu metra.

- Nie w jakimś. Gdzie dokładnie widziałaś Aleksa?

- Na Merianplatz.

Ron ponownie spróbował dodzwonić się do Henriego. Znow bezskutecznie. W końcu zostawił wiadomość:

- To sprawa życia albo śmierci. Przypuszczamy, że Paul Olivier jest w tunelu metra gdzieś pomiędzy Merianplatz a Seckbacher Landstraße.

40

Paula obudził wysoki pisk w uszach. Jego boląca głowa spoczywała na zimnej, wilgotnej posadzce. Ponownie zamknął oczy i wyobraził sobie, że jest gdzie indziej. Nawet jeśli przeniesienie się myślami poza loch oznaczało ogromny wysiłek, podejmował go raz po raz.

Gdyby tylko nie było tego dudnienia, które wciąż przypominało mu, gdzie się znajduje. Nawet jeśli teraz panowała grobowa cisza. Jeszcze trochę i znow się zacznie. Łomot. Zanim to nastąpi, musiał się skoncentrować, zebrać siły, żeby przetrwać.

Dźwięczenie ucichło, ale serce biło głośno. Trzy, cztery uderzenia, aż nagle zdawało się, że się zatrzymało. Co, jeśli ostatecznie stanie?

Już przyzwyczyił się do tej myśli: Jego życie dobiegło końca. Pozostały mu tylko wspomnienia z przeszłości. Ale tam nic nie było. Wydawało się, jakby nie istniała żadna przeszłość ani przyszłość. Tkwił uwięziony w teraźniejszości niczym w kapsule czasu. Żałosna, drugoplanowa postać z *Zamku* Kafki. Był tym, który tylko czekał.

Panika narastała. Wbił zęby w opuszki palców. Chciał poczuć, że żyje. Wtedy jego serce znowu zabiło.

Mroczna cisza.

Bum. Bum. Bum. Jak pukanie.

Jego rozum wyrwał się na chwilę z otępiełej wegetacji.

Bum. Bum. Bum.

Nie! To nie jego serce, tylko coś innego dawało mu znak.

Próbował skoncentrować się na tym dźwięku. Zachować przytomność przez kilka minut.

Nasłuchiwał. Brzęczenie w uszach, echo powtarzającego się dudnienia prawie uniemożliwiało postrzeganie czegokolwiek poza sobą samym.

Ponowne stukanie. Ciche, ale stanowcze, niczym kod Morse'a.

Krzyknął głośno, wrzasnął ostatkiem sił.

Znowu nasłuchiwał. Czekał na odpowiedź.

Czy to był ON? Czy przyniósł wodę i chleb? Dość, aby wegetować dalej. Za dużo, by umrzeć jak Justin, którego śmierć powinna być ostrzeżeniem.

Dlaczego poszedł za Davidem? Chciał się w niego wsłuchać, ochraniać go. Czuł się odpowiedzialny za tego chłopaka. Uważał, że jest Milanowi winny zaopiekowanie się jego synem. Całymi tygodniami czekał na to, żeby David go dostrzegł, zaakceptował. Potem nastąpił przełom: David zapragnął się z nim spotkać. Dlatego za nim poszedł.

Chcę ci coś pokazać.

Wspomnienie nagle się urwało. Jego miejsce znów zajęły odgłosy. Hałas świata. Ledwie zasypiał, zbliżał się potwór, który go zgniatał. Łoskot go przytłaczał. Wtedy nie oddychał.

Potem spokój. Znowu było po wszystkim. Wyprostował się. Czy powróciło pukanie?

Podsunął się do drzwi, podniósł rękę i uderzył w metal. Ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Znowu spróbował. I jeszcze raz, i jeszcze. Nie wiedział, skąd brał tę siłę. Potem rozległo się stukanie z drugiej strony. I jakiś głos.

- Pomocy! - zawołał, nie wiedząc, czy ten ktoś go zrozumie, czy nie. Mimo to przycisnął ucho do drzwi, aż w końcu zaczął raz po raz tłuc o nie głową.

41

Pociągi metra zatrzymano, tunel zamknięto. Zniecierpliwieni pasażerowie siedzieli na swoich miejscach w nadziei, że wkrótce pojedą dalej. Miriam słyszała, jak na peronie mówili, że ponoć znów jakiś szaleniec rzucił się pod pociąg. Czy ten wariat - skoro już musiał odbierać sobie życie - nie mógł zrobić tego bez rozgłosu, gdzieś w jakimś ustronnym miejscu? Trucizna, wystarczy łycalek, jest przecież tyle możliwości. A on zaraz musi paraliżować całe miasto, psuje ludziom popołudnie i jeszcze dodatkowo unieszczęśliwia na całe życie maszynistę.

Henri nadal był nieosiągalny. To napawało Miriam paniką, nad którą z ledwością dawała radę zapanować. On zawsze uważnie się jej przysłuchiwał, natomiast ona jemu nie. Zrozumiała, że nigdy nie traktowała go naprawdę poważnie. Bo sama wydawała się sobie taka ważna. Hillmer tymczasem pokazał jej, że się myliła. Nie była nawet kamyczkiem żwiru. Tylko ziarnkiem piasku zgrzytającym w wielkiej maszynerii.

Nie słuchała, gdy Ron, który próbował koordynować działania mobilnego

oddziału do zadań specjalnych, chciał ją namówić, żeby została na peronie i czekała na Henriego. Kiedyś przecież odsłucha wiadomości i tu przyjdzie. Jej rozum przyznawał Ronowi rację, ale serce mu zaprzeczało. W ostatnim czasie okazało się wprawdzie złym doradcą, a teraz był chyba najgorszy moment, żeby znów zaufać intuicji, wycucie jednak skłoniło Miriam do podjęcia innej decyzji.

Pracownik metra pokazywał Ronowi na planie, gdzie znajduje się stare pomieszczenie ratownicze, do którego klucz skradziono podczas niedawnego napadu rabunkowego. Nikt nie wiedział, skąd nagle wzięli się dziennikarze. Zbiegali po schodach, nie zwracając uwagi na blokadę policyjną.

- Cholera, skąd oni wiedzą...!?! - krzyknął Ron.

- Chodźmy - powiedziała Miriam.

- My?

- Nie będę tu sterczeć i czekać.

- W żadnym razie nie dopuszczę... - Twarz Rona była blada.

Miriam zignorowała jego sprzeciw, a gdy nie ruszał się z miejsca, sama poszła przodem.

W tunelu panowały mrok i wilgoć. W powietrzu unosiła się woń spalin. Trudno było oddychać.

Ron po paru minutach wyprzedził Miriam i wcisnął jej do ręki latarkę. Nerwowo szła tuż przy zimnej betonowej ścianie, spodziewając się, że w każdej chwili może przejechać pociąg i że porwie ich swoim impetem. Nic tędy nie przejedzie, powtarzała sobie. Wstrzymaliśmy ruch.

Ale ta myśl jej nie uspokoiła. Mimo to podążała za snopem światła latarki, która niewiele dawała w gęstym mroku. Ten wchłonął ich po paru krokach.

Tuż przed nią zaszumiała krótkofalówka Rona. Słyszała, jak kolega cicho coś mówi, stłumionym głosem zawołała więc:

- Co jest?

Nie odpowiedział. Mimowolnie przyśpieszyła i dostrzegła jego cień kilka metrów przed sobą.

- Co się dzieje? - zapytała ponownie.

Zatrzymał się.

- Alex. Został znaleziony i odwieziony do szpitala.

- Jak daleko jeszcze?

- Około dziewięciuset metrów. Uważaj, żebyś się nie poślizgnęła - ostrzegł Ron. - Chodnik jest wilgotny i gładki. A ty masz nieodpowiednie buty. - Jego głos nienaturalnie zniekształcony odbijał się echem od ścian tunelu.

W milczeniu szli dalej. Po kilku metrach już nie widziała jego sylwetki. Z ulgą słuchała miarowych kroków policjanta za sobą. Dziewięćset metrów. Nie potrafiła sobie wyobrazić tej odległości. Potem przypomniała sobie, jak w zerówce szacowało się metry: duży krok to jeden metr, dziewięćset kroków to dziewięćset metrów. Musieli przejść prawie kilometr.

Po dwustu pięćdziesięciu krokach zorientowała się, że pomyliła się

w liczeniu. Nie potrafiła jednocześnie uważać, jak idzie, i liczyć. Zaczęła od nowa. Jeden, dwa, trzy...

Po kolejnych stu krokach jej latarka zamigotała. Potrząsnęła nią, a żarówka ostatecznie zgasła. Nie zaskoczyło jej to. Pięćdziesiąt kroków dalej jej oczy wciąż jeszcze nie oswoiły się z ciemnością. Cicho zawołała Rona, ale nie odpowiedział.

Miriam zatrzymała się, żeby poczekać na policjanta, który szedł za nią.

- Latarka mi nawaliła.

- Niech pani weźmie moją, mam jeszcze jedną zapasową.

Podał jej światło. Gdy tylko się odwróciła, ujrzała, jak dalej z przodu Ron rozplywa się w mroku. Znów rozmawiał przez krótkofalówkę, ale Miriam nie odważyła się iść szybciej po wilgotnym podłożu. Obawiała się, że jej stopy nie odnajdą chodnika i trafią w pustkę.

Napięcie sprawiało, że poruszała się nerwowo i niepewnie. Jej ręka mimowolnie dotykała zimnej, szorstkiej betonowej ściany, by się przytrzymać. Mało brakowało, a latarka wyślizgnęłaby się jej z zeszywniałych palców.

Po przejściu kolejnych dwustu pięćdziesięciu kroków wzdrygnęła się na dźwięk nagłego huku. Znieruchomiała, nasłuchując, co się dzieje. Serce waliło jej jak młotem. Podskoczyła, gdy poczuła na ramieniu rękę.

- Proszę tu zaczekać - usłyszała za sobą szept policjanta. - Ktoś strzelił.

Zaraz potem Miriam usłyszała drugi strzał. Nie potrzebowała czasu na podjęcie decyzji: zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła biegiem przed siebie. Snop światła przed nią poruszał się w rytm kroków. Stopy same odnajdywały drogę, chociaż wciąż potykały się o kamienie. Raz niemalże się ześlizgnęła z chodnika, ale natychmiast odzyskała równowagę. Teraz cały czas trzymała się ściany. Już po kilku sekundach skaleczenia paliły jak żywy ogień.

Przed oczami miała tylko jeden obraz: Henri leżący na torach z twarzą do ziemi. I już знаła odpowiedź na jego ultimatum - podjęła decyzję. Nie myślała o tym, że akurat w tej chwili to nie grało żadnej roli. Ani o odpowiadającym za całe to szaleństwo Davidzie, którego zwichrowany umysł zrodził te wszystkie pokręcone fantazje i utkał pajęczynę makabrycznych scenariuszy. Zazdrość? Zemsta? A może to najgorsze: nie istniało żadne wytłumaczenie.

Miriam przystanęła, podniosła latarkę i próbowała coś dojrzeć. Z przodu dobiegały ją dźwięki, głosy, ale były niewyraźne. Przez kilka minut nasłuchiwała w ciemnościach, aż wreszcie bez namysłu głośno zawołała Rona. Jego imię odbiło się echem od ścian tunelu.

Nikt nie odpowiedział.

- Ron, gdzie jesteś? - powtórzyła.

Gdzieś rozległy się kroki. Ktoś nadbiegał po żwirze.

- Nie ruszaj się - usłyszała szept Rona i poczuła jego dłoń na ramieniu.

- Co się dzieje? Kto strzelał?

- Nie mam pojęcia.

Przy przeciwległej ścianie tunelu błysnęło kolejne światło. Jeden

z policjantów z latarką podszedł do nich.

- Co się dzieje?

- Tam ktoś jest - odparł Ron.

- Stać! - usłyszeli nagle. - Nie podchodzić bliżej. Wyłączyć latarki!

Donośny głos, wprawdzie młody, ale stanowczy. Gdzieś przed nimi, w sporej odległości od nich. Ciemność utrudniała orientację.

- David? - zawołał Ron.

- Mój rewolwer dotyka skroni waszego przyjaciela. Nacisnę spust, jeżeli podejście bliżej.

- David! Nie bądź głupi! David! - krzyknęła Miriam.

- Cicho bądź! - Dłoń Rona zatkała jej usta.

Odepchnęła go.

Złapał ją mocno za ramię:

- Opanuj się!

Ron odczekał kilka sekund, potem spokojnym głosem zapytał, poruszając się przy tym do przodu:

- Czego chcesz?

- Pozwólcie mi dokończyć moje zadanie.

Powinna milczeć, ale nie potrafiła i znowu wrzasnęła:

- Henri?

- Jeżeli natychmiast się nie zamkniesz, to po zakończeniu tej akcji nogi ci z dupy powyrywam! - syknął cicho Ron.

Próbowała wziąć się w garść. Jeżeli to Henri był tym, którego David miał na muszce, dlaczego nie odpowiedział? Nie odważyła się już jednak ponownie go zawołać.

- Jakie zadanie? - zapytał Ron i zaraz potem wyszeptał: - Miriam, daj mi latarkę.

- Ja jej potrzebuję - zaprotestowała, czując już dłoń Rona, która chwyciła i wyszarpnęła jej sprzęt.

Ta przekłeta, nieznośna cisza. Miriam próbowała oszacować, jak daleko od nich był David, nie potrafiła jednak klarownie myśleć. Ron skierował latarkę w dół, chciał wyrobić sobie obraz otoczenia.

- Wyłączyć światło albo go zastrzelę - rozległ się ponownie głos Davida. - Nie sprawi mi to frajdy, ale to zrobię!

Latarki zgasły.

Miriam przygryzła wargi i poczuła ból dopiero wraz ze smakiem krwi na języku.

- Myślę, że on stoi około ośmiu metrów od nas, po drugiej stronie torów - wyszeptał Ron.

- Jeżeli jednocześnie skierujemy na niego latarki... może światło go przestraszy - odezwał się policjant za nimi.

- Nie będę tak ryzykować - odparł Ron. - Niech pan wraca i powie swoim ludziom, żeby zostali tam, gdzie są. Obecność zbyt wielu osób może go jeszcze

bardziej zdenerwować. Miriam, ty też wracaj.

Nie odpowiedziała. W ciemności już trochę oddaliła się od niego w kierunku Davida.

Ron głośno krzyknął:

- David? To ty? Porozmawiajmy!

Jedyną reakcją był jednak tylko śmiech. Brzmiała w nim radość, wręcz ulga. Potem David zaczął ciężko dyszeć. Rozległo się ciche charczenie, stłumiony, z trudem powstrzymywany kaszel. Powietrze w tunelu w połączeniu z napięciem, stresem, było dla jego płuc zabójcze.

- Dusisz się, David! - krzyknęła Miriam. - Nie wytrzymasz długo.

- To ja decyduję o zakończeniu.

Czy naprawdę zastrzeliby Henriego? Miriam ze zgrozą stwierdziła, że nie tyle go nienawidzi, co ma dla niego raczej współczucie; rozumiała jego desperację, która musiała go trawić niczym wrzód.

Jedyną pomocą w orientacji była dla niej ściana tunelu, której dotykała, wyciągając prawą rękę. Pod palcami, które nadal piekły, czuła zimny, okurzony beton. Stała na wąskim chodniku, gładkim i śliskim od wilgoci, która nagromadziła się w tunelu. Po lewej, dobre pół metra niżej, leżał żwir, na którym, jak się obawiała, słychać byłoby każdy krok. Mimo to przykucnęła.

- Cholera, Miriam - zaklął cicho Ron, który znów znalazł się obok niej. - Myślałem, że zawróciłaś! Co chcesz zrobić?

Jego głos zdawał się dobiegać z oddali.

Dłońmi poszukała brzegu pomostu i, gdy tylko go wyczuła, mocno się go przytrzymała. Potem naprężyła mięśnie i zsunęła w dół lewą stopę. Gdy czubek buta dotknął żwiru, kamyczki pod skórzaną podeszwą cicho zazgrzytały. Cofnęła nogę. Z prawym kolaniem przyciśniętym do brody przez kilka sekund balansowała w powietrzu, aż ponownie odważyła się wyciągnąć stopę, która ześlizgnęła się i uderzyła o żwir.

- Zostańcie tam, gdzie jesteście! - krzyknął David.

Prokurator Singer znowu podciągnęła nogę i postanowiła zdjąć buty.

- Miriam? - Teraz głos Rona brzmiał bezradnie, a ona milczała.

Ściągnęła skarpetki. Nie więcej niż osiem metrów w całkowitej ciemności.

- Daj mi rękę - szepnęła do Rona.

Skapitulował. Wyczuła jego ramię i chwyciła je, by przy jego pomocy zsunąć się na dół. Zaraz potem jej boscie stopy dotknęły zimnej szyny. Momentalnie zaczęły marznąć. Trudno było utrzymać równowagę na wilgotnym metalu. Potem znowu żwir, który tym razem tylko cicho zaszeleścił. Centymetr po centymetrze poruszała się do przodu na czworakach. Każdy dźwięk w mroku wydawał się nieskończenie głośny. Dlatego przestraszyła się, słysząc głos Rona.

- Czego chcesz, David? Co mamy zrobić?

- Nic. Powinniście tylko zrozumieć, jak daleko sięga moja władza.

Miriam pokonywała kolejne centymetry. Kamienie pod nią wrzynały się w skórę. Rozległ się cichy szmer. Zatrzymała się.

- Możemy pogadać - rzucił Ron.

David parsknął śmiechem.

Oczy Miriam wciąż jeszcze nie przyzwyczyły się do ciemności, a uczucie klaustrofobii się nasilało. W tej samej chwili coś musnęło jej dłoń. Coś dużego i ciężkiego. Przebiegło jej po palcach. Wyczuła na skórze małe łapki. Szczur?

W gardle zaczął budzić się krzyk. Zaciśnęła zęby i cofnęła rękę. Rozsądek nakazywał: weź się w garść! Tutaj gra toczy się nie o ciebie. A to tylko zwykły szczur.

Gdy tylko się uspokoiła, ruszyła dalej. Musiała być już mniej więcej na wysokości Davida. Chwilę odpoczęła. Czas przejść na drugą stronę.

- Jakie to uczucie? - rozległ się ponownie głos Davida.

- Co masz na myśli? - zapytał Ron.

- Bezradność. Niewiedza. Ślepotą.

Odpowiedź Rona padła po dłuższej chwili.

- Gówniane - odparł. - To gówniane uczucie.

Miriam pełzła dalej. Wyciągnęła rękę, aż jej palce dotknęły pomostu po drugiej stronie tunelu. Jeszcze jednak nie dotarła do celu. Gdzieś tam stał David. Słyszała jego ciężki oddech. Jak długo mógł wytrzymać? Jeszcze tylko kilka metrów prosto i będzie koło niego.

Skoncentruj się. Zachowaj spokój. Powoli. Ostrożnie. A przede wszystkim: bezszelestnie!

Miriam przestała myśleć o wszystkim, co mogło ją rozpraszać, co ją przerażało. Zaskoczyło ją również to, że udawało się jej posuwać naprzód, mimo że szło to powoli, przy pełnej koncentracji i zaangażowaniu wszystkich sił.

Mrok stał się nagle jej sprzymierzeńcem. Czerń wokół dawała poczucie bezpieczeństwa. Słyszała, jak Ron rozmawia z Davidem. Inne niezdefiniowane odgłosy w ciemności już nie miały dla niej żadnego znaczenia.

David znajdował się na prawo od niej. Namierzyła to miejsce.

Nagle jednak, gdzieś na skraju jej pola widzenia - świadomość Miriam raczej to wyczuła, niż zarejestrowała - coś się poruszyło. Jakiś ledwie dostrzegalny ruch. A może był to tylko ciąg powietrza. Albo samoistne drgnienie ciemności? Żwir pod nią nagle się osunął. Zaszleściły kamienie. Jej prawa noga natrafiła na opór.

- Stać! - wrzasnął David.

Serce podeszło jej do gardła. Puls oszalał.

- Szczury! - krzyknęła w mrok. - To tylko szczury, David. Biegają po torach.

Pod nią jednak znajdowało się coś innego. Było duże i miękkie. Leżało pomiędzy szynami, zagrzebane w żwirze. Poczowała na kończynach gęsią skórę. W uszach słyszała dudnienie własnego pulsu.

Henri? Leżał tu na dole?

Zerwała się i rzuciła się pędem do przodu. Ciemność zdawała się nie znać kierunku. W ciągu kilku sekund znalazła się na pomoście. Ręką trzymała się muru. Biegając, czuła, jak ostatecznie zdziera skórę z dłoni.

Trzy metry. Dwa.

David i krzyk:

- Stać!

To łaskawość szoku pchnęła ją do działania. I przerażenie. I złość, która w niej wzbierała, tłumiąc strach.

I - myśl o zemście.

Rzuciła się z całych sił do przodu, sięgnęła rękoma po omacku i szarpnęła nogi Davida, przewracając go. Poczowała, jak chłopiec upada.

Głośno dyszał. Miał nierówny oddech.

Gdy tak obok niego stała, myśląc, że już po wszystkim, ogarnęła ją wielka satysfakcja. Potem jednak poczuła jego dłoń, która zacisnęła się na jej kostce. Kopnęła go, próbowała się oswobodzić, była zaskoczona siłą, jaką jeszcze miał.

Straciła równowagę. Nigdzie pod ręką nie było ściany, której mogłaby się przytrzymać. W dole zazgrzytał żwir. Upadła na plecy, jej głowa z pełnym impetem gruchnęła o szynę. Straciła świadomość w chwili, gdy w ciemności rozbłysły światła.

42

Kamienie wpijały się jej w plecy, a ból zgniatał głowę niczym garota, zaciskająca się żelazna obręcz. Nie wiedziała, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte, jaskrawe światło wokół postrzegała jak błyskawice. Potem jakies stopy biegnące po żwirze.

Ktoś krzyczał:

- Proszę się odsunąć!

Czuła dłonie na szyi, nadgarstku, piersi.

Odpychała je, rzucała się na boki.

- Jest puls.

Nad sobą w jasnej mgłę światła, poprzez drobinki kurzu tańczące w powietrzu, widziała twarze zamazane jak na śnieżącym monitorze.

Miriam kręciła głową, nie miała pojęcia, że szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w Rona. Nie poznawała go.

- Nie możemy jej ruszyć. Kręgosłup.

- ...bez karetki.

- Musimy ją wynieść na noszach.

Próbowała się podnieść.

- Leż.

Energiczny ucisk na ramiona.

- Henri.

- Spokojnie. Nic mu nie jest.

Snop światła powędrował w prawo ku postaci siedzącej na pomoście. Popatrzyła tam. Reflektor oświetlał powoli stopy, nogi, tułów, twarz. Henri. Odpoczywał oparty o ścianę i trzymał przy ustach butelkę, z której łąpczywie pił. Czy wiedział, że Miriam tu była?

Ron znów się nad nią pochylił.

- Nie martw się. Nic mu nie jest. To tylko wyczerpanie, nic poza tym.
Uspokojona zamknęła oczy, by zaraz potem znów gwałtownie je otworzyć.

- Olivier?

- Żyje.

Zapadła się z powrotem w mrok, do którego już tak przywykła, że bała się, iż jaskrawe światło reflektorów oparzy jej oczy. Dana jej była tylko krótka chwila spokoju, wkrótce potem bowiem ktoś głośno zaklął:

- Cholera, tutaj coś leży. Ja chyba wdepnąłem w... jakieś zwłoki.

Usłyszała szelest żwiru pod licznymi stopami. Wydało się jej, że to skrzypienie będzie ją wiecznie prześladować. Próbowwała się podnieść. Ale w tym samym momencie poczuła ciepłą dłoń, która trzymała ją za rękę.

Zamrugnęła krótko, lecz zaraz potem znów zacisnęła powieki. To jednak wystarczyło, by dostrzec, kto szepcze jej do ucha:

- Kocham wariatkę!

Przez kilka sekund delektowała się tym uczuciem, aż nagle ktoś wstrząśniętym głosem oznajmił:

- Ubranie, buty. To chyba ciało jakiejś kobiety. Leży tu pod żwirem od miesięcy.

Trójką bermudzki, pomyślała. Znaleźliśmy go.

FRANKFURT NAD MENEM

ŚRODA, 23 MAJA

43

W pokoju przesłuchań w podziemiach prezydium policji trwało pełne napięcia oczekiwanie. Hanna Roosen i komisarz Ron Fischer siedzieli pod ścianą. Od Davida dzielił ich tylko okrągły stół ze szklanym blatem. Miriam ostatnio widziała chłopca w szpitalu. Teraz dziwiła się, że był tak wysoki i silny. Przypominał ojca.

Miriam z obandażowaną głową i dłońmi siedziała obok Henriego przed monitorem w pokoju obok i w napięciu śledziła przesłuchanie Davida Husa. Z bezsensownej nadziei jak najszybszego uzyskania wyjaśnień zrodził się pomysł nagrywania tej rozmowy na wideo i jednoczesnego oglądania na żywo. Wzrok chłopca utknął jednak w jakimś martwym punkcie. David odmawiał przedstawienia swojej wersji zdarzeń.

- Słyszałaś? - zapytał Henri.

- Co?

- Ostatecznie zawiesili Wagnera.

- Czas najwyższy. Źle tylko, że potrzebowali aż dwóch dni, by dojrzeć do tej decyzji.

- To koniec jego kariery - oznajmił Henri.

- Przykro ci z tego powodu?

- Powinnaś była od razu powiedzieć o tych anonimowych telefonach.

- Już zapomniałaś? Traktowałeś mnie jak powietrze. Poza tym podprowadził ci komórkę. Tylko w ten sposób zdobył mój numer i tylko tak dowiedział się o tunelu.

- Najpierw myślałem, że zostawiłem telefon w biurze, a potem że w domu - wymamrotał Henri w poczuciu winy.

- A my nagrywaliśmy Wagnerowi wszystkie informacje na sekretarkę. Godziny. Miejsca. Wszystko. Tylko dzięki temu mógł zawiadomić prasę.

Obraz na monitorze nadal się nie zmieniał. Chłopak siedział tak już od wielu godzin. Próbowali na zmianę go przepytować, ale było to bezsensowne. Milczał. Tak jak ojciec pod koniec życia.

- Pozwólcie mi z nim pogadać - poprosiła Miriam.

Henri pokręcił głową.

- Nie możesz robić wszystkiego sama.

- Ej, uratowałam cię. Zapomniałaś? Masz u mnie wieczny dług. Poza tym to ty zapuściłaś się sam w ten tunel.

- Musiałem naprawić swój błąd.

- Nie udało ci się.

- Mało brakowało. Dwa strzały i drzwi były otwarte. Olivier leżał przy progu. Myślałem, że nie żyje. Dlatego się nachyliłem.

- Tak że David z łatwością zdołał cię uziemić.

- Czekał w ciemności - usprawiedliwiał się Henri. - Wpuścił mnie w pułapkę.

Tę dyskusję prowadzili już od dwóch dni i przerwali ją teraz tylko dlatego, że Ron znowu powiedział coś do Davida. Jego głos w mikrofonie miał metaliczne brzmienie.

- Chcesz się czegoś napić?

David nie odrywał oczu od owego punktu na suficie, który raz po raz przykuwał również wzrok Miriam, mimo że nie dostrzegała tam niczego szczególnego. To, że chłopiec usłyszał słowa Rona, stało się jasne, gdy potrząsnął głową.

- Może coś innego? Jesteś głodny?

Znowu nieme przeczenie.

Miriam obserwowała, jak Ron niespokojnie wierci się na krześle. Wiedziała, co myślał. Że nie musieli rozmawiać z Davidem, bo Simon wszystko opowiedział. Dowody i zeznania kolegi wystarczyły, żeby wnieść oskarżenie przeciw młodemu Husowi.

- Jeżeli nie pogadasz z nami - odezwała się tym razem Hanna - pozostanie nam tylko zeznanie Simona, jakoby ci jedynie pomagał, załatwiając chloroform oraz igłę i nici, ale że nie uczestniczył w popełnieniu morderstw. - Ponieważ David nie reagował, nachyliła się do przodu. - Zrozumiałeś?

Kiwnięcie głową.

- Helena ci ufała, prawda? Wpuściła cię do mieszkania. Podobnie jak Justin Brandenburg.

Na ustach chłopca pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Jak się czułeś, nadużywając tego zaufania?

- Te pytania nie mają sensu - stwierdziła Miriam z niepojętym opanowaniem, które towarzyszyło jej od tamtego dnia w tunelu. - On nie odpowie. Te fakty go nie interesują.

Henri obok niej westchnął.

- Nawet jeśli Hanna próbuje tych swoich psychologicznych sztuczek, nic z tego nie wyjdzie.

- A ty? - zapytał. - Jak ty byś to zrobiła?

- Wiem, jak on myśli - powiedziała pod nosem.

Henri wlepił w nią wzrok, nic nie rozumiejąc.

- Aha, czyli wiesz, jak on myśli? Czy tobie już kompletnie odbiło? Ja to nazywam bezgranicznym zarozumiałstwem.

Miriam absolutnie nie miała zamiaru spierać się z Henrim. Odczuwała wręcz coś w rodzaju pokory wobec niego. Nadal głęboko w niej tkwiła obawa, że go utraci.

- W głębi duszy wiem, według jakich praw działał - oznajmiła spokojnie.

Niespodziewana łagodność w jej głosie zirytowała Henriego. Liczył się ze sprzeczką, prawdziwą kłótnią, Miriam jednak się w nią nie wdała.

- Według jakich? - zapytał. - Cóż nim kierowało?

- Według własnych praw - odpowiedziała. - Nie pamiętasz, że to on jest

sędzią.

- On ma szesnaście lat.

- No właśnie. A jego głowa jest pełna zwariowanych wyobrażeń na temat siebie i świata. On ożywia swoje ideały. Wierzy, że mogą stać się rzeczywistością. Dla niego nie ma różnicy, żadnych granic między fantazją a realnością. I dokładnie to czyni go tak niebezpiecznym.

- Skąd wiesz?

Miriam wzruszyła ramionami.

- Trudno jest pogodzić się z tym, że sprawiedliwość nie istnieje, rozumiesz? To boli i pozostaje wiecznym kolcem. Zwłaszcza wtedy, gdy sam stajesz się ofiarą.

Na ekranie coś drgnęło. David odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- Jeżeli się zdecyduje coś powiedzieć, nie będzie kłamał - oznajmiła stanowczo Miriam.

Henri nie odrywał od niej wzroku.

- Skąd...

- Bo w jego systemie, w sposobie myślenia, odczuwania, działania wszystko ma jakiś sens, kapujesz? On nie musi kłamać ani niczego zatajać.

- Doznałeś tam pod ziemią jakiegoś objawienia? Czy może coś się z tobą dzieje?

Miriam pokręciła głową.

- Nie wiem, ale czy ty nie rozumiesz? Jego ojciec popchnął do śmierci jedyne go człowieka, którego David kochał.

- Matkę.

- Tak. Co zatem mogło być bardziej logiczne, niż odplacić mu tym samym?

Henri milczał. Miriam widziała po nim, że początkowo nie pojmował, co chciała przez to powiedzieć, aż wreszcie na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

- Świadomie popchnął go do samobójstwa?

Miriam wstała.

- Gorzej. On go na nie skazał.

- Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z Davidem. - Podeszła do drzwi.

Henri się nie sprzeciwił, ale gdy stała w progu, zapytał:

- Ale dlaczego chciał zabić Paula Oliviera?

- Właśnie to zamierzam z niego wyciągnąć. Miłość i nienawiść są sobie bardzo bliskie. Może po prostu był zazdrosny. - Zatrzymała się na parę sekund.

- Jeżeli uda mi się go nakłonić do rozmowy na ten temat, będziemy mogli pogadać o nas. Myślę, że wtedy nareszcie zdołam sobie samej zaufać.

Miriam telefonicznie dała znać Ronowi, żeby wyszli z pokoju przesłuchań. Nie oponował. Od czasu tamtych wydarzeń podchodzono do niej z nowym szacunkiem. Szła korytarzem do pomieszczenia, za którego drzwiami chłopiec

czekał na to, by w końcu komuś wytłumaczyć, jakimi prawami on, sędzia, musiał się kierować.

Położyła przed Davidem kartkę, czarne wieczne pióro, którym podrabiał manuskrypty Kafki, i kałamarz. Potem przysunęła do niego krzesło, wydobyła z torby książkę, otworzyła ją i zaczęła cichym głosem czytać:

Najukochańszy Ojczy, niedawno spytałeś mnie, czemu twierdzę, że odczuwam przed Tobą lęk. Jak zwykle nie wiedziałem, co Ci odpowiedzieć, częściowo właśnie z lęku, który odczuwam wobec Ciebie, a częściowo dlatego, że na uzasadnienie owego lęku musiałbym przytoczyć zbyt wiele szczegółów, zanimbym go w połowie uargumentował. I jeżeli nawet próbuję, obecnie odpowiedzieć Ci pisemnie, to i tak nie uczynię, tego w pełni, ponieważ podczas pisania też paraliżuje mnie strach przed Tobą i jego konsekwencje...

Miriam czytała bez przerwy ponad godzinę. Gdy w końcu odłożyła książkę na bok, David Hus skończył pisać niespełna stronę tekstu. Więcej nie potrzebowali.

Przyznanie się do winy

Iluż ludziom życie upływało na tym, że bronili się przed ochotą położenia mu kresu, tylko dlatego, że błędne obietnice, niespełnione nadzieje raz po raz wpędzały ich niczym bydło z powrotem do absurdalnej błahości ich człowieczej egzystencji.

On jednak im pomagał. Jako jedyny się nad nimi litował.

Uwalniał ich z lochu ich surrealistycznych koszmarów pełnych mylnych oczekiwań.

Oczywiście, do wypełniania tego wielkiego zadania potrzebował nieskończenie dużo siły, tak dużo, że zaczęło jej teraz ubywać. Byłoby to jednak poniżej jego godności, aby owo trudne zadanie wypełniania powierzył komuś innemu, chociażby pomocnikowi.

Iluż oprócz niego istniało sędziów, którzy sami wypełniali wydane przez siebie wyroki?

Dla niego jednak liczył się tylko cel, nie zaś droga. To, co inni nazywali drogą, było właściwie zwlekaniem.

On wiedział to już od początku: Nikt nie może wyjść z tłumu niezauważenie. Dostrzegli go, nie rozumiejąc wszakże jego pracy, i nigdy jej nie pojmą: Prawdziwa wolność człowieka polegała na uznawaniu tylko tych praw, które tkwią w nim samym. Tak się nauczył, według tej zasady postępował i nie żałował.

Tak było na początku i na końcu.

Wysokim Sądem własnej egzystencji mógł być tylko jeden człowiek – on sam!

PRAGA, ULICA BENEDIKTSKÁ

ŚRODA, 30 MAJA

44

Padalo przez całą noc aż do późnych godzin porannych. Woda wręcz strumieniami lała się z nieba. Kanalizacja była zbyt słaba, by zdołać przyjąć takie ilości wody. Żywioł wybijał pokrywy studzienek i zalewał ulice.

Filip Černý obserwował, jak jego syn w wielkich kaloszach przeskakuje ogromne kałuże. Na jego twarzy nie malowała się radość, tylko skupienie, jakby przeprowadzał eksperyment i nie odczuwał dziecięcej frajdy. Do tego jeszcze nie wypowiedział ani słowa. Jakby schował się w swoim wnętrzu, żeby przeczekać. Aż ustanie deszcz. Aż wróci mama, która przed dwoma dniami porzuciła rodzinę.

Antykwariusz nie miał jeszcze czasu, żeby tak naprawdę się nad tym zastanowić. Zawsze towarzyszyło mu wszechobecne przeczucie, że Dora go opuści. Ulżyło mu, gdy w końcu było po wszystkim.

Nie liczył się tylko z jednym. Dora zostawiła z nim Pavla. Wprowadziła zamęt nie tylko w głowie chłopca. Filipa również tym zaskoczyła. Odczuwał mieszaną smutku, paniki i... triumfu. To on był tym opuszczonym, samotnym ojcem, ale – nie ponosił winy. Nie był rodzicem, który zabiera ze sobą syna. Nie.

Dora była wyrodną matką. Samolubną. Obojętną. Wyrachowaną. A przed nim teraz otwierała się szansa, żeby udowodnić synowi, że na swoim ojcu może polegać, że można na niego liczyć.

Rzucił okiem na Pavla. Dziecięca twarz syna niczym nie zdradzała, co się działo w jego duszy. Malował się na niej raczej wyraz nieobecności czy wręcz rezygnacji. Dora musiała zrobić mu coś w rodzaju prania mózgu, odprawiać nad nim egzorcyzmy. Oduczyła go wszelkich uczuć dla ojca, przedstawiając jako frajera, egoistę, macho. Miotła tymi słowami przy synu, udawała desperatkę, Pavla jednak pozostawiła z nim, tym frajerem.

– Mogliśmy zabrać kąpielówki – powiedział.

Pavel rzucił mu nieobecne spojrzenie.

– W tych ogromnych kałużach mógłbyś się wreszcie nauczyć pływać.

Syn jednak nie zareagował, dalej skakał przez bajorka.

Filip westchnął. Dora odwaliała niezłą robotę. Najpierw odsunęła go od syna, a potem zwinęła manatki. Uwolnił się od niej. Z tego się cieszył. Jejku, ona była jak ropiejący czyrak.

– Jesteś głodny? – zapytał. – Może kupimy coś do jedzenia, a potem rozłożymy się w antykwariacie.

Pavel przez chwilę się zastanawiał, aż w końcu skinął głową.

Filip przystanął koło piekarni.

– Na co masz ochotę?

Pavel obojętnie wzruszył ramionami.

Jakiemu pięciolatkowi było wszystko jedno, co dostaje do jedzenia?

W przyszłości Filip będzie musiał się nauczyć lepiej rozumieć chłopca.

Sklep pachniał olejem, ciepło jednak szybko się rozprzestrzeniło. Pavel znalazł sobie miejsce obok regału przy piecu. Leżał wyciągnięty na zakurzonej podłodze i przeglądał album o historii latania.

Gdy Filip mu się przyglądał, robiło mu się ciepło na sercu. Chętnie wyciągnąłby się obok niego i pooglądał z nim obrazki. Tymczasem siedział przy biurku. Nie miał nic do roboty. Absolutnie nic.

Nie miał nawet widoków na nadzieję, po tym jak ta Kafkowska historia okazała się fantazją jakiegoś chorego psychicznie, który ewidentnie wmówił sobie, że jest prawowitym następcą Kafki. Filip brał policji za złe, że nie poinformowała go, jak zakończyła się ta sprawa. Ostatecznie, powiadamiając ich o manuskryptach, podsunął im decydującą wskazówkę. Niemalże tego żałował, bo nic mu to nie dało ani nie przyniosło żadnych pieniędzy. Gazety, także w Pradze, pisały wprawdzie o mordercy poczytującym się za Kafkę, ale nie pojawiła się ani jedna wzmianka o antykwariacie. A przecież był kluczem w tej całej grze. Bez niego nikt nie dostrzegłby związku między manuskryptami a morderstwami.

Coś takiego mogła wymyślić tylko naprawdę chora fantazja. Mimo to odczuwał coś w rodzaju głębokiego szacunku. Teksty nie były złe, a pomysł dobry. Powinien był sam na to wpaść. Kopie dawnych mistrzów. Nieodkryte teksty. Nie tylko Kafkowskie. Ostatecznie przecież istniało mnóstwo innych znanych pisarzy, którzy mieszkali w Pradze. Można by ich było sprzedawać do USA. W malarstwie przecież też tak robiono. Nic nie stało na przeszkodzie, by umożliwić to w literaturze. To mógłby być interes jego życia.

Stał obok syna i położył się na podłodze.

Żegluga powietrzna. Dla starszych uczniów. Wydano w 1911 roku w Berlinie.

Zaskoczony Pavel podniósł głowę i uśmiechnął się do niego.

KONIEC